

Cena 40 zł.

# KUŹNICA

Rok III

Łódź, 22 grudnia 1947 r.

Nr 51-52 (120-121)

**TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI**

## WIZYTA PISARZY FRANCJI WALCZĄCEJ



Paul Eluard



Jean Marcenac

W dniach ostatnich odwiedzili Polskę dwaj wybitni przedstawiciele dwu pokoleń literatury francuskiej: znakomity poeta Paul Eluard i jego młodszy towarzysz Jean Marcenac — obaj członkowie Francuskiej Partii Komunistycznej i czynni uczestnicy francuskiego ruchu oporu w latach okupacji. Paul Eluard wygłosił w Warszawie i w Łodzi odczyt pt. „Le mouvement de la résistance intellectuelle en France”.

PAUL ELUARD

### ODWAGI!

Paryż jest głodny, Paryż marznie  
Paryż już nie je na ulicy pieczonych kasztanów  
Paryż wkłada znośną odzież staruszki  
Paryż śpi stojąc, dusząc się w metro.  
Na biedaków spadło jeszcze więcej nieszczęść.  
I mądrość i szaleństwo  
Nieszczęśliwego Paryża  
To czysty wiatr, to ogień.  
To piękno, to dobro  
Głodnych robotników.  
Nie wołaj pomocy, Paryżu!  
Ty żyjesz życiem niepodobnym do innych.  
Za twą nagością  
Wychudła i blada  
Wszystko co ludzkie objawia się w twoich oczach  
Paryżu, piękne moje miasto  
Smukłe jak igła i mocne jak szpada,  
Naiwne i mądre  
nie zniesiesz niesprawiedliwości!

Ty oswoobdzisz się, Paryżu.  
Paryżu, migocący niby gwiazda,  
Nasza nadzieja zawsze żywa.  
Wyzwolisz się od znużenia i od bóla  
Bracia! Odwagi!  
My, co nie mamy helmów  
ani butów, ani rękawic i nie jesteśmy dobrze wychowani  
Promień zapala się w naszych żyłach.  
Wraca do nas nasze światło  
Najlepsi z nas polegli za nas  
Oto ich krew odnajduje nasze serca  
Znów jest poranek, poranek Paryża  
Ostrze wyzwolenia  
Przestrzeń rodzącej się wiosny  
Bezmyślna przemoc ma swoje dno  
Cj niewolnicy, nasi wrogowie.  
Jeśli zrozumieją  
Jeśli są zdołni zrozumieć  
Powstana!

Przełożył Paweł Hertz

JEAN MARCENAC

### ŚMIERĆ NASZYM NIEPRZYJACIOŁOM

Ich plecy proszą się o nóż,  
Ich oczy są po to, aby nie widzieć,  
Ich głowa jest po to, aby zapomnieć  
O wszystkim, co sprawia naszą nędzę

Nie nie wzrasta, gdy mówią,  
Ich słowa są bezplodne. Ich oddech  
Zamęca nasze lustra, nasze obrazy.  
Wszystko, co jest w nich żywego  
Powstaje przeciw życiu.  
Znaki, jakie usiłują robić,  
Ze służą tylko śmierci.  
Tylko śmierć może zrozumieć.  
I krzyk, jaki wydaje padając,  
Jest krzykiem oczekiwanym przez jutrenkę:  
On ją wyzwala.

Przełożył Stanisław Bruca

PAUL ELUARD

### DENISE MÓWIŁA DO CUDÓW

Wieczór wleczyl jaskółki. A skrzydła puszczyka  
Dzieląc blaski stonieczne ciążyły na ziemi,  
Jak nigdy niestrudzone kroki samotnika  
Bledszego od natury wśród uspiomych cieni.

Wieczór na głowach naszych włóki białe oręże.  
Wśród nas kobiety spalał męstwa ogień święty,  
Plakały i krzyczały jak dzikie zwierzęta,  
Aż na kolana padli niespokojni męże.

Wieczór, nie i wśród ciszy jaskółcze przeloty,  
Lekki powiew i liście wiszące nad ziemią,  
Piękny szczegół i czary pozbawione cnoty  
Dla spojrzania, co nigdy nie pojmie przestrzeni.

Przełożył Zbigniew Biełkowski

### HISTORIA WIEDZY

Obawiasz się ludzi  
Nie dowierzaj ogniowi

Odrodzisz się na horyzoncie

Niech twe ręce ciebie uwolnią  
Twoje oko zatrzymuje się na rzeczach  
Twoje serce zatrzymuje się wraz z zegarami

Twórz bezustannie ogień  
Powietrze ziemia i woda  
Są dziećmi.

Przełożył Jerzy Zagórski

Wszyscy esletycy radzi powta-  
rzają jedni za drugimi, że litera-  
tura powinna być obrazem naro-  
dów. Nic nad to pewniejszego. Ale  
obraz narodu jest także obrazem  
czasu.

Maurycy Mochuacki

### TREŚĆ NUMERU:

BENIAMIN CONSTANT —  
DZIENNIK POUFNYPAWEŁ HETZ —  
W PARYŻU I W GENEWIEDANTE —  
CANZONAMIECZYSLAW JASTRUN —  
WIEK KŁĘSKIFEDERICO GARCIA LORCA —  
ZWADAHENRI DENIS —  
HUMANIZM I MATERIALIZM  
A MYŚL FILOZOFICZNA  
KAROLA MARKSAGEORG LUKACS —  
POWIEŚĆ JAKO MIESZCZANSKA  
EPOPEASTANISŁAW WYGODZKI —  
WIERSZEKAZIMIERZ BRANDYS —  
SAMSONANDRÉ CHAMSON —  
DWA FRAGMENTYJAN KOTT —  
JESZCZE O „LALCE”  
I POZYTYWIZMIE (I)ALFRED GRADSTEIN —  
PO RADIOWYM FESTIWALU  
MUZYKI SŁOWIAŃSKIEJSTANISŁAW DYGAT —  
PRZYGODY PUSTEJ GŁOWYSTEFAN ŻÓŁKIEWSKI —  
„NAJLEPSZA DROGA NIE JEST  
RÓWNOZNACZNA  
Z NAJŁATWIEJSZĄ DROGĄ”WYSZARD MATUSZEWSKI —  
POEZJA OPTYMISTYCZNAEWA KORZENIEWSKA —  
NOWA POWIEŚĆ REMBEKAK. W. ZAWODZINSKI —  
KSIĄŻKI DLA DZIECI  
W DOROSŁYCH OCZACHHELENA BOBIŃSKA —  
DIALOG O CZARNYM WĘZUKAJETAN KOTOWICZ —  
HOMER SHAKESPEARE  
I AMERYKAŃSKA POMOC  
GOSPODARCZAADAM KOTULA, STANISŁAW LEM —  
Z RUCHU WYDAWNICZEGOSTEFAN OTWINOWSKI —  
W KRAKOWIEKANDYD —  
TAK TOCZY SIĘ ŚWIATEKKORESPONDENCJA  
PRZEGLĄD PRASY

NOTY



BENJAMIN CONSTANT

przekład M. Z.

## DZIENNIK POUFNY

(FRAGMENTY)

„Dziennik poufny” (Journal Intime) Benamina Constanta obejmuje czas od roku 1804 do 1816. Początkowe jego kartki przypadają na okres potęgi młodego Cesarstwa — jak wiadomo autor „Adolfa” dzielił wtedy wygnany los z panią de Staël, wydaloną przez Napoleona poza granice Francji. Kończąc część „Dziennika”, pisał w czasie „Stu dni”, kiedy to Constant odegrał pewną rolę w boku upadającego ołbrzyma, oraz w pierwszych dniach restauracji burbońskiej — zdaje się zamykać okres literacki w życiu Constanta i otwierać nowy: karierę polityczną autora „Czerwonego kajetu”, jako przywódcy liberalnej opozycji we Francji legitymistycznej. Lecz okres ten nie wchodzi do „Dziennika”. 15 lat aż do śmierci Constanta (8 grudnia 1830) pokrytych jest milczeniem.

Poniższe fragmenty dotyczą lat emigracji i podróży. Constant spędza je przeważnie w Niemczech, które interesują go swoją poezją i filozofią, oraz w Szwajcarii, gdzie znajduje się słynne Coppet, posiadłość jego wielkiej i nieznośnej przyjaciółki. Z tych osobistych notatek, kreślonych do rywoczko i nieregularnie, da się wyciągnąć niejedną uniosek o epoce, w której były pisane, i człowieku, który je zostawił. Można w nich nieraz spotkać groźny cień zwycięzcy spod Austerlitz, wiszący nad ówczesną Europą. Można również w nich odnaleźć inne symptomy tego czasu: pierwsze wpływy idealistycznej filozofii niemieckiej na umysły europejskich intelektualistów.

A człowiek? Nie jest to człowiek szczęśliwy. Pełen niepokojów i goryczy, często narzeka na swój los, który go związał z osobą dość męczącą, jaką jest pani de Staël. Tych dwoje intelektualistów nie potrafi się wyzwolić z więzów wygasłej miłości, Europa pełna jest plotek o skandalach w Coppet. Zrzadka tylko spotykamy na kartkach „Dziennika” notatkę o spokojnie spędzonym dniu — jest to najczęściej dzień poświęcony pracy nad dziełem o historii religii. Dzieło to, najważniejsza sprawa długich lat życia Constanta, nie przeszło jednak do potoczności. Natomiast „romans”, powstały w ciągu dwóch tygodni, jakby na marginesie własnej twórczości, „romans”, o którym mowa w poniższych fragmentach, uzyskał z czasem nienajgorszą sławę pod tytułem „Adolf”...

Osoby występujące w załączonych wyjątkach, są albo tak znane, że ich nazwiska nie wymagają komentarzy, albo tak przypadkowe, że komentarz byłby zbędny. Jedyne, często spotykane imię Charlotty zasługuje na parę słów wyjaśnienia. Charlotta lub dokładniej Georgina, Karolina, Augusta de Hardenberg była kochanką Constanta jeszcze w czasach jego młodości. Po długim okresie chłodu miłość wybuchła w dziesięć lat później, podsycona zapewne nieszczęśliwym pożyciem z panią Staël. Constant rozwodził Charlottę z jej mężem, p. Duterre i w r. 1808 w wielkiej tajemnicy (pani Staël) pojmując ją za żonę. W kilka lat potem wychodzi za mąż autorka „Corynny”. Twórca „Adolfa” zastępuje odtąd młodzieńki oficer, Rocca. Oto miał burzliwego romansu, w którym spłoty się nie tylko uczucia, namiętności i charaktery — ale również bogactwa na politykę, filozofię i sztukę.

## ROK 1804

**22 stycznia, Weimar.** Przyjechałem do Weimaru, gdzie zamierzam zostać przez jakiś czas, gdyż znajdę tu bogate biblioteki, poważne rozmowy, które lubię, a przede wszystkim spokój do pracy. Na obiedzie byłem u Boetigera — jest to człowiek niezwykle wykształcony, o zdrowym rozsądku, ale bez smaku i z ciężkimi manierami. Spotkałem tam młodego Anglika, Mr. Robinsona, wielbiciela Goethego i Kanta; łączy w swoim umyśle i zachowaniu brak wdzięku Anglików i niemiecką miłość do absolutu. Proszona kolacja.

**22 stycznia.** Pracowałem mało i źle, ale za to widziałem Goethego. Subtelność, miłość własna, drażliwość nerwowa posunięta aż do cierpienia, wybitny umysł, piękne wejście, twarz nieco zniszczona — oto jego portret... Byłem na prozonym obiedzie w wielkim towarzystwie, po obiedzie rozmawiałem z Wielandem. Umysł francuski — zimny jak u filozofa i lekki jak u poety. — Konna przejażdżka, którą zawsze lubię i która wprowadza mnie w tok mojej pracy. Podzieliłem mój czas między Herdera i Meinersa, Herder jest niby dobrze wygrzane i wygodne łóżko, w którym przyjemnie się myśli; Meiners pożyteczny ale nudny.

**27 stycznia.** Obiad jadłem dzisiaj razem z Goethem i poczułem, że Francuz, nawet jeśli nie pochwała tego wszystkiego co dzieje się w jego kraju, zawsze jest niecałkiem swobodny w towarzystwie cudzoziemców. W gruncie, we wszystkich rozmowach z Goethem czuję jakieś skrepowanie. Jaka szkoda, że wciągnęła go niemiecka mistyczna filozofia. Przyznał, że u spoczu tej filozofii leży system Spinozy. Mistycyzm Schellinga sprowadza się w rezultacie do wiel-

kich myśli Spinozy. Ale dlaczego łączyć z tym idee religijne i co gorsza katolicyzm? Dlatego mówią, że katolicyzm jest bardziej poetyczny. I Goethe powiedział: „Wole, żeby sprawiał mi ból, niż żeby przeszkadzać mi w posługiwaniu się nim, w celu uczynienia moich dzieł bardziej interesującymi”.

**28 stycznia.** Czytałem Monteskiusza. Cóż za bystre i głębokie spostrzeżenia! Wszystko cokolwiek powiedział, najmniejszy drobniaczek, jest zawsze sprawdzalny. Na przykład, wyjaśnia czym powinna być dyplomacja angielska, i rzeczywiście, ona jest taka. Rozmowa, jaką miałem z uczniem Schellinga, upewniła mnie, że ta filozofia jest kontynuacją Spinozy i zdąży do tego samego. Ich szacunek dla katolicyzmu jest obłądą...

Spędziłem przyjemny wieczór z Schillerem.

**9 lutego.** Obiad jadłem w towarzystwie kilku kobiet. Kobiety, które nazywamy intelektualistkami odznaczają się tym, że ich działalność nie prowadzi do celu. Są całkiem uformowane przez społeczeństwo — a wskutek tego sztuczne. Jeśli mają jaką taką twarz — to jeszcze ujdzie. Drobne zainteresowanie fizyczne — usprawiedliwia i pozwala wybaczyć niepotrzebną i bezowocną działalność ich duszy. Ale kobiety w pewnym wieku nie są już użyteczne dla społeczeństwa. Pozostaje im jeszcze rola przyjaciółek, ale przyjaciółek na emeryturze, słuchających zwierzeń i udzielających rad mężczyznom, dla których są już drugo lub trzeciorzędą sprawą w życiu...

Na kolacji byłem u Księżnej Matki. Kolacja trwała długo i była przyjemna.

**10 lutego.** Odwiedził mnie Schiller, ten człowiek posiada dużo inteligencji w zakresie swej sztuki, ale jest prawie wyłącznie poetą...

**12 lutego.** Skończyłem układać plan wszystkich rozdziałów pierwszej części mojej pracy. Dowcipne spostrzeżenie Schillera — czasowniki są o wiele bardziej żywe niż rzeczowniki. Słowo „kochać” jest o wiele bardziej wymowne niż słowo „miłość”, „żyć” niż „życie”, „umrzeć” niż „śmierć”. Czasowniki wyrażają czas teraźniejszy, rzeczowniki raczej przeszłość. — Jeszcze raz przeczytałem „Fausta” Goethego. To dzieło wyszydza rodzaj ludzki i wszystkich ludzi nauki. Niemcy znajdują w nim niesłychaną głębię, ja zaś uważam, że ma ono mniejszą wartość niż „Kandyd” — jest tak samo niemoralne, jałowe i oschłe, a posiada mniej lekkości, pomysłowości, dowcipu i o wiele więcej złego smaku.

**15 lutego.** Odwiedziny u Goethego. Interesująca rozmowa o zstąpieniu Ulisesa do piekieł i o obrazie Polignota w Delfach, wyobrażającym tę legendę. Opis znajduje się u Pauzaniasza. Polignot wprowadził do swego obrazu zagadnienie moralne, którego nie było u Homera.

Obiad jadłem z księżną Brunswiku, siostrą cesarowej rosyjskiej; ładna osoba. Wieczorem oglądałem Husytów Kotzebuego...

**16 lutego.** Bardzo ciekawa kolacja u Goethego. To człowiek pełen inteligencji, dowcipu, głębi, nowych myśli.

W czasie rozmowy o Wertherze powiedział: „To dzieło jest niebezpieczne przez to, że opisuje słabości tak jakby one były siłą. Ale kiedy zrobię już jakąś rzecz, która mi odpowiada, nie obchodzi mnie jej konsekwencje. Jeśli znajdą się szaleńcy, którym ta lektura wyjdzie na złe, doprawdy, tym gorzej dla nich”.

**26 lutego.** Otrzymałem dzienniki z Francji, z których dowiedziałem się o aresztowaniu Moreau. Odwiedził mnie Goethe. Interesująca rozmowa o geografii starożytnych.

**27 lutego.** Wieczór u Schillera. Czytał dwie sceny z Wilhelma Tella. Monolog Tella jest wspaniały przez swą naturalność i siłę. Pisarz francuski uważałby jednak za stosowne dodać dwie rzeczy:

1. Pewien żal wynikający z konieczności zabójstwa Gessler’a.

2. Więcej zapomnienia o niebezpieczeństwie i obojętności dla życia...

W ostatnim akcie piękny pomysł pokazania Tella w scenie z Juanem D’Austria, za-

bojącą cesarza, jego wuja. Schiller wykazuje tu różnicę między zbrodnią podyktowaną przez względy osobiste, a tą, którą Wilhelm Tell zmuszony był popełnić.

**28 lutego.** Kolacja z Schillerem i Goethem. Nie znam na świecie człowieka, którego umysł miałby tyle wesołości i finezji, siły i rozległości, co umysł Goethego.

**29 lutego.** Jutro wyjeżdżam do Lipska i nie bez smutku opuszczam Weimar. Upłynęły mi tu powoli trzy miesiące; studiowałem, żyłem bezpiecznie i nie cierpiełem wiele. Nie wymagam niczego więcej.

Jadłem kolację u księżnej z Wielandem i Goethem. Stanowczo, wiele jest dziwaczności w umyśle tego ostatniego.

**10 marca.** Kupuję za sześć ludwików niemieckich ksiązek i wracam jutro do Weimaru. 25-letni, młody człowiek został powieszony we Wiedniu za śpiewanie piosenki na cześć Rewolucji Francuskiej.

**11 marca.** Przyjechałem do Weimaru. Otrzymałem dzienniki z Francji. Aresztowanie Pichegru. Trybunał Nadzwyczajny. Zarządzenia przeciwko paserom i konspiratorom. Złożyłem wizytę pani de Schac, — wdowie na wydaniu...

**15 marca.** Byłem na przechadzce z Goethem. Nowa filozofia, przy wszystkich swych niedogodnościach, ma tę zaletę, że ogromnie pobudza umysł. A jeśli chodzi o niebezpieczeństwa mistycyzmu i katolicyzmu, którymi grozi, to liczę na sprzecznosci, jakie będą musiały powstać. Teraz buja ona jeszcze w obłokach, nie dotykając swymi wybrykami ani rządu ani religii, ale nie omlaska potrafić je końcem swych skrzydeł. — A wtedy — walka

Czuję bilecik od pani Schac... Biedna kobieta

**18 marca.** Widziałem „Wilhelma Tella”, istna latarnia magiczna, źle zbudowana, ale posiadająca o wiele więcej piękności scenicznej, niż inne sztuki Schillera. Scena Juana D’Austria w piątym akcie nie robi żadnego wrażenia. Mnóstwo niedorzecznych sytuacji; na przykład: zburzenie Bastylii, dokonane przez jednego człowieka, z niemieckim spokojem i przy pomocy małego młotka. Jedyne postać Tella jest dobrze narysowana...

Droga z Ellwangen do Aalen. W drodze czytałem trzy tragedie Sofoklesa — „Elektrę” i dwóch Edypów. „Edyp w Colone” to arcydzieło...

Kupiłem sobie małego pieska. O ile się nie wścieknie, jestem zupełnie pewny, że mnie nie pogryzie i nie zrobi mi nigdy nic złego. Nie mogę powiedzieć tego samego o tych, których nazywam moimi przyjaciółmi.

**1 kwietnia.** Skąd się wzięły te czarne i ponure myśli, które mnie dziś przyłaczają? Czy straciłem już całą władzę nad sobą?... Braknie mi tylko siły woli, żeby być szczęśliwym. Mógłbym nim być, powziąwszy trzy postanowienia. Gdybym prowadził tryb życia poświęcony wyłącznie literaturze. Zachował obojętność dla spraw, które poniechałem... I osiedlił się w kraju, gdzie znalazłbym postęp, bezpieczeństwo i niezależność. To wszystko czego mi trzeba.

Muszę znaleźć sposób, który by mi pozwolił skupić całe życie na literaturze. Ona zaspakaja wszystkie moje życzenia. To co wiem i czego się uczę — daje mi dostatecznie dużo radości. Mogło by mi upłynąć sto lat na studiowaniu Greków i to by mi wystarczyło.

Czytałem „Antygonę”. Cóż za wspaniały człowiek ten Sofokles. Preczytałem jeszcze raz Ajaksa i Filoktetę... Sofokles był jednocześnie poetą-tragikiem, generałem i mężem stanu. Chwalebnie pełnił najwyższe urzędy Republiki Ateńskiej. Prawdopodobnie bardziej mu zazdrośczonego jego dostojenstw niż talentu poety. Dostojenstwa zostały zapomniane — talent przetrwał...

W mojej obecnej sytuacji życiowej są pewne rzeczy, które sprawlają mi przykrość. Ale nie należy zapominać, iż wszystkie sytuacje mają utajone przykrości, które można osądzić wtedy, gdy człowiek znajdzie się w ich obliczu...

Wreszcie poznałem Schellinga. Nie lubiłem jego dzieł, ale teraz on sam jest mi jeszcze bardziej niemiły. Nigdy żaden człowiek nie wywarł na mnie tak przykrego wrażenia. Jest to mały jegomość z zadartym nosem,

o nieruchomym, szorstkim i bystrym spojrzeniu, gorzkim uśmiechu, suchym głose. Mówi niewiele, słuchając z uwagą, która bynajmniej nie pochlebia, lecz raczej wygląda na złośliwość...

Z przyjemnością czytałem epigramy Goethego. Zachwycający talent, lecz szczególna nienawiść do chrześcijaństwa. Goethe jest umysłem uniwersalnym i być może pierwszym „geniuszem poetyckim, jaki istniał w tym nieokreślonym gatunku ulotnych szkiców...

Miałem dyskusję ze Schleglem o „Don Kichocie”. Po raz drugi spostrzegłem, że poświęciwszy się prawie wyłącznie studiom nad sztuką i poezją, odczuwa swój system jako rzecz tak osobistą, iż jeśli się go zaatakują, sprawia mu to widoczne cierpienie; chwala Cervantesa zbladł i oczy napełniły mu się łzami; dzieje się z nim to samo, kiedy rozprawi o włoskiej poezji. Człowiek potrzebuje wzruszeń — kiedy zamknięcie im jedne drzwi, one wchodzi drugimi...

Pani Staël wręczyła mi ciekawy zbiór listów pisanych do pani Necker. Znajdują się wśród nich listy Voltaire’a, D’Alamberta i Diderota. Listy Gibbona są zmanierowane i śmieszne na skutek kontrastu między jego miłośnością do pani Necker a stylem ciężkim, zimnym i wyszukany. Tak więc napisawszy, że szczęściem jego życia będzie posiadanie jej, kończy — pozostaje z głębokim szacunkiem bardzo oddany i posłuszny sługa...

Gdy czytałem wiele listów różnych osób, które już nie żyją — ogarniają mnie uczucia podobne do uczuć owego chłopca, który widząc pijaka powiedział: „Oto jak będzie wyglądał w niedziele”.

Tego wieczoru Schlegel poczuł się urażony jednym z docinków pani Staël, a ponieważ ona nigdy nie męczy się rozmową, rozpoczęła o pierwszej nad ranem wyjaśnienia, po których dalej prowadziła dyskusję o rzeczach sto razy omawianych. Umierałem z senności, bolały mnie oczy, ale musiałem słuchać. Nigdy nie widziałem lepszej kobiety, o większym uroku i oddaniu, ale jednocześnie nie znalazłem żadnej o tak ustawicznych wymaganiach, która, nie zdołając sobie z tego sprawy, w równej mierze zajmowała by sobą życie tych, co ją otaczają... Całe życie, minuty, godziny, lata, — powinny być do jej dyspozycji. A kiedy wpada w zapał — powstaje hałas jak w czasie burzy i trzęsienia ziemi. Rozpieszczone dziecko — to wyjaśnia wszystko.

Żeby sobie zapamiętać wieczór, przeczytałem mój dziennik i wydał mi się dość zabawny. Być może, nie zrobi podobnego wrażenia na tych, o których mówię, wszakże nikt z nich nie pisze inaczej o swoich przyjaciółkach. Rozpoczynając dziennik, przyrzekłem sobie pisać tylko dla siebie, jednak nawyk mówienia do słuchaczy jest tak silny, że parę razy zdradziłem swe postanowienie. Dziwaczny jest rodzaj ludzki, który nigdy nie może być zupełnie niezależny. Inni — to są inni, i nigdy nikt nie dokona tego, by byli „mną”.

## ROK 1806/7

**10 maja.** Otrzymałem list od pani Staël. Wzburzenie wszechświata i zamęt chaosu. A jednak ze wszystkimi swymi wadami jest dla mnie cenniejsza nad wszystko. — Postanowiłem spotkać się z nią w Auxerre. Jestem pełen niepewności, jak statek porwany przez dwie przeciwne burze, Zachował mój ojciec. Przejechałem przez Dôle i zatrzymałem się tam kilka dni. Ojciec był czuły i serdeczny. Dobrze to na mnie wpływa. Ale i tu odszukał mnie list od pani Staël. Wulkany są mniej płomienne niż ona. Cóż robić? Walka mnie męczy — połóżmy się w barce i śpijmy podczas nawalnic.

Ojciec czuje się lepiej, wyjeżdżam do Auxerre. Główną przyczyną zamętu w moim życiu jest potrzeba miłości. Muszę ją zaspokajać za każdą cenę.

Przyjechałem, lecz do czego doprowadził nieczułość mego postępowania?

„Nowiny z Paryża są niedobre. Władca — nieublagany. Ja również odczuwam tego skutki. Wieczorem straszliwa, bezsensowna scena. Okrutne słowa. Ona jest szalona, ja jestem szalony. Jak to się skończy? Wszystko jedno, nie przestanę jej śledzić.”

Wyjechałem do Paryża, gdzie widziałem Fouché’go, Józefa Bonaparte, Lacretella,



Jednym słowem wszystkich tych, którzy mają dostęp do władzy. Zająłem się również procesem ojca. Ze wszystkich stron dają mi nadzieję, ale ja temu nie ufam.

Wróciłem do Auverre w towarzystwie pani Récamier...

Moje złe przeczucia spełniły się, nie osiągnęło niczego. Ta trudność rozjątrzyła naszą wygnankę, która postanowiła jechać do Spa. Będzie to chwila wytchnienia.

Pani Staël wyjechała, wracam do Paryża.

**1 stycznia 1807.** Tak, bardziej niż kiedykolwiek chcę z tym skończyć. To największa egoistka, furiatka, niewdzięcznica, najbardziej próżna i mściwa z kobiet. Dlaczego od dawna z nią nie zerwałem? Jest ohydna, nie do zniesienia. To musi się skończyć, albo umrę. Wszystkie wulkany świata są mniej płomienne niż ta kobieta...

**Paryż.** Widziałem parę razy Fouchégo. Nie przestaje pomagać pani Staël, ale napotykam na duże trudności. Chcę zacząć pisać romans, który będzie moją historią. Wszelka poważna praca stała się niemożliwa w tym udręczonym życiu.

Spędziłem bardzo przyjemny wieczór u pani Condorcet z Cabanitem i Faurielem.

Skończyłem moją powieść w piętnaście dni. Przeczytałem ją Hochetowi, który był z niej bardzo zadowolony...

Przeczytałem moją książkę panu Boufflers, który dobrze uchwycił jej sens. To prawda, że nie pisałem jej z wyobraźni: non ignara mali...

**Koniec stycznia 1807 r.** Jestem obecnie na wsi Harbages, czuję się bardziej spokojny. Wróciłem znowu do mojej wielkiej pracy o religii i pracuję bardzo dobrze.

Posunąłem ją znacznie naprzód, ale oto znowu ruszam w drogę, żeby spotkać się z panią Staël w Acosta. Potrzebuje mnie dla swoich spraw, które zdają się przyjmować pomyślniejszy obrót. Znowu zmiana miejsca i pakowanie rzeczy, ciągle to pakowanie, pakowanie...

**Koniec maja.** List od pani Staël. Cóż za furia. Mój Boże — oswobodź nas jedno od drugiego. Wieczór u pani Récamier z Faurielem. Czytałem im mój romans, który zrobił na nich szczególne wrażenie. Oburzył ich charakter bohatera. Stanowczo, nie potrafia mnie zrozumieć. — Widziałem Talmę w Hamlecie, jest wspaniały...

**Koniec maja.** Z moimi oczami coraz gorzej. Radziłem się V... Osłabienie nerwu wzrokowego. Skończę na ślepotę. To będzie wypoczynek, którego mi trzeba...

Jadę na wieś z Charlottą. To anioł słodyczy i wdzięku. Z każdym dniem kocham ją więcej. Jest łagodna i miła, co za szaleństwo, że ją odrzuciłem dwanaście lat temu. Cóż za mania niezależności opanowała mnie wtedy...

Wróciliśmy do Paryża. Szalone dni: upojone miłością. Cóż to ma znaczyć? Ta kobieta, którą odrzuciłem sto razy, która mnie zawsze kochała, którą odrzuciłem bez przerwy, którą opuściłem bez żalu 18 miesięcy temu, do której pisywałem obojętne listy, od której weszły poniedziałek, te listy odebrałem, ta sama kobieta dzisiaj zawróciła mi głowę. Oczywiście, to się stało przez porównanie z panią Staël, która jest tego wszystkiego przyczyną. Różnica między jej wybuchowością, egoizmem, nieustannym zajmowaniem się sobą a słodyczą, spokojem, pokornym i skromnym sposobem



Benjamin Constant



Mme de Staël

hem bycia Charlotty, czynią mi ją stokrotnie droższą.

Moja słabość sprawiła, iż wróciłem do pani Staël, pod pretekstem, że mogę być potrzebny w jej sprawach, które udało mi się polepszyć. Niestety. Jak zwykle czas upływa mi tu wśród przykrych scen i nawrotów uczucia. Jednak oboje czujemy w głębi, że zerwanie jest bliskie i konieczne...

Moja wstrętna słabość trzyma mnie w niepewności, jakkolwiek nie można porównać Charlotty, pełnej słodyczy rozsądku i godnej podziwu bezinteresowności, z tą furią, która mnie ściga z pianą na ustach i sztyłem w ręku.

**Koniec lipca.** Wreszcie sprawa papierów została załatwiona, papiery wysłane do Niemiec. Charlotta wyjeżdża, ja jej towarzyszę... Zacznie działać natychmiast. W przeciągu sześciu tygodni wszystko może być załatwione...

**5—10 lipiec.** Pani Staël wycofuje się, nie chce słyszeć o zerwaniu. Najprościej będzie nie spotykać się z nią więcej i czekać w Lozannie poleceń Charlotty, tego anioła, którego błogosławie, ponieważ mnie ocala. Schlegel pisze mi, że pani Staël zapewnia, że się zabije, jeśli ją opuszczę. Nie wierzę jej ani słowa... Wiem, że będę uznany za potwora, jeśli ją porzucę — umrę, jeśli jej nie porzucę. Żałuję jej i nienawidzę.

**Półowa lipca.** O ja nieszczęśliwy! Znowu ulegam słabości. Wyjeżdżam do Coppet. Rozrzewnienia, sceny rozpacz, wreszcie niezawodny sposób „zabije się”.

**Do 1 sierpnia.** Kilka dni szarpaniny i niepewności. Wkońcu wyjeżdżam do Lozanny. Moja rodzina wymaga zerwania; podtrzymają mnie. Będę otoczony swoimi. Widziałem panią Nassau, nie pochwała projektów z Charlottą, ale mało mnie to obchodzi. Ona jest moim szczęściem,

**Okolo 15 sierpnia.** Wreszcie list od Charlotty... Nic mnie nie zatrzymuje ponieważ Dutertre przystał na rozwód. Wyznażyłem Charlottę spotkanie w Lipsku. I tam, szczęśliwy i spokojny, będę poważnie pracował nad utworem literackim, który powinien otworzyć mi drogę do Francji.

Nie wyjeżdżam. Jadłem obiad u pani Staël, gdzie próbowano tragedię „Pyrrus”. Rola jest sztuczna, czuję, że nie zagram jej z dostateczną głębią.

Wieczór w łasku Cery. Nie mam listu od Charlotty. Cóż za męka... Probowano „Andromakę”.

**Koniec sierpnia.** Obiad u Dorigny. Wszyscy byli dla mnie bardzo mili i nie grałem źle. Pani Staël bardzo serdeczna. Mój Boże, coż robić? Na szczęście wyjeżdża z panią Récamier. Muszę jechać do ojca, to mój jedyny ratunek.

**30 sierpnia.** Dzisiaj 30 sierpień 1807 r., zanotujmy ten dzień — decyzja została powzięta, jutro nieodwołalnie wyjeżdżam. Oto list. Ostatnie pożegnanie. Cóż mogę powiedzieć? Wszystko się odmieniło. Ten wysiłek jest dla mnie nie możliwy. Okropny dzień niezdecydowania i udręki. List został podarty, jakaś magiczna siła panuje nademną. Jadę do Coppet. Wielki Boże, co robić?

Przykra scena, szamotyczna noc. Cóż mam tutaj począć? Wyjeżdżam rano do Lozanny. Wszystko zerwane...

**1 września.** Niestety. Pocóż mi było uciekać. Pani Staël przyjechała, wszystkie moje plany zostały zburzone. Wieczorem okropna scena, która trwała aż do piątej rano... Najprościej jest wyjechać, nic nie mówiąc. Udam się do mego ojca, nie przyjadą mnie tam szukać.

Przyjechała, rzuciła mi się do nóg, wydawała okropne okrzyki bólu i rozpacz. Serce z żelaza nie oparło by się temu. Je-

stem z powrotem razem z nią w Coppet. Przystałem na sześciotygodniowy pobyt, a Charlotta będzie czekała na mnie w końcu września. Co robić, Wielki Boże? Depczę nogami moją przyszłość i moje szczęście.

Chcę się zabrać do pracy, żeby zabić czas do 15 października. Naszkicowałem plan tragedii „Wallenstein”. Wskazówki, pani Staël są mi bardzo pomocne. Otrzymałem oschłe listy od pani Nassau i Rozalii, moja słabość je oburza. Łatwo im tak mówić. Dziesięcioletnia zażyłość, zementowana przez obowiązki i czule przyzwyczajenie, niełatwo daje się zerwać.

**9 września.** Napisałem do pani Nassau, Loys i Charlotty, skończyłem pierwszy akt mojej tragedii. Są tam piękne strofy. Wspomniały list od Charlotty czekającej na moją decyzję.

**10 września.** Czytałem pierwszy akt, był bardzo oklaskiwany. Przejdźmy do czterech następnych. — Kocham Charlottę bardziej niż kiedykolwiek...

List od Charlotty, tak kochający i tak ufny, jak nigdy. Jeśli by wiedziała, gdzie jestem, czy przebaczyła by mi? W jaką przepaść zostaną rzucony? Wieczorem potworna scena. Czy wyjdę z tego żywy? Muszę spędzać czas na kłamstwie i oszustwach, by uniknąć jej wściekłości, która mnie przejmuję lękiem. Jeśli nie miałbym nadziei na bliski wyjazd pani Staël do Wiednia, to życie było by nie do zniesienia. Żeby się pocieszyć, spędzam czas na wyobrażeniu sobie, jak będzie jeśli wszystko pójdzie dobrze...

Moja tragedia posuwa się szybko naprzód; pracuję nad nią z przyjemnością. Czas płynie, ale niebezpieczeństwa trwają nadal. Pani Staël jest bardzo pomocna dla mojej tragedii i stała się tak uroczą i dobrą, że gdyby nie wspomnienie minionych gwałtów, nasz związek odżyłby na nowo...

Pani Staël odzyskała ponownie swój straszny charakter. Pracuję z wściekłością w sercu, żeby nie myśleć o tym. Czytałem dwa akty Chatreavieux, który jest niemi zachwycony...

Miałem list od Charlotty. Wie wszystko. Jest smutna i zniechęcona, ale pozostaje mi wierna. Nie puszcza jej. Boże, spraw, żeby ta druga wyjechała.

Wyścił w Lozannie. Wszyscy mnie ganiają za powrót do Coppet. Grają na nowo „Fedre”. Pani Staël gra cudownie. Moja tragedia będzie pretekstem, żeby przedłużyć pobyt.

Ojciec pisze mi, że chce tu przyjechać. Jeszcze tylko tego brakuje. Pani Staël jest napewno osobą bardzo dobrą i bardzo oswieconą. Moja sztuka będzie wspaniała. Do skończenia zostało mi tylko sto osiemdziesiąt wierszy.

**Okolo 25 listopada.** Charlotta jest w Besançon, zrozpaczona, że mój przyjazd nie jest pewny. Nie ma co się wahać. Mój ojciec posłuży za pretekst, wyjeżdżam.

**Do 13 grudnia.** Charlottę znalazłem bardzo nieszczęśliwą. Bredziła, zadrzała na dźwięk mojego głosu i wykrzyknęła: „Oto człowiek, który mnie zabija”...

**Po kilku dniach.** Charlotta odżyła. Odzyskała odwagę i zaufanie do mnie, moje szczęście jest zapewnione.

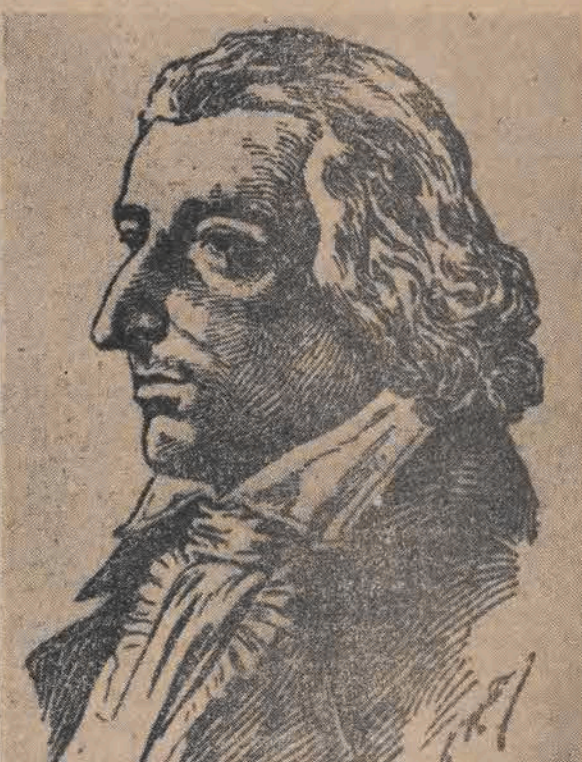
**27 grudnia.** Jednak znowu napisałem trzy listy do pani Staël, które być może, zrobią jej przykrość, ale tak trzeba, decydująca chwila się zbliża. tłum. M. Z.



Mme Recamier (obraz Gérarda)



Goethe



Schiller



PAWEŁ HERTZ

## W PARYŻU I W GENEWIE \*)

16

LIPCA 1832 notuje Słowacki w swoim pamiętniku paryskim wysłany do matki: „Mickiewicz blisko jest Paryża i o paszport się stara, bo tu nas do stolicy puszcząć nie kazano...“

Teraz po ukazaniu się poezji drukiem Słowacki z podwójnym niepokojem oczekiwał przyjazdu dawnego gościa pani Becu. Przede wszystkim przyjazd Mickiewicza, którego popularność odwrotnie niż w wypadku Słowackiego była wśród wychodźstwa ogromna, mógł odjąć wiele blasku wstępującej sławie Juliusza. Na tę popularność, składała się przekonanie, że Mickiewicz w przeciwieństwie do Słowackiego jest poetą „naprawdę“ narodowym. Przekonanie to, jak wiemy, opierało się głównie na różnicy pomiędzy dziełami obu poetów: Mickiewicz w „Konradzie Wallenrodzie“ dał przejrzysty i jasny program moralny dla podbitego kraju, w balladach i romansach czerpał w mniemaniu opinii czytelniczej bezpośrednio z ludowego folkloru, choć dziś wiemy dobrze, jak wielki był wpływ niemieckiego wczesnego romantyzmu na tę właśnie gałąź mickiewiczowskiej twórczości.

Słowacki zaś był poetą aluzyjnym, korzystającym z obfitej doświadczeń byronicznych, które, jak się to wydawało ówczesnej publiczności, były niezmiernie dalekie od spraw wyzwolenia kraju. Indywidualizm Słowackiego, wyrażający się w egotyźmie jego bohaterów, był również nieznośny.

Mimo to musiał Słowacki z niecierpliwością oczekiwać tego przyjazdu, bowiem Mickiewicz wydawał mu się jedynym krytykiem jego poezji, z którego opinią należało się liczyć. W tym podwójnym stosunku do Mickiewicza maluje się dość dokładnie cały Słowacki owego paryskiego okresu.

22 lipca, czyli w kilka zaledwie dni po pierwszej wiadomości o Mickiewiczu, jaką znajdujemy w jego paryskiej korespondencji, czytamy w pamiętniku:

„Z rana długo o mnie siedział Rymgałło — potem Januszkiewicz — wieczorem byłem u Podczaszyńskiego — chciałem, aby nie drukował Ody i natomiast dawałem mu kilka strof o Paryżu, ale te zdawały mu się nie patriotycznymi... więc prędko cofnąłem się z nimi... I dalej: „Mickiewicz przyjeżdża — już jest w Chalons. Bohdan Zaleski przyjeżdża także... Więc Parnaś polski będzie w Paryżu; jeżeli nazbyt huczny, to ja z niego ucieknę...“

„Paryż“, odrzucony przez Podczaszyńskiego, należy do najpiękniejszych może wierszy Słowackiego i jest jednym z najnowocześniejszych, najbardziej oryginalnych w poezji romantycznej epoki. Po wspaniałym opisie miasta, po strofach świetnie malujących niepokój nadsekwantów tych owych lat po rewolucji 30 roku, mówi Słowacki:

„Tu dzisiaj Polak błąka się wygnany,  
W nędzy — i brat już nie pomaga bratu.  
Wierzby płaczące na brzegach Sekwany  
Smutne są dla nas jak wierzby Eufratu“.

Jakże więc dziwić się poczciwemu Podczaszyńskiemu, że nie chciał wtedy, w Paryżu, w piekle polskiej emigracji, drukować tych smutnych wierszy? Obyczaj narodowy przedstawiono w nich od nienajlepszej strony i trudno znaleźć w tym wierszu coś, co by mogło „krzepić serca“ emigracyjne.

Wreszcie 31 lipca notuje Słowacki w swoim Pamiętniku: „Mickiewicz przyjechał do Paryża. Ale nie pójde pierwszy do niego. Jeżeli się zechce poznać ze mną, to dobrze...“

Przyjazd Mickiewicza w emigracji wywołał jednak inne wrażenia i uczucia. Fetowano go niezmiernie. Towarzystwo litewskie przyjęło go w tydzień po przybyciu na członka. Wydano na jego cześć wielki obiad. Ale Słowacki nie był ani na uroczystym posiedzeniu, ani na tym obiedzie. W trzy dni po bankiecie dla Mickiewicza urządzono obiad dla Dwernickiego, który też zjechał do Paryża. I tu dopiero, w jednej z restauracji koło Pól Elizejskich, które wówczas były jeszcze jak gdyby wiejskim ustrojem, Mickiewicz i Słowacki spotkali się i odbyli nawet dość długą, choć tylko ceremonialną rozmowę. Chwalili się wzajemnie, obypywali się komplementami i dopiero po tym słodkim wstępie rozmowa przybrała ton bardziej zwyczajny. Wtedy Słowacki wspominał dość złośliwie ową przykrą scenę w wileńskim salonie pani Becu, gdzie Jan Śniadecki natrząsał się z „Bailad i Romansów“ w obecności ich autora. Chcąc pokryć jakoś tę złośliwość, której widocznie nie potrafił lub nie chciał się wyrzec.

\*) z przygotowanej do druku „Gawędy o Juliuszu Słowackim“.

Słowacki znowu zaczął obypywać Mickiewicza komplementami. Cała rozmowa toczyła się w obecności świadków, z których jeden, stojąc za plecami Słowackiego, powtórzył kilkakrotnie „Nadto jesteś skromny, Juliuszu!“ Obaj poeci wymienili jeszcze kilka zdawkowych słów i rozeszli się w różne strony.

W kilka dni potem powtórzono Słowackiemu co Mickiewicz powiedział o jego wierszach. Sąd ten — owa historyczna „świętynia bez Boga“ — podobal mu się z początku bardzo i dopiero potem oceniony w ten sposób poeta zorientował się, iż to właśnie zdanie wystarczyło, by literacka emigracja na zawsze odwróciła się od jego książek.

Spotykali się jeszcze potem ze sobą w Towarzystwie Litewskim, gdzie Mickiewicz został obrany prezesem wydziału historyczno-literackiego, zaś Słowacki — sekretarzem. Co za los! Ale z tych urzędowych kontaktów nie wynikło nic takiego, co by mogło ich do siebie zbliżyć.

Emigracja tymczasem coraz to stawała się liczniejsza. Witwicki, Górecki, Zaleski... Chopin przyjechał już dawniej. Trzymał się z daleka. 26 lutego miał koncert u Plecyela. Sala była przepełniona; Polacy, krytycy muzyczni, w pierwszych rzędach widać było piękny profil Liszta.

W sierpniu na wieczorze u Platera stęszął Słowacki Chopina po raz pierwszy w Paryżu. W kilka dni później był znowu artystyczny wieczór, ale jak pisał Słowacki w Pamiętniku „na tym wieczorze nudziłem się śmiertelnie od 10 do drugiej w nocy — pod koniec jednak Szopin upił się i przesłizne rzeczy improwizował na fortepianie“.

W tym dosyć ubogim życiu towarzyskim niewiele nawet miejsca zajmuje Kora Parnaś. Widuje ją jeszcze, ale coraz to rzadziej. Październik jest miesiącem kilku kłósek naraz. List otrzymany od Ł. Śniadekiej rozstrzelił go niezmiernie, a choć nie wiemy, co w nim napisała dawna przyjaciółka, należy się domyślać, że treść tego listu była dla Słowackiego bardzo bolesna, skoro pisząc do matki w tym czasie skarży się, że „świat ten, c'est une farce un peu trop lourde“. Z Korą zresztą też się rozstał, zdaje się, już na dobre.

Wieczory w Hotelu Lambert skończyły się, bo księżna wyjechała do Galicji. Zasiadł więc znowu do pisania, które w jesieni wydawało mu się łatwiejsze i przyjemniejsze. Rozpoczął sztukę z myślą o wystawieniu jej we francuskim teatrze. Podobnie jak niegdyś swojego „Króla Ladaw“, tak i tę rzecz pisał po francusku. Tym razem zrezygnował z tematu narodowego i postanowił stworzyć rzecz osnutą wokół strasznych dziejów rodziny Cenci. Pracował starannie nad tym dziełem, gdy nagle pewnego listopadowego dnia otrzymał od kogoś pozakreślony troskliwie czerwonym ołówkiem tom Mickiewicza, świeżo wydany drukiem u Pinarda. Była to trzecia część „Dziadów“. W egzemplarzu dostarczonemu Słowackiemu ktoś troskliwie pozakreślał wszystko to, co odnosiło się do jego ojczyzny, pana Becu, który w mickiewiczowskim dziele występuje jako Doktor.

Słowacki poczuł się głęboko dotknięty tym, że Mickiewicz przedstawił męża pani Salomei, w której domu przebieg nieraz bywał, jako skończonego lotra, zaprzędanego całkowicie Moskalom. Zresztą zdaje się, że Mickiewicza nie miał racji. Rola bowiem doktora Becu nie była wcale tak kompromitująca. Sądzę jednak, że Słowacki obawiał się głównie kompromitacji dla siebie, jako dla pasierba pana Becu. W dodatku kompromitacja była zawarta w dziele Mickiewicza. Postanowił więc wyjechać z Paryża, gdzie nie go właściwie już nie trzymało. Jako cel podróży obrał Genewę. Wyruszył w drogę 26 grudnia 1832 roku, dyliżansem jadącym w stronę szwajcarskiej granicy. Żegnało go zaledwie kilku przyjaciół. Mijał Sekwanę, dyliżans kołysał się zniechęcająco na Pont Neuf, potem wjechał w dzielnicę, gdzie Słowacki nigdy nie był. Wreszcie znikły ostatnie domy tego miasta, w którym Juliusz, jak pisze, nie znalazł w ciągu półtora roku „nic przyjemnego, żadnego wspomnienia, oprócz chwili, w której mi przyniesiono dwa tomiki moich poezji“.

Podróże w owym czasie były uprawiane nie tylko dla poznawania świata. Europa dziewiętnastego wieku stała się już zbyt ciasna, zwłaszcza dla pisarzy, którym rzeczywistość nigdy nie wystarczała. Romantyczne porwy, które Słowacki znał tak dobrze z książek Byrona, w rzeczywistości europejskiej odbijały się jak w krzywym zwierciadle. Bohater poematu żył w wierszach życiem oddzielnym, jego czyny w zamierzeniach autorów były wyjątkowe, niezależne od rzeczywistości realnej, niepogo-

dzone z historią, niepodległe jej wymaganiom. Gdy ze sceny książek zstępowano na scenę życia, wówczas wszystko musiało wydawać się szare i zwykłe, zwłaszcza współczesnym. Dopiero po latach, gdy już dobrze rozumiemy sens wydarzeń historycznych, pokrytych w dodatku patyną czasu, wydają się nam one niezwykle i sami chętnie staramy się je upiększyć. Dla Słowackiego powstanie greckie było źródłem natchnień poetyckich, powstanie listopadowe, którego był świadkiem przetrzało go i przyniosło zapewne prozaiczną polityką stronnictw i trudną strategią wodzów. Jeśli tak dobrze rozumiał „powstańca greckiego“ Lambert, dlaczego nie poszedł za Mochnackim? Jeśli zdobył się na patriotyczne pieśni, dlaczego opuścił Warszawę? Myślę, że poza wszelkimi powodami rzeczywistymi, o których już pisałem, na dnie wszelkich postanowień podróży, tych nieustannych wędrówek po Europie i dalej, u spodu niespokojnych nocy w dyliżansach, tkwiła ta sama wiara, która była wspólna dla wszystkich niemal wybitniejszych umysłów tego czasu: wiara w ucieczkę od samego siebie; jak gdyby w malpostach, które biegły z dawną wytyczonymi szlakami, przez zielone Niemcy, spokojną Szwajcarię i dalej, ku wysokim kolumnom Rzymu, ku zatoce Neapolu, tak podobnej w swojej geologicznej budowie do greckich wybrzeży, podróży romantycznej nie wzięły wraz z zielonymi kuferkami i w safian oprawnym sztambuchem samych siebie, niepogodzonych z Europą intryg politycznych, gabinetowych matactw, tajnych związków karbonaryjskich i nagłych, gwałtownie uderzających, niby pioruny nadciągającej burzy, rewolucji i powstań, po których, choć na krótko, odświeżało się duszne powietrze zawisłe nad kontynentem.

Słowacki szukał spokoju, uciekał może nie tylko od osobistych przykrości wywołanych ukazaniem się trzeciej części „Dziadów“, nie tylko od nienawistnej mu wtedy zapewne postaci Mickiewicza „z pomietym od koszułi kohnierzem i we fraku zasmolonym“. Paryż emigracyjny wymagał decyzji: w sprawach narodowych, społecznych, politycznych. W Szwajcarii można było swobodnie rozmyślać i swobodnie wybierać. Można się było nawet zastanawiać, czy wracać do kraju — bo z takimi zamysłami nosił się jeszcze w październiku, gdy pisał do Teofila Januszkiewicza: „zdaje mi się, że tobie by dobrze było w Kijowie... ja kiedyś także bym rad z Mamą zamieszkał, tylko żeby mi to nie krępowało mojego zawodu — bo Lambert straszny... Ale nieszczęście trzeba myśleć o punkcie zjechania się — bo tak błąkać się po zagranicy, to okropnie, kiedy długo pociągnie“. Sam oceniał swojego „Lambra“ jako poetę patriotycznego, który by mógł sięgnąć na niego przykrości ze strony władz rosyjskich, choć być może cenzura carska odmówiłaby, podobnie jak emigracja literacka, miana „poety narodowego“ temu, kto snuł dalekie służbę i nie narodowy temat dla swoich wierszy wybierał.

Zatrzymał się w Genewie, niezdeterminowany czy tu zostanie na długo. Z polecenia znajomych obrał na mieszkanie dom pani Pattey, położony niedaleko miasta, w Paryżu. Pani Pattey prowadziła tu pensjonat, w którym spodziewał się przyjemniejszego nastroju niż w smutnym, hotelowym pokójku „Pod Wielkim Oriem“. Miał teraz „pokoik bardzo ładny, zupełnie wiejski, z obiciem w kraty zielono-karmazynowe, biurko czesnotkowe, ogromny, ale ogromny fotel aksamitny, w którym jak sięgdzie to mnie nie widać...“ Nie było mu tu źle: z rana zasiadał do angielskiego śniadania, potem szedł do miasta, do biblioteki lub do czytelni pism, po południu bawił panną w salonie. Towarzystwo było międzynarodowe: Anglicy, Francuzi, Rosjanie. Stara pani Pattey i jej córka, Eglantina, okazywały mu troskliwość i przyjaźń. Szczególnie Eglantina, która z uporem sentymentalnej Szwajcarki pragnęła jednocześnie zastąpić mu siostrę i kochankę. To pierwsze cieszyło go nawet, „ubił w gruncie rzeczy, by się nim zajmowano. To drugie — chociaż dał się początkowo wciągnąć w sentymentalne spacerki, wspólne zbieranie fiołków i podziwianie perspektywy Mont Blancu — znudziło go szybko. Tym bardziej, że już w lutym zaczął się interesować bardziej panną Elizą Morin, której matka kiedyś w rozmowie, nie znając dobrze jego nazwiska, wspominała o wydrukowanym w „Revue Européenne“ artykule pochwalnym o poezjach niejakiego Słowackiego. Był to artykuł Lemaitre'a zaopatrzonej w przekłady francuskie kilku utworów. Pobyt w Genewie zaczyna się przeciągać. Po przykrościach Paryża, gdzie mówiące szersze, Słowacki nie potrafił, a może nie chciał, stworzyć sobie żadnego środowiska, bo przecież oficjalności hotelu

Lambert czy wieczory u Platerów nie mogły mu zastąpić ludzkiej przyjaźni czy choćby tylko życzliwości — dom wdowy Pattey, pełen cudzoziemskich podróży, gdzie okazywano mu tyle serdeczności — był mu bardzo miły.

W początkach marca powziął Słowacki ważną decyzję, natury nie tylko osobistej, ale i politycznej. Oto włączył do nowego, trzeciego tomu swoich poezji, który miał drukować w Paryżu, u Pinarda, wszystkie swoje wiersze patriotyczne z okresu powstania listopadowego. Jeśli uważał, że „Lambro“ jest „straszny“, to wiersze powstańcze były jeszcze „straszniejsze“ dla carskiej cenzury. Powrót do kraju w istniejących warunkach politycznych był już tym samym zupełnie niemożliwym. Słowacki świadomie przyjął na siebie rolę poety na wygnaniu i ta decyzja, jak myślę, pociągnie za sobą coraz to wzmagającą się łączność późniejszych jego dzieł ze sprawą narodową.

Trzeci tom poezji ukazał się w maju 1833 roku i zawierał, prócz „Lambra“ i wymienionych już wierszy powstańczych, piękny „Paryż“ nieskazitelny „Dumę o Wacławie Rzewuskim“ oraz „Godzinę Myśli“, poemat esobisty, pełen reminiscencji dzieciństwa i wczesnej młodości, przyjaźni ze Szpiznaglem i nieszcześliwej miłości do Śniadeckiej. „Godzina Myśli“ najświetniej może tłumaczy postać młodego Słowackiego, to spowijającego się w romantyczną, bez wolnościowych ozdób, opończę Byrona, to znowu w strój patriotyczny. Romantyzm, tam gdzie natrafiał na złożoną sytuację polityczną, na nierozwiązane sprawy narodowe, na wynikający z nich niedorozwój organizmu społecznego, tam wszędzie stawał się ruchem nie tylko literackim, ale również społecznym i politycznym. Gdzie indziej bywał modą, literackim prądem, wygasał, kosztował. Byron musiał z Anglii uciekać pod Missolonghi, naszym poetom starczyło, gdy wracali myślą i pamięcią w noc narodową kraju.

W przedmowie do trzeciego tomu poezji zaczęli Słowacki Mickiewicza wypowiadając się na temat „wieczery pańskiej polskich poetów, do której zasiadli w Paryżu“. Ale Słowacki nie wierzy „aby szkoła De-La-Menistowa i natchniona przez nią poezja była obrazem wieku“, nie ufa katolickimwi drezdeńskim „Dziadów“ Mickiewicza, który po ukazaniu się tomu Słowackiego napisał kilka lekceważących słów o tej książce w paryskim „Pielgrzymie Polskim“.

Cały ten okres szwajcarski jest ogromnie ważny w jego życiu i twórczości. Słowacki, staje się poetą narodowym, chce nim być, stawia to sobie za cel. Rzecz inna, czy emigracja uzna go za takiego. Wiadomo, że przez wiele lat go nie uznała, a nawet do niedawna, często powtarzano zdanie, że w odróżnieniu od Mickiewicza czy Krasińskiego był Słowacki „pozbawiony uczucia społecznego“. Jeśli jednak czytać uważnie jego pisma, czy choćby listy wszędzie, a zwłaszcza, w okresach późniejszych, znajdziemy nie tylko owo, „uczucie społeczne“, ale nawet uczucie społeczne całkowicie sprecyzowane i określone.

Ten niewątpliwie przełom jaki zaszedł w Słowackim w okresie szwajcarskiego pobytu był dyktowany przez rozum, a nie przez serce. Choć przez to powiedzied, że Słowacki musiał zdać sobie sprawę, iż jeśli zamierza pisać po polsku jako emigrant, jeśli chce by głos jego brzmiał, tak samo donośnie jak głos Mickiewicza, wówczas musi zrzucić opończę byronicznych pozorów i włożyć nowy strój. Pragnął jednak, by ten nowy strój był własnego kroju. Wybór został dokonany przez świadomość, „nie przez egzaltowaną wyobraźnię“.

Lato 1833 roku mija mu poza to tylko na obserwacjach towarzystwa w pensjonacie wdowy Pattey, na górskich wycieczkach w towarzystwie rodziny Uwarowów, na znajomości z panią Potopow, z panem Szaszinem i z „comtesse Seidwitz“ — starą, wygorszoną austriacką damą, za którą stąpa zawsze lokaj Niemiec z dwiema poduszkami, które kładzie „gdziekolwiek baba usiąść zamierza“. Poza tem Anglię — stary i młodzi, którzy ciągną przez Szwajcarię na południe, do Włoch, zwłaszcza pewna młoda Angielka interesowała go wtedy szczególnie ku wielkiemu utrapieniu panny Eglantyny Pattey. W jesieni wszystko się uciszyło: „Anglię i Angielki i wszystkie inne narody, które przez lato dom nasz napędziły — z przyjściem jesieni uniosły się jak jaskółki na południe“. W tej ciszy Słowacki kończy swoje dzieło, którego pisał wolna już zdaje się od marca tego roku. W listopadzie przepisuje już tę swoją nową rzecz, zapewne jeszcze ją szlifuje i poprawia. Jest to „Kordjan“. „...jeżeli sława le-



chce trochę moją próżność, to prawdziwie, że jest to szlachetne uczucie — bo służy nie dla mnie, lecz dla mojej kuzynki (to znaczy Polski — przypisek mój) pragnę... — pisze do matki we wrześniu tego roku: „...drukuję bezimiennie, będzie tak równiejsza walka z Adamem“ — czytamy w liście do matki z 30 listopada tegoż roku. Mowa tu o „Kordianie“, który ukazał się rzeczywiście na początku roku 1834 w Paryżu. Oba zdania Słowackiego są prawdziwe. „Kordian“ miał przedstawić jego stcunek do sprawy polskiej, miał być głosem w chórze narodowym. Z drugiej jednak strony miał się „Kordian“, przeciwstawić mickiewiczowskiemu „Dziadom“. Tym dziwniejsze jednak, że bezimienny tom przypisywano początkowo w paryskiej emigracji Mickiewiczowi.

Swoją niesceniczną dramaturgię Kordiana umieścił tym razem Słowacki w konkretnej dekoracji. Jeśli Mickiewicz mówi o wypadkach wileńskich 1824 roku, to Słowacki sięga do powstania listopadowego, którego przywódców krytykuje bezlitośnie w „Przygotowaniu“. Słowacki zarzuca im, że umyślnie hamowali rozwój rewolucyjnych wydarzeń: nie oszczędza nikogo, nawet Lelewela, co jak należy się domyśleć, jest odpłatą za broszurę pana Joachima: „Nowosilcow w Wilnie“. Potępieniu został Chłopicki, Czartoryski, Niemcewicz.

Pierwsze akty pokazują nam Kordiana zdążającego do swoich przeznaczeń, które wypełnić się mają przed sypialnią cara. Kordian, podobnie jak Gustaw w „Dziadach“ kocha się nieszczęśliwie, potem błąka się po Europie: traci wiarę w Watykanie, wędruje po Londynie, jest podobnie jak jego autor wiernym dzieckiem swojego wieku.

Oto więc napisał dzieło narodowe, patriotyczne. Sam uważał, iż jest ono w jego twórczości epokowe. A krytyka? Przyznawała mu to, czego by mu przyznano nie pragnął — chwalono go za formę, za bogactwo rytmu, za czystość i siłę języka i tak dalej i tak dalej. Ale nie powiedziano tego, czego pragnął najbardziej. „Kordian“ nie został potraktowany jak „Dziady“. Mickiewiczowska „świętynia bez Boga“ w opinii emigracji nie została jeszcze zamieszkała przez bóstwo.

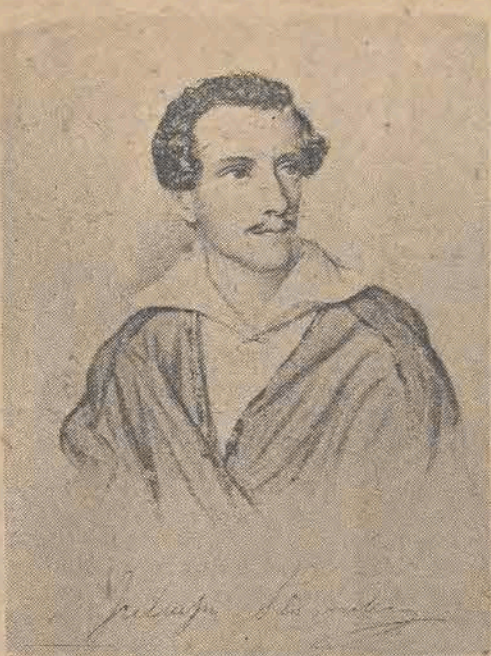
Przez zimę i wiosnę odpoczywał. Czytał Kochanowskiego, którego mu przysłało z domu i marzył o tych szczęśliwych czasach, kiedy, jak sądził, można było być tylko poetą, jak Kochanowski.

Latem tego roku po raz pierwszy zobaczył piętnastoletnią pannę Marię Wodzińską. Wodzińscy mieszkali w Genewie już dość dawno, w oddzielnej willi. Panna Wodzińska grała pięknie na fortepianie i entuzjastycznie się Chopinem. Spodobła się Słowackiemu od razu. Zresztą kochali się w niej prawie wszyscy bywalcy gościnnego salonu pani Wodzińskiej, nawet przebywający wtedy w Genewie na wygnaniu książę Ludwik Napoleon, który będzie panował we Francji między dwiema rewolucjami — 1848 i 1871 roku.

Słowacki po raz pierwszy został przyjęty w salonie Wodzińskich w połowie listopada 1833. Był to jedyny polski dom w Genewie w którym bywał, chociaż kolonia polska była tu dość liczna. Te wizyty pozwalały mu przekraczać zaczerpnięty krąg zbyt już czasem natrętnej przyjaźni Eglantyny Pattey, która najchętniej nie wypuszczała go w ogóle z pensjonatu w Paquis. Stosunek jego do Eglantyny był bardzo zmienny. Kiedy wyjechała w czerwcu następnego, 1834 roku, do Paryża, do krewnych, Słowacki poczuł się z początku osamotniony, potem nieskrępowany już wyrzutami sumienia, jakie zazwyczaj odczuwamy, gdy zaniedbujemy cudze uczucie, zaczął się coraz częściej spotykać z panną Wodzińską na modnej genewskiej promenadzie.

Ale Wodzińska to nie była ani panna Pinard, ani Eglantyna, ani nawet panna Morin, które bez trudu podbił Słowacki swoim wulgarnym, czułym słowem i romantycznym gestem. Panna Wodzińska sama miała pretensje artystyczne, podobno grała znakomicie na fortepianie, a sam Chopin zachwycał się rzekomo jej kompozycjami. Ale, jak to dobrze wiemy, Chopin nie był wcale bezstronnym krytykiem muzycznych zdolności panny Wodzińskiej. W każdym razie Słowacki — poeta nie imponował Marii, w salonie przy ulicy Beauregard ceniono najbardziej Mickiewicza. Nadmiar hołdów, które składał Wodzińskiej, wstępnienia Ludwika Napoleona, zaloty hrabiego de Montigny — to wszystko znakomicie zasłoniło jej próżność. Słowacki miał pozostać niewysłuchany. To też kochał się czy też udawał, że się kocha, tym bardziej unarciar.

W lipcu Wodzińscy postanowili odbyć dłuższą wycieczkę w Alpy. Słowacki był już wtedy częstym gościem, zadowolony się w tym domu, gdzie potrosze podrzutowano sobie z niego, oczywiście w jego nieobecności, gdzie nawet odczytany przez niego „Kordian“ nie wywarł zbyt silnego wrażenia. Uważano go za miłego towarzysza salonowych rozmów, postanowiono więc pro-



Juliusz Słowacki



Salomea z Januszewskich 1-o voto Słowacka 2-o voto Becu

się, by przyłączył się do alpejskiej wyprawy.

Eglantyna, która wróciła z Paryża, usunęła materialne trudności, przeszkadzające mu w powzięciu ostatecznej decyzji. 31 lipca w operowym nieco i pretensjonalnym stroju turystycznym, na które składała się płócienna bluza, haftowana zielonym jedwabiem „pas czarny, skórzany, białe szarawary, kapelusz ze słomy białej i czarnej pleciony, dosyć niski, z ogromnymi skrzydłami i opasany purpurową wstążką — do tego na grubej podszewce trzewki — i kij wyższy“ od niego, „biały z żelaznym kolcem“, Słowacki wraz z Wodzińskimi płynął statkiem wzdłuż wybrzeży Genewskiego Jeziora, mijając Coppet, Lozannę, Vevey, zamek Chillonu, by dotrzeć wreszcie do Villeneuve.

Wszystkie te miejsca, mijane w podróży, były stacjami jego literackiej wyobraźni. Każde z nich gościło w swoich murach pisarzy lub stworzonych przez nich bohaterów. W Coppet zamiast Korynny mieszkała pani de Stael, w zamku Chillonu zamiast Byrona błądził jego bohater, a ze skał Meilleries, z małego Clarens, kazał Rousseau pisać płomienne listy bohaterowi „Nowej Heloizy“.

Z Villeneuve wyruszone w dalszą drogę powozami, panowie szli piechotą. Oglądano widoki, śpiewano pieśni, herboryzowano

wśród rozrzucanych skał. Pod wieczór, zbliżając się do klasztoru św. Bernarda, gdzie przenocowali, ujrzeni pierwsze lodowce.

Wojazowali teraz powoli, robiąc wyprawy w okolice, skąd najpiękniejsze rozciągały się widoki. Ze szczytu Gemmi oglądali ogromną dolinę Rodanu i odległe szczyty. Nad jeziorem Thun, gdzie Aar wlewa swoje wody, po noclegu wrócono znów do powozów, by jechać dalej — do Interlaken, pełnego angielskich turystów. Stąd widać Jungfrau, stąd wreszcie można było urządzić wycieczkę do kaskady „wśród leszczyn w Giessbach“.

Widocznie piękna to była kaskada w Giessbach, skoro przetrwała nawet pamięć o Marii Wodzińskiej, gdy w siedem czy osiem lat potem Słowacki będzie pisał wiersze, tym razem dla pani Joanny Bobrowej.

W Interlaken towarzystwo rozdzieliło się: panie wróciły powozami do Genewy, panowie, a z nimi Słowacki — ruszyli dalej, pieszo w stronę lautenbruńskiej doliny i dalej do źródła Rodanu, na Faulhorn, nad brzegi Jeziora Czterech Kantonów. W końcu sierpnia przez Bern wrócił Słowacki do swojego pensjonatu w Paquis. Zakochany na dobre w Wodzińskiej, czy może tylko postanowiwszy sobie, że się w Wodzińskiej kocha, wrócił wprost pod skrzydła pani Pattey i czule spojrzenia Eglantyny.

We wrześniu Wodzińscy dali świetny bal.

## DANTE

## CANZONA

Za dnia krótkiego przy nadmiarze cieni  
Doszedłem w trudzie. Bielili się wzgórze,  
Gdzie dawno barwę utracili ziola;  
Lecz me pragnienie wciąż się zazielenia,  
Tak wkorzone jest w twardość kamienia,  
Co mówi czuje, jak młoda dziewczyna.

Tak jest zdrętwiała ta młoda dziewczyna,  
Jak śnieg zakrzepły, kiedy leży w cieniu,  
Nie zmięknie bardziej niż twarde kamienie  
Od słodkiej pory, co ogrzewa wzgórze,  
Która im każe biel zamienić w zieleni  
I kwieciami je okrywa i ziołami.

Gitlandą czoło jej opłotły ziola,  
Z pamięci inne wydziera dziewczyny,  
Faliste złoto miesza się z zielenią,  
Że Amor pragnie spocząć w takim cieniu,  
Między maleńkie dwa wcisnął mnie wzgórze  
Że silniej wapno nie spaja kamieni.

Jej piękność szlachetniejsza od kamienia.  
Rany zadanej mi nie leczą ziola,  
Błądziłem po dolinach i po wzgórzach,  
By uciec przed tą okrutną dziewczyną.  
Przed blaskiem jej nie daje wzgórze cienia,  
Ni dom, ni drzewo, co się zazielenia.

Tak piękną w szacie ujrzałem zieleni,  
Że miłość mogłaby zbudzić w kamieniu,  
Która ją żywie nawet do jej cienia.  
I zapragnąłem jej na łące w ziołach,  
Tak zakochana jak inne dziewczyny,  
Zamknięty wokół przez wysokie wzgórze.

Prędzej wróciłyby rzeki na wzgórze,  
Prędzej to drzewo miękkie i zielone  
Spłonie, jak każda płonęła dziewczyna  
Do mnie, co chętnie spałem na kamieniu  
I poprzez cały swój czas pasłem ziola  
Wszędzie jej szaty wypatrując cienia.

Choć się od wzgórz czarniejsze kładą cienie.  
W pięknej zieleni ta młoda dziewczyna  
Zręka, kamienny posąg, pod ziołami.

przełożył Mieczysław Jastrun

Po balu rozpoczęły się wieczory towarzyskie — uvertura sezonu pełnego gwaru i zabaw. Bywał tam regularnie, wyprawa alpejska zbliżyła go jeszcze bardziej do domu Wodzińskich. Zaczął też, jak zwykle w jesieni, układać nowe dzieło — bardzo romantyczne, bardzo niezwykle i bardzo odbiegające w treści od tego, co się wokół niego działo. Pisał „Mazepę“, którego ostateczna, znana nam redakcja różni się od tej pierwszej, spalonej podobno przez samego autora.

Dlaczego spalił swój rękopis? Nie wiemy. Być może czytał wtedy niedawno dopiero wydrukowanego w Paryżu „Pana Tadeusza“ i powiedział sobie, że nic piękniejszego nie napisze. A może wydało mu się właśnie, że musi napisać coś wspanialszego niż ten poemat tak piękny „choć w nim heroina tylko gęsi pasie“.

„Pan Tadeusz“ go zachwycał. Oslabił nawet niechęć do Mickiewicza, czego ślady spostrzec można w listach do matki pisanych prawie bezpośrednio po tej lekturze. Postanowił teraz oderwać się od uroku Mickiewicza, zejść z tej drogi naśladowstwa, wynikającego tyleż z zawzięci, co ze zrozumięcia potrzeby poezji narodowej. Myślał teraz o teatrze narodowym, takim jakim dla Anglii był teatr szekspirowski. Chciał załadnić scenę postaciami bliskimi narodowej wyobraźni, ale nie szperał w historii, jak pseudoklasycy. Nie parafrazował rzeczywistości politycznej, jak to uczynił w „Kordianie“. Napisał „Balladynę“, w której jest groza „Makbeta“ czy bajeczność „Snu nocy letniej“ ale nie ma tej wielkiej mądrości i ludzkiego geniuszu, który sprawia, że obie sztuki wielkiego Anglika są nie tylko angielskie, ale i ludzkie. Przy okazji załatwił również Słowacki w tej baśni, którą uważał za tragedię godną „Króla Lira“, swoje porachunki z Lelewelem, umieszczając go w epilogu jako Dziejopisa Watyła.

Na wiosnę 1835 roku pani Becu dała mu znać, że wybiera się wraz z bratem i jego żoną za granicę. Nie zachęcał jej do tego przedsięwzięcia, choć nie widział jej oddawna. Chodziło o koszty związane z podróżą: „jeżeli pewna jesteś, że powróciwszy, znajdziesz wszystko nieodmienne — pisze do niej syn — jedź, przyjeżdżaj“. Pani Salomea pozostała w Krzemieńcu, Teofilowie Januszewscy ruszyli do Włoch.

Tymczasem Słowacki zaczyna myśleć na serio o małżeństwie z panną Wodzińską. Upoważniło go do tej myśli może to, że Maria traktowała go tak jak niedwój Ludwika Śniadeckiego; jak dobrego przyjaciela. Raz już pomyślił się fatalnie. Być może, że myśl o małżeństwie miała inną, bardziej praktyczną podstawę. Małżeństwo z bogatą Wodzińską rozwiązałoby jego kłopoty materialne; miałby dom, osiadłby wreszcie gdzieś spokojnie, mógłby pisać, miałby za co drukować książki „Pinarda“. Pozostawiam czytelnikowi swobodny wybór motywów tych małżeńskich myśli. Sądzę, że zamierzał to małżeństwo zapewne i z miłości i z rozsądku.

Latem 1835 roku Wodzińscy przeprowadzają się całym domem do pensjonatu wdowy Pattey w Paquis. Słowacki mógł teraz asystować panie Marii codziennie, z czego wszyscy zdaje się byli zadowoleni prócz Eglantyny.

Biedna Szwajcarka nie nadawała się na rywalkę. Najpewniej nie potrafiła zdobyć się na nic innego jak na łyzy i nóżne, miłosne wyznania. Wodzińska nie podejrzewała być może planów Słowackiego. Zresztą nagle zjawił się stary pan Wodziński w zamiarze zabrania całej rodziny z powrotem do kraju.

Drażniony przez zazdrośną Eglantynę, pozbawiony nadziei na to uplanowane przez siebie małżeństwo, Słowacki uczynił to, co czyni stale w trudnych swoich sytuacjach życiowych. Wyjeżdża.

Osiadł w Veytoux, na południowym wybrzeżu Genewskiego Jeziora, tuż koło Chillonu, niedaleko Clarens. Była to wiesz prawie. Mógł tu dowoli rozmyślać o Wodzińskiej i zrywać się na myśl o melancholijnej i łzawej Eglantynie, która zatrula mu te ostatnie tygodnie pobytu w pobliżu Marii. Nie kochał Wodzińskiej napewno tak, jak to sobie wyobrażał, a już na pewno nie tak, jak to opisał. Ale powinniśmy być mu wdzięczni za ten dar wyobraźni, skoro nie miał daru miłości. W lipcu pisze kilka prześlicznych wierszy, które nazawsze pozostaną w antologii miłosnej: „Rozłączenie“, „Przekleństwo“, „Chmury“. Zazwyczaj cytują podręczniki literatury „Rozłączenie“, jest ono może najpiękniejsze. Ale „Stokrotki“ bardziej nadają się do tej dekoracji, bez której nie sposób wyobrazić sobie Słowackiego w Veytoux:

Miło zabłądzić pod lipowe cienie  
z kwiatkami w rękę — i patrząc ukradkiem,  
wzajemnie mówić obrywanym kwiatkiem:  
„Kochasz!“... „I pani kochasz mnie szalenie...“

Ale to nie była prawda.

Paweł Herzig



MIECZYŚLAW JASTRUN

# W I E K K L E Ś K I \*)

W TYM SAMYM ROKU, w którym ukazał się w druku „Pan Tadeusz”, wyszedł spod prasy „Ojciec Goriot”. W małym domku jednej z najuboższych uliczek Paryża Balzac pisał swoją „Komedie ludzką”. Niezmordowany w pracy, w dzień palił lampę za zasłoniętymi oknami, by tym skuteczniej odgrodzić się od gwaru stolicy, i snuł swoją ogromną wizję, mieszczański Szekspir i Dante zarazem. Oto król Lear, uwikłany w zawile sieci pieniądza, tragiczniejszy od tamtego o cztery wieki, oto piekło mieszczańskiej Paryża, przez którego wszystkie kręgi przejść musi samotny, bez Wergilego. Dla Tadeusza Wilno jest stolicą, jedna Telimena reprezentuje zepsucie wielkiego świata — była czas dłuższy w Petersburgu. Rastignac, podobnie jak później Lucjan Chardon, kiedy przybywa z Angouleme do Paryża, wpada od razu w oslepiające światło jednego z tych kręgów piekielnych. Ostatnia epopeja była epopeją szlachecką; jak przystało na poemat rycerski była pisana szerokim wierszem, jak „Iliada”, jak „Jerozolima wyzwolona”. Miała być kamieniem grobowym Polski szlacheckiej, ale feudalizm polski przeżył ją nawet, tak jak przeżył Napoleona. Życia mieszczańskiej Francji, przyciętej bankierów, finansistów, kłuszących pieniądza, fabrykantów i właścicieli burdelów, restauratorów, kamieniczników i dziennikarzy nie podobna było zamykać w heksametr lub aleksandryn. Już mieszczański Herman w poemacie Goethego źle się czuł w miarach naśladowanych wiersz Homera czy Wergiliusza. Dorotea na próżno usiłowała zagrać rolę Joanny d'Arc. Dopiero szeroka proza „Wilhelma Meistra” ukazała w właściwych proporcjach mieszczaństwo niemieckie. Jeszcze wielka rewolucja mogła z niejakim powodzeniem strzelić swoich bohaterów w togi rzymskie i wkładać im w usta mowy retorów i trybunów, Obrazy Davida i styl Pierwszego Cesarstwa wyrażają w zaobszernych lub za sztywnych przebraniach treść swego czasu, nie budząc uśmiechu ironii. Ale dzieje rodziny Nucingen opowiedziane aleksandrynem Racine'a sprawokowałyby niezamierzony przez autora wybuch humoru. Szerokie zdanie prozy, obiektywnej, beznamietnej, mogło zmieścić w sobie wszystkie odcienie życia burżuazji, która w okresie Restauracji, odrzucając zbędną już maskaradę antycznych bohaterów, jawnie i brutalnie rozpierała się w domach handlu i gry, w bankach, w pałacach i lożach teatrów. W księgarniach paryskich poezja wypierana jest coraz gwałtowniej przez prozę powieściową. W masie swojej jest to proza w nienajlepszym gatunku. Sensacja i awantura zastępują w niej prawdę charakterów i te dwie wulgarnie Muzy przyczyniają się do poczynności powieści mieszczańskiej. Zanika coraz bardziej poczucie stylu. Zainteresowanie fabułą przesłania wszystkie inne zalety tego nowego rodzaju. Nikt z czytających nie zatrzymuje się dłużej przy najświetniejszym opisie, nikt nie doznaje rozkoszy z kształtu i dźwięku zdania, ciekawość anegdoty skracca czas lektury, mniej uważni czytelnicy przebiegają szybko oczami całe rozdziały, byle prędzej dotrzeć do końca, który w schemacie powieści bywa zazwyczaj jednoczesny ze śmiercią lub małżeństwem bohatera. Zadowolenie z czytania niewiele różni się od zadowolenia widzów w cyrku podczas występów konna, lub kibiców w domach gry. Rękodzielnictwo ustępuje z czasem maszynowemu wyrobowi, zmniejsza się tym samym zaciekawienie dla kształtu i rysunku przedmiotów użytku codziennego. Styl staje się jakby nieobecny. Poczucie stylu wymaga kontemplacji. Kontemplacja wymaga czasu. Czas w społeczeństwie mieszczańskim wybija swoje znaki w mennicach, podpisuje się na kontach bankowych, na wekslach i taryfach. Wskazówki zegarów posuwają się zbyt wolno, by mogły nadążyć pośpiechowi ulicy paryskiej czy londyńskiej.

Polska emigracja przyniosła ze sobą do Francji swój ustrój krajowy. Jest jeszcze feudalna w obyczajach, wizerunkach, sposobie myślenia. Nawet wtedy gdy powtarza za Wielką Rewolucją jej hasła, pozostaje przecież w więzach wyniesionych z ojczyzny. Wyobraźnia jest uparta w swej zach-

wawczości. Wielka pamięć Mickiewicza jest tam w kraju rodów szlacheckich i fortun magnackich. Czytelnicy jego rekrutują się z tej warstwy społecznej, która uważała się za panującą nawet tu na emigracji, zdana na dobrą wolę obcych rządów i lasę zmieniających się gabinetów. Czytelnicy nie są bez wpływu na twórczość pisarza; cokolwiek by się powiedziało, nie może on wyjść poza krąg ich pojęć, może je tylko napiąć do ostatnich granic. Pręwa, rządzące światem wyobraźni pisarza, są bodaj równie nieublagane jak prawa rozwoju ekonomicznego społeczeństw, choć mniej są uchwytne. Nie można przeskoczyć pustej przestrzeni, która powstaje na skutek opóźnienia się narodu w sferze socjalnej. Mickiewicz ogłasza na początku 1835 roku przekład „Giaura” Byrona w momencie, kiedy ogromny wpływ tego poety słabnie, kiedy zbuntowani przeciw ustrojowi korsarze opuszczają morza egzotyczne, by na bruku miast Europy walczyć o prawa ludzkie nie szlacheckie, lecz broszurą polityczną, artykułem w dzienniku, organizacją, która jest zaprzeczeniem samotności. „Giaur”, w którego czarnych strofach zamknął Byron marzenia swoje o walce wolnych Greków przeciw tyranii, drukował się w księgarni Januskiewicza i Jełowickiego, nie bez przeszkód. Zecerzy strajkowali, nie dlatego, by wyrazić protest przeciw Grekom Byrona czy tyranii tureckiej; sprawy te nie obchodziły ich prawdopodobnie, a sam poemat rozpadł się dla nich na poszczególne czcionki; strajkowali przeciw wyszkowi, który czuli na własnej skórze. Broszury socjalistyczne umacniały ich tylko w poczuciu, że walczą o słuszną sprawę. Ujęła się za nimi gromada Grudziądz, wydając na posiedzeniu z dnia 19 listopada 1835 roku wyrok potępiający na Aleksandra Jełowickiego i Eustachego Januskiewicza z moją wacją, która stwierdzała, że „podnoszenie robotnikom płacy jest powinnością, zmniejszenie zaś jej, zwłaszcza w emigracji, przeciw ludzkości występkiem”.

Nic dziwnego, jeśli później Wodźński odezwył gromady Grudziądz nazywał „arcydziełem starozakonnego nierozumu, nienawiści i szalu”. Ten styl nie ustępuje w niczym stylowi namiętnej obrońcy feudalizmu, hrabiego Zygmunta Krasińskiego.

W tym czasie Mickiewicz pogrąża się coraz bardziej w medytacjach mistycznych. Czyta Saint-Martina i wizje Katarzyny Emmerich. Próbuje pisać, lecz pomysły przesuwały się przed nim jak cienie i jak cienie znikają. Ten stan wywołuje w nim niepokój, którego nie może złagodzić lektura mistyków. Wydaje mu się, że cała do tychczasowa poezja nie ma dość wysokiego tonu, nie odpowiada moralnym żądaniom czasu. W liście do Hieronima Kajsiwicza z 31 października 1835 roku pisze:

„Mnie się zdaje, że poemata historyczne i w ogólności wszystkie formy dawne są już wół zgnile i tylko można je odżywiać dla zabawki czytelników. Prawdziwa poezja naszego wieku jeszcze może nie urodziła się, tylko widać symptomata jej przyjsia. Zbyt wiele pisaliśmy dla zabawy, albo celów zbyt małych... Mnie się zdaje, że wróca czas taki, że trzeba bę-

dzie być świętym, żeby być poetą, że trzeba będzie natchnienia i wiadomości z góry o rzeczach, których rozum powiedzieć nie umie, żeby obudzić w ludziach uszanowanie dla sztuki, która nadto długo była aktorką, nierządnicą lub polityczną gazetą. Te myśli budzą we mnie żal i ledwie nie zgrzyotę; często zdaje mi się, że widzę ziemię obiecaną poezji, jak Mojżesz z góry, ale czuję, że nie godzien zaisć do niej”.

Jest teraz na niebezpiecznej dla poety drodze. Czuje, że zakończyła się jakaś epoka twórczości, to, co uważa za mistyczną ziemię obiecaną, jest już wokół niego, lecz on nie wie o tym, wpatrzony w zarysy nieistniejącej planety.

W tym samym czasie Wiktor Hugo pochłonięty jest zupełnie zagadnieniem stylu w teatrze. Jak kilka lat temu wizyta Mickiewicza w Weimarze skończyła się wymianą szablonowych grzeczności, tak teraz odwiedźni u cesarza poetów francuskich zostawiły mu tylko poczucie niepotrzebności kroku. Pawie, przyjaciel Wiktora Hugo, opisuje tę wizytę, z goryczą stwierdzając jej daremność.

„Nasz cesarz — mówi o poecie Francji — podniósł się z tronu o tyle tylko, aby oddarzyć gościa ukłonem protekcyjnym i natychmiast zwrócił się ku figurantom wieczoru, obcym i jemu i nam, dworakom chwaly, ciszącym się do jego ogniska i tak zajętym schlebaniem Wiktorowi Hugo, że wielkie imię Mickiewicza nie zrobiło na nich żadnego wrażenia... Mickiewicz zjawiał się za późno. Ledwie wskazówka zegara w stylu Ludwika XIII, wiszącego nad kominkiem, obiegła jedną godzinę, wielki poeta polski wymknął się niepostrzeżenie, jak był przyszedł. Wychodząc z nim razem, nie wiedzieliśmy, co więcej podziwiać: czy nieuwagę monarchy placu Królewskiego, naiwnie pograżonego w swej wielkości, czy prostotę wygnańca litewskiego, który wracał do domu, nie podejrzewając nawet, jak dziwnie został przyjęty”.

Jesteśmy tu w świecie „Straconych złudzeń” Balzaca, w świecie rozszarpanych ambicji, nieszczerych pochwał, martwego konwensansu, intrygi i tajemnic hierarchii, niedostępnej dla przybysza z innych krajów. Trudno oskarżać Wiktora Hugo o brak życzliwości dla poety, o którym ledwie słyszał, którego dzieł znał nie dość. Hugo tkwił w tym świecie, którym gardził zapewne, lecz bez którego żyć by nie umiał. Owidiusz, wygnany z Rzymu, którego nie nawidził, tęsknił do powrotu, gdyż nie ma dla niego życia poza Rzymem.

Mickiewicz był tu wygnańcem, nie tylko w politycznym, narodowym, ale i w socjalnym znaczeniu. Nie rozumiał, nie mógł rozumieć otaczającej go formacji kulturalnej Paryża po rewolucji lipcowej. Dlatego zapewne mówił o ziemi obiecanej przyszłości, nie mogąc jej znaleźć pod własnymi stopami. Czuł, że zamknęła się jakaś karta poezji, lecz nie miał zrozumienia dla dzieł pisanych w nowym stylu. Wcześniej czy później musiało dojść do starcia. Trudno o bardziej jaskrawy wyraz tych przeciwności — między poetą narodu podbitego i opóźnionego w rozwoju społecznym,

między wygnańcem i poetą uczucia a pierszami Francji mieszczańskiej, Francji klasycznej nawet w rewolucjach i na wskroś racjonalistycznej — niż to zdarzyło się podczas obiadu wydanego przez panią Sobhańską, natenczas żonę poety Juliusza Lacroix.

Na obiad ów zaproszeni zostali między innymi Fryderyk Soulie i Balzac, Mickiewicz przybył w chwili, gdy pani domu prosiła gości, by zechcieli zająć miejsca. Pani Lacroix spodziewała się wiele po tym obiedzie, obecność Mickiewicza dogadzała jej ambicjom towarzyskim. — Największy poeta polski — powiedziała, sadowiąc go między sobą i Balzakiem. Kto by teraz patrzył uważnie na tych dwóch ludzi, siedzących obok siebie, doznałby szczególnego uczucia. Wyglądali jak ludzie nie z tej samej epoki. Jeden z twarzą porżyta śladami zbyt jawnych cierpień, siwiejący mimo młodego wieku — drugi tegi, szeroki o twarzy grubo ociosanej, wyglądający raczej na właściciela oberży niż na pisarza. Rozmowa toczyła się na tematy potoczne, zaprawiona winem i plotkami, jak zwykle w takich wypadkach. Pani Lacroix, która miała jednak ambicje literackie, przynajmniej w tym sensie, że obecność znakomitych autorów napełniała ją dumą, skierowała rozmowę na te niebezpieczne zawsze, gdy zejdzie się kilku pisarzy, tory. Przymuszałnie w każdym innym rzemiosle i fachu rozmowa wokół jego spraw jest mniej ryzykowna. Pani Lacroix nie chciała jednak o tym pamiętać w tej chwili. Mickiewicz nie ceniał popularnego właśnie we Francji nowego gatunku. Wydawało się wtenczas, że ci nowi pisarze pełnią rolę notariuszy współczesności albo zgola przepisywaczy. Mickiewicz niechętnie patrzył na ten nowy rodzaj, i teraz, nie kępując się obecnością autorów francuskich, z właściwą sobie prostotą i gwałtownością powiedział, że gdyby nowy Omar spalił dwie trzecie drukujących się w Paryżu książek, nie byłoby czego żałować. Pisarze francuscy zaczęli bronić wartości nowych dzieł powieściowych, podnosząc zalety tego gatunku i występując ostro przeciw nieużytecznym już formom poematu i powieści poetyckiej, które co najwyżej można powtarzać, lecz nie podobna już ich tworzyć. Dla pisarzy Paryża ten posępny poeta, wnoszący ton obcy i niepokojący do towarzystwa, które znało na wyłot swe wady i zalety, słabostki i siłę, był przede wszystkim niezrozumiały. Był to człowiek, który tkwił głęboko w całym tym zawiłym świecie bezwartościowych dla niego miar i ocen, dalekich od jego surowości moralnej, nie liczącej się ze skomplikowaną maszyną nowoczesnego życia. Był to okres wielkiego rozwoju dziennikarstwa, o które musieli oierać się pisarze, będąc od niego zależnymi w niemałej mierze. Zamieszani byli w mniejszym lub w większym stopniu w kalkulację, jak Balzac choćby, w imprezy finansowe w spory z drukarniami, pełnił pobłażliwości i zrozumienia dla świata, którego byli częścią. Pobłażliwość ta, która bynajmniej nie jest jednoznaczna z obojętnością, była zazwyczaj owocem długich daremnych utarczek i samotnych buntów. Prawdopodobnie wierzyli oni wszyscy w początkach swej pracy literackiej w misję moralną ludzi pióra, by później spojrzeć na te sprawy łagodniejszym okiem. Wcale to nie znaczy, by wyznawali religię Tartuffe'a. Powieść zaprowadziła ich do obiektywizmu, obiektywizmu do powieści. Jeśli wierzyc Blondetowi z „Komedii ludzkiej” Balzaca, „powieść, która wymaga uczucia, stylu i wyobraźni, jest napotężniejszym nowożytnym tworem; zajęła miejsce komedii, która w nowoczesnym społeczeństwie nie jest możliwa ze swymi starymi prawidłami. W swoich koncepcjach, które wymagają i dowcipu La Bruyere'a i jego wnikliwego spojrzenia, obejmuje ona fakt i idee, charakterystyczne na modę Moliere'a, wielkie dramaty Aleksyprowskie i najdelikatniejsze odcienie namiętności, jedyny skarb, jaki zostawił nam poprzednicy. Toteż powieść jest o wiele wyższa od zimnej i matematycznej dyskusji, od suchej analizy XVIII wieku. Powieść — rzeknieś sentencjonalnie — to epopeja z tą poprawką, że jest zabawna”. To ostatnie określenie niezupełnie jest ścisłe. Ostatecznie i „Odyseja” jest zabawna. „Zabawny” jest również „Pan Tadeusz”, i tyl-

## FEDERICO GARCIA LORCA

### Z W A D A

W mrocznym, głębokim wąwozie,  
Piękniejąc od krwi rywali,  
Dwa noże albacetyńskie  
Błyszcza jak ryby w fali.

Igła ostrego promienia  
Z gorzkiej zieleni wyrwywa  
Jeźdźców profile surowe  
I konie o gniewnych grzywach.

Placzą stare kobiety  
Pod drzewem oliwnym śniadym  
Pędzą po skalnych urwiskach  
Byli gwałtownej zwady.

Czarne anioły przynoszą  
Lód i koszule — najdroższe,  
Skrzydła ich — albacetyńskie  
Krwia zabarwione noże.

Stacza się martwy z urwiska  
Juan Antonio Montilla, —  
Czolo zakwita granatem,  
Ciało jest całe w liliach.  
Nad drogą wiodącą do piekła  
Ognisty krzyż się pochyla.

Sędzia a z nim żandarni  
Przychodzą skróś gajów cienie,  
Jęczy, jak żmija zdeptana,  
Krew wsiąknięta w ziemię.

— To głupstwo, panowie żandarni,  
Nie stało się nic strasznego,  
Tylko pięciu Kartagińczyków  
I czterech Rzymian poległo.

Oszalały od woni figowców  
I krzyków, pod zorzą rudą  
Wieżór przypada ku wściekłych  
Jeźdźców skrawakom udom.

Czarne anioły leżą  
Z wiatrem zachodnim pierzechliwym,  
Anioły o twarzach Cyganek  
I sercach z ciemnej oliwy.

Wolny przekład Włodzimierza Słobodnika.

\*) Fragment opowieści o Mickiewiczu.



ko ludzie chorzy na wielką chorobę narodu mogli tego nie dostrzec. Francuzi, którzy mają tak wielkie odczucie dowcipu, nie dopatrywaliby się w tych właściwościach cechy ujemnej. Mickiewicz sam sobie wyrzucił rzekome niżenie lotu, w czym pomagali mu jego przyjaciele, uczniowie i powiernicy. Żalony jest ten otaczający poetę krąg pielgrzymi: ci ograniczeni, poczciwi może, lecz płaszy Litwini, których wielka niedola narodu rzuciła tu na brzeg „kwany. Wokół był Paryż toczący swoje powozy po Champs-Élysées, Paryż Komedi Francuskiej, rozbawiony w lokalach Vaudeville i Variétés, przechadzający się po alejach Luksemburgu, grający w Palais Royal, Paryż zgiełkliwy, grzeszny i wspaniały, Paryż dyktujący Europie modę i kierunki polityczne, nawet w upadkach swoich silny, gdyż niepodobna było go ominąć. Emigranci mogli zdobyć się na jedno tylko, na negację. Kto nie ma nic, chce najczęściej w marzeniu przynajmniej posiadać wszystko. „Księgi narodu i pielgrzymstwa” dlatego znalazły tylu wyznawców na emigracji, że nie stawiając żadnego konkretnego programu, obiecywały w zamian za świętość nieosiągalną — wszystko. Ale słowo „wszystko” nie zawiera więcej rzeczywistej treści niż słowo „nic”. Z pragnienia aby posiadać wszystko, z mglistego marzenia o Ziemi Obiecanej, z samozwańczego apostolstwa rodziły się tak naturalne na wychodźstwie idee, przeciwstawiające się nie tylko bezlitosnym kalkulacjom politycznym gabinetów, lecz również konkretnym ideom Towarzystwa Demokratycznego.

„Modlić się codziennie za siebie, Ojczyznę i bliźnich, za przyjaciół i nieprzyjaciół, przykazania Pańskie słowy i uczynki wypełniać i przykładem swym rodaków do tego zachęcać i na drodze tej spólną siłą utrzymywać”. Te słowa aktu założenia Towarzystwa Braci Zjednoczonych nie powinny nas mylić. Zawierają one coś więcej niż przestylizowaną treść katechizmu. Wydają się na pierwszy rzut oka puste, lecz dopiero w ramach czasu, w którym powstały, nabierają życia i wyrazu. Nową treść wlewa w nie ówczesna Utopia francuska — saint-simonizm. Jego antyindywidualistyczna zasada staje się podstawą ówczesnych wszystkich Towarzystw, Kolegiów i Kolektywów, w których ma powstać zaczątek nowego ustroju, braterstwa ludzkości. Bazard i Enfantin, którzy tworzyli loi vivante tego ruchu, uderzając w prawo własności, wiążące uczniów swoich w rodzinę, mieszkającą razem, żyjącą ze wspólnego skarbu, nie zdawali sobie sprawy z faktu, że skazują siebie i swych towarzyszy na nową samotność. Domy saint-simonistów przy ulicy Monsigny czy Ménilmontant były jedynie wyspami. Enfantin jak Prospero Szekspira mógł tu rozkazywać jedynie duchom. Nowe społeczeństwo nie rodzi się na wyspach idealnych. To, co w nauce Saint-Simona było jeszcze teorią półnaukowa, w interpretacji jego uczniów zmieniło się w akt wiary religijnej.

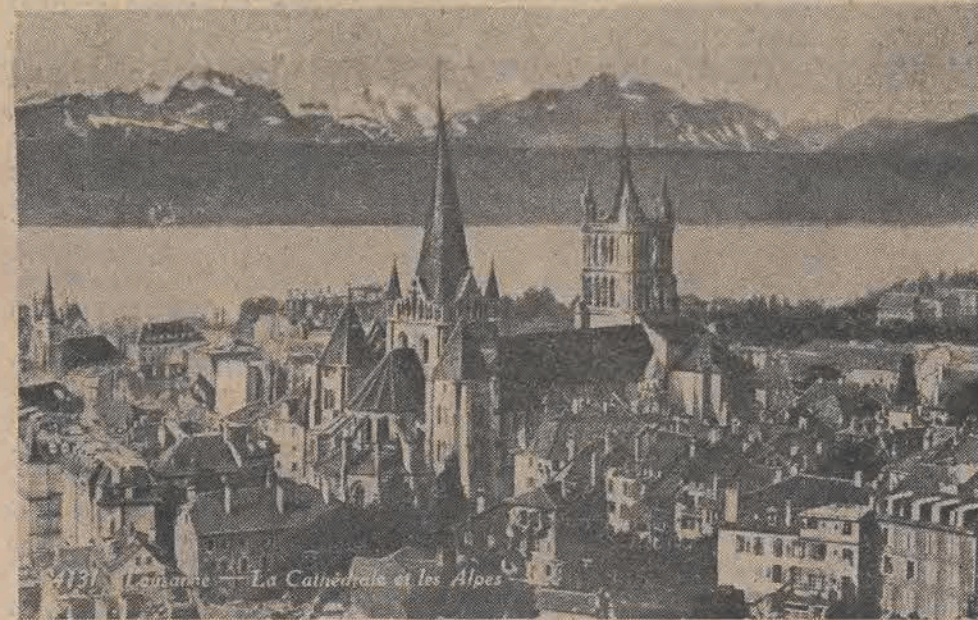
Mickiewicz, podobnie jak uczniowie Saint-Simona, wierzył w możliwość związania sprawy odrodzonego kościoła ze sprawą ludów. Dlatego poparł prace Towarzystwa Braci Zjednoczonych i obdarzał ruch ten sympatią także wtedy, gdy Towarzystwo przekształciło się w podobny do niedawno rozwiązanych kolektywów Monsigny czy Ménilmontant domek Jańskiego. Jański, założyciel tej wyspki saint-simonistycznej, z poprawką polską, był z zawodu ekonomistą i wyznawcą Saint-Simona. Oczywiście wszystko na obcej ziemi, ziemi Charnaan, działa się odświętnie i z namaszczeniem. Bo ostatecznie o co chodziło? Kilku młodych ludzi, nawróconych na katolicyzm, którzy z tej osobistej sprawy robią od razu publiczną i po błogosławieństwie zwracają się do tego, który pierwszy dał przykład apostołstwa, nędzę i cierpienia emigrantów stojąc w szatę wymarzonego pielgrzymstwa.

Ci młodzi ludzie nie byli bynajmniej odлюдkami i mnichami z usposobienia. Rettel był oficerem piechoty, Kajsiewicz kiedyś służył w ułanach, był — według świadectwa Victora Pavie — „wysokiego wzrostu, silnej budowy, z twarzą uśmiechniętą i wesołą, przyjmował chętnie, pomimo szerokiej szramy od oka do brody, zaproszenia i tańcował z polską zawziętością. Nie opierał się światowemu ponętom i w godzinach nabożeństwa wchodził do katedry pokazać się pięknym paniom i sam się im przypatrywać”.

Mickiewicz miał tym młodym apostołom pomóc również swoimi stosunkami światowymi, on, który tak niechętnie, nawet w najgorszej nędzy, z nich korzystał, gdy



Lemana



Lozanna

chodziło o jego własne sprawy. Na jego apel do serca i szkatuły Adama Czartoryskiego książę odpowiedział z Londynu, gdzie właśnie bawił „Kochany Panie Mickiewicz! Rzecz, do której się interesujesz, nie może nigdy być w moich oczach licha, istotnie też nie jest. Owszem jest godną zajęcia, kiedy możemy pomóc kilku zacnym młodym ludziom do wzięcia się do pożytecznej pracy. Piśmę do Sienkiewicza, aby sumę 600 franków zaawansował. O jej zwrocie nie wątpię. Prawda, że trudne czas, trudniejsze od ostatniej naszej smutnej finansowej katastrofy. Ale jeszcze na tyle stanie, a co do kredytu, masz go u mnie zupełny”.

Wzmianka o katastrofie finansowej odnosiła się do bankructwa banku Jelskiego, tego, o którym pisał później w ironicznym wierszu Słowacki:

Polskim groszem, co z nieba sypie się a-  
nielski,  
Bankrutować by zaczął dawno już pan  
Jelski.

Największą sumę stracił wtenczas książę, cały swój majątek Ludwik Plater. Przychylna odpowiedź księcia znajduje w jakimś sensie oświetlenie w piśmie Jana Czyńskiego „Północ”, w którym czytamy: „Arystokracja widząc niedołężność szlachty pol-

Gwałtowników było wielu wśród emigrantów, których beznadziejność polityczna nie skłaniała do wzajemnej życzliwości. Emigranci spod znaków księcia Czartoryskiego bali się trzeźwości politycznej, woleli zbliżyć się z lękiem nabożnym do miśy cynowej, w której krew poległych powstańców zmieszano z wodą święconą.

\*

Kiedy w kilku dziennikach paryskich ukazała się wzmianka o wakującej w Lozannie katedrze literatury łacińskiej, Mickiewicz nie wahając się długo, powziął postanowienie zdobycia tej katedry. Zdobyć ją — gdyż rzeczywiście trzeba ją było zdobywać. Przekonał się o tym, gdy z przyjaciółmi, na których poparcie liczył, spotkał się w Szwajcarii, dokąd w połowie października wyjechał. Stał w Genewie w chłodny dzień październikowy. Mgła niezbyt gęsta, lecz dotkliwa napelniała jej ulice i place. Od jeziora wiał ostry podmuch, było dzisiaj wzburzone, zniknął jego lazur łagodny, tak charakterystyczny dla wód tego kraju, ciemna piana uderzała o brzeg. Ani jednego żaglowca nie było widać na zwielnionej przestrzeni. Chmury pożarły odległy krajobraz górski, mgła leżała na dalekim masywie Mont-Blanc.

Mickiewicz wyszedł z dylżansu i złożywszy swój niewielki tłumoczek podróżny w najbliższym hotelu, udał się zaraz na adresy wskazane mu przez panią de Circourt, która kierowała jego krokami z Paryża. W bramie jednego z domów spotkał niespodzianie Aleksandra Potockiego, który udzielił mu cennych informacji. Późnym wieczorem wrócił do swego hoteliku. Zegary genewskie wydzwaniały godzinę jedenastą, monotonicznie i uroczysto, gdy zasypiał. Następnego dnia wyjechał do Vevey, by spotkać się z Henrykiem Nakwaskim. Z żalem myślał patrząc na krajobraz wstający z mgły porannej, zapowiadającej pogodny dzień jesienny, o innej Szwajcarii, którą ujrzał po raz pierwszy jedenaście lat temu. Nie miał w sobie już nic z dawnych wzruszeń. Był wypalony od wnętrza, jak komini, wypróbowany przez nadmierne płomienie.

Krań, na który patrzył, mimo konkretności granitów, ostrości konturów, był teraz dla niego mało uchwytny. Góry Meilleries, po drugiej stronie jeziora, skąd kochanek Heloizy Russa pisał swoje listy, góry olbrzymie, podobne do potężnej symfonii, gdyby zastygła nagle w granit, śnieżne zręby pasma Dents du Midi, wody jeziora z wysokości tej gładkie i doskonale nieruchome, cały ten zdumiewający swoją kamenną pięknością krajobraz nie przyjmował jak gdyby powietrza, istniał oddzielnie, trwał w jakimś własnym czasie, w przestrzeni, która wydawała się iluzoryczną, gdyż uchylała się miarom, które przykłada do niej oko obserwatora. A jednak była to pomyłka. Powietrze brało żywy udział w kształtowaniu tej przestrzeni. Zbliżało lub oddalało bloki kamienne, ukazywało nagle niezauważone dotąd rysy i bruzdy w granicie po tamtej przeciwległej stronie Lemanu. Ale ta gra ustawiczna miała w sobie coś z szarlatanerii. Przybysz z niechęcią prawie patrzył na krajobraz. Czuł w nim pustkę, za którą nie kryje się nic, a raczej czuł tu wszędzie pozór piękności, która zachochalała się w gigantycznych formach i oto wystawia je na pokaz, by zasłużyć na podziw przyjezdnych Anglików i wdzięczność hotelarzy. Nie miał w sobie żadnego werwetu, który mógłby podłożyć pod tę skamieniałą melodię. Zaczynał rozumieć, jak nierozłącznie związany jest krajobraz z człowiekiem.

Droga z Vevey do Lozanny nie była daleka. W błękitnym powietrzu słonecznego dnia, który cały odbijał się w jeziorze, mając po prawej ręce skłony złocistych winnic jesiennych, Mickiewicz i Nakwaski przybyli do Lozanny i zatrzymali się w mieszkaniu emigranta włoskiego Melegarego. Mickiewicz nie chciał nadużywać uprzejmości Włocha i przeniósł się nazajutrz do hotelu pod „Złotym Lwem”. Tu odszukał go inny emigrant włoski Jan Scovazzi. „Byłem — pisał później Scovazzi — w kawiarni Morend na ulicy Bourg przy hotelu pod „Złotym Lwem”, gdy mi powiedziano, że jakiś Polak zatrzymał się w tej gospodzie. Od dzieciństwa miałem współczucie dla Polski i należałem do wyprawy Sabaudzkiej 1834 roku. Na pierwszą wieść, że Polak przebywa w hotelu pod „Złotym Lwem” natychmiastem tam, by się z nim zaznajomić. Przy powitaniu powiedziałem, że jestem emigrantem włoskim, że z jego rodakami brałem udział w wy-



prawie Sabaudzkiej i że jeżeli mogę mu być w czymś pomocny, jestem na jego rozkazy. Rodziłkował mi gorącym uściskiem dłoni i wytłumaczył, że przeczytawszy w dziennikach wiadomość o konkursie w Akademii Lozańskiej na katedrę literatury łacińskiej, pragnie wziąć w nim udział. Powiedziałem, że przedstawię go rektorowi Monardowi, z którym jestem w bliskich stosunkach. Wyszliśmy razem przejść się na Montbenon i przy pożegnaniu umówiliśmy się, że nazajutrz wyberzemy się razem do rektora... Serdecznie nas przyjął. Mickiewicz zaczął pytać o warunki i czas konkursu. Monnard wiedział już o przybyciu Mickiewicza do Lozanny. Zdziwiły mnie względy, jakie mu okazywał. Gdy Mickiewicz nalegał o wyznaczenie mu daty konkursu, rektor rzekł: „Jesteś pan już po egzaminie. Jest zaszczytem dla nas, że Adam Mickiewicz będzie profesorem naszej Akademii”. Zaprosił nas potem na wieczór. Spotkaliśmy tam kilku profesorów. Mickiewicza uderzyła serdeczność, z jaką go przyjmowano. Zajął się — z pomocą moją — wyszukiwaniem mieszkania, które wynajął wreszcie w domu przy ulicy Bourg obok hotelu „Sokół” i mojego domu. Mówił mi: „Jak swobodnie oddycha się w tym mieście!”

Pomimo trosk „urzędowych”, najgorszych, a może tylko najbardziej dokuczliwych z trosk, z którymi związany jest każdy żywot, pomimo ponżających bądź co bądź starań o posadę, poeta czuł się dobrze w Lozannie. W liście do Celiny pisał: „Godził lekcję na tydzień sześć tylko czy siedm. Pensił około dwóch tysięcy osiemset franków. Kraj piękny jak obraz”.

Cisza Lozanny po zgiełku Paryża była kojąca. To miasto wzniesione nad Lemaniem jak gniazdo kamienne, skupione w niewielu domach, o ulicach pnących się w górę i opadających ku jezioru, miało od tam być jego siedzibą na lata, do śmierci może? W tej chwili pragnął żyć więcej niż kiedykolwiek, żyć — za cenę mijania.

Od wielu lat nie pisał wierszem, jeśli brał pióro do ręki, to po to, by napisać list, artykuł do gazety, podpisać kwit, rachunek. Było mu też nieposłuszne teraz, gdy pewnego dnia, spośród innych prac i myśli, rzucił wiersz, który miał pozostać w rękopisie, by kiedyś, po latach, wypłynął z jakiejś skrytki na światło dzienne. I kiedy autor jego będzie spoczywał już w doskonałej obojętności, wzruszać coraz to nowe pokolenia Polaków. Nie był to wiersz w dawnym kształcie liryków Mickiewiczowskich. Nie był wykuty w mowie jak w skałę, raz na zawsze, bez jakiegokolwiek płynności, ulotności, przeciwnie, miał w sobie więcej powietrza niż słów, więcej przemilczeń niż znaczeń nieodwołalnych:

Nad wodą wielką i czystą...

Poeta odłączał się w tym wierszu od rzeczy i zjawisk, zarówno tych, które są stałe i trwają jak skały, od tych, które same nie tworząc kształtu odbijają tylko powiętrzoną skalę i niebo, jak od tych, które mają czas trwania błyskawicy i grzmotu. Odłączał się, by nie pozostać nigdzie, by płynąć.

Listopad tego roku nie dobiegł nawet do połowy, gdy Mickiewicz opuścił Lozannę otrzymawszy wiadomość o obłędzie żony. Pani Celina, która w czerwcu odbyła szczęśliwie poród, teraz wyczerpana karmieniem i niedostatkiem, niepewna przyszłości, prawdopodobnie także niepewna uczuć męża, pograżała się już od jakiegoś czasu w świecie mrocznym, w który kto zaszedł raz, nie wyjdzie już nigdy stamtąd z oczami dość jasnymi, by nie raziło ich światło dnia. Oczy jej w tej chwili patrzyły na męża, jakby skamieniałe w żalu, ale usta, nabyły szerokie pod małym kształtnym nosem, usiłowały uśmiechnąć się nadaremnie. Brwi były zsunięte, dwie lekkie zmarszczki wokół ust, powiększyły się nieco. Piękne podłużne ręce leżały na koidrze i wyrażały może najdobitniej to, czego nie mówiły usta. On także milczał. Twarz tej kobiety, którą ujrzał na nowo po powrocie z Lozanny, na nowo, bo dość jest kilku miesięcy, by zatrzeć w pamięci rysy osoby nawet bliskiej, lecz nie kochanej, była mu w tej chwili bliższa niż kiedykolwiek. Milczała. To milczenie było gorsze niż słowa wyrzutu, niż krzyk protestu, niż najboleśniejsza skarga. Nagle, nie zmieniając pozycji na wpol leżącej — poglaskała jego rękę. Zapłakał.

W kilka dni później pisał do Domeyki: „Znajduję konsylium przy żonie i drugie konsylium przy synku małym. Oprócz niedostatków finansowych, nie byłem w stanie niczym zająć się. Nic nawet przez ten czas czytać nie mogłem, a nawet czytając



Celina z Szymanowskich Mickiewiczowa  
(według dagierotypu paryskiego)

nie rozumiałem. Większą cierpiałem biedę niż tobie opisuję”.

Tymczasem lekarze postanowili umieścić panią Celinę w Domu Zdrowia, sądząc, że zwłaszcza rozłączenie z mężem i dziećmi może jej stan polepszyć. Chorą umieszczono w Maison de Santé w Vauves, córeczkę przyjął pan Faucher, syna przysięgłego kasztelana Plater.

„Ucieszyłem się niezmiernie, kochana Celino, — pisał Mickiewicz do żony — słysząc, żeś spokojniejsza a zatem zdrowsza. Jeśli tylko utrzymasz się dłużej w tym dobrym stanie, to wszystkie nasze nieszczęścia skończą się. Zmiłuj się, staraj się o to. Stancję dawno opuściłem; mieszkam teraz w mieście, aby być bliżej dzieci i codzień je widzieć. Napisz, czy trzewiki przypadły ci do nogi”.

Okres ten wydawał się Mickiewiczowi szczególnie trudny do przeżycia. Miał on już różne nieszczęścia, ale każde nowe uderza w człowieka ze świeżą siłą. Można by powiedzieć, że dno nieszczęść jest ruchome, i nigdy nie wiadomo, czy nie upadnie się jeszcze niżej. Do rzeczywistości oplakanych warunków życia dołączyło się jeszcze złe sumienie. Mało spał w tym czasie i nie dojadł. Oczy jego zawsze patrzące „jakby chciały z głębin ziemnej coś wydostać” teraz zapadły w wychudłej twarzy. Zaniedbał się. Strój jego, zwykle pozostawiający wiele do życzenia, w tych dniach przedstawiał się żałosnie. Miał zwyczaj obrywania guzików przy zakiecie. Nikt mu ich teraz nie przyszywał. Poglębiała się jego samotność, lecz samotność martwa, dolegliwa, nietwórcza.

„Od pół roku — skarży się bratu swemu Franciszkowi — tyle miałem w domu nieszczęścia, że nie wiem sam, jak je przetrwałem. Aleś znacznie ucierpiał na ciele i na umyśle. Teraz ledwie zaczynam przychodzić do siebie”.

A w liście do żony: „Jadę obaczyć Mię. Władzio biega i huka i sobą tylko zajęty, ani o mnie, ani o ciebie nie pyta... Myślę teraz jak mam urządzić się, żebyś miała mało kłopotu i więcej swobody dla twego życia umysłowego i moralnego. Wszystko to się do czasu ułoży. Wiersze twoje odczytałem. Bardzo je cenię; bo wiem, że tobie nie pochlebiam i twoich talentów zbyt nie wydziwiam. Poezje pisz albo układaj; mnie się zdaje, że to cię będzie uspakajać, a mnie się podoba. Bądź zdrowa, moje dziecię, i zawsze tak słodka, jak wczora; gdybyś zawsze taką była, nie byłabyś chora”.

W jednym z wcześniejszych bilecików pisał: „Słyszę, że się troszczysz o zły stan naszych interesów; bądź spokojna. Opatrzność nas nie opuści”.

Rzeczywiście mógł tylko liczyć na opatrzność. Emigracja zbyt zajęta była własnymi troskami, by pamiętać o poecie. W tym czasie, kiedy Mickiewicz cierpi skrajną nędzę w małej stancji na rue Saint-Nicolas, dokąd przeniósł się z pustego i zimnego

mieszkania po wyprowadzce żony, kiedy dzieci jego były u obcych ludzi, przyjęte z miłosierdzia, kiedy cały ten smutny exodus rodzinny nie mógł odbyć się tak cicho, by wieść o nim nie dotarła do możnych emigracji — na jednym z przyjęć, gdzie byli również goście francuscy, ktoś zapytał księcia Czartoryskiego, czy wie o nieszczęściu państwa Mickiewiczów. Książę Adam Czartoryski, zmęczony ustawicznymi petycjami, nie rad był, że mu teraz właśnie stawiają przed oczy nędzę jednego z wygnańców. Twarz jego długa, podobna do twarzy starszej kobiety, wydłużyła się jeszcze bardziej:

— Przychylność moja dla państwa Mickiewiczów jest znana, zrobię wszystko, co jest w mojej mocy. Ale Waszmość Pan wie, jak trudno teraz o grosz i o kredyt.

Właśnie wstawano od stołu i książę przeszedł do salonu wraz ze swymi gośćmi.

Stan zdrowia pani Celiny po chwilowej poprawie pogorszył się tymczasem. Wbrew zakazom lekarzy sprowadził ją Mickiewicz do domu przy ulicy Val-de-Grace. Odwiozł ją bredzącą w zupełnym pomieszeniu, w kanikułę i podczas burzy. Po powrocie do domu odzyskała przytomność. Wróciły także dzieci. Nędzę domową słodziła nadzieja wyjazdu do Szwajcarii. Dzień odjazdu zbliżał się, z niecierpliwością oczekiwany przez tych dwoje ludzi, którym obrzydł do reszty Paryż w czasie ostatnich miesięcy. Zresztą w zmianie przestrzeni widzą często ludzie nieszczęśliwi jedyny ratunek, niezupełnie dobrze zdając sobie sprawę ze swego stanu, który tkwi w nich, nie na zewnątrz, tak że zmiana miejsca, nie powodując zmiany ich czasu, niewiele i nie na długo może pomóc.

W przeddzień odjazdu, 10 czerwca przyjaciele zegrali poetę uroczystym obiadem. Było około 40 osób. Książę Czartoryski nie zjawił się, napisał jednak do hrabiego Platera list, w którym usprawiedliwiał swoją nieobecność.

„Kochany Hrabio! bardzo żałuję, że nie dobiegłem do ciebie i tak późno dowiedziałem się o obiedzie dzisiejszym dla naszego szanownego Mickiewicza; byłbym się zapewne połączył z innymi ziomkami chcącymi go pożegnać, bo mogę powiedzieć, iż żaden z nich lepiej mu nie życzy ode mnie, ani wyżej nie cenę jego duszy i geniuszu”.

Zaharowany belferką, niewiele ma teraz czasu na rozmyślanie; być może, że tej ustawicznej pracy znajduje usprawiedliwienie przed samym sobą, usprawiedliwienie dla nietwórczego życia.

„Okna mam z mego pokoju na jezioro Leman i na Alpy, tylko szkoda, że do jeziora daleko. Wolę ja nasze litewskie krajobrazy, na których zaraz można położyć się i przespać, niż te dalekie blichtry, co oczy trzudzą jak camera obscura”.

„Mieszkam w pięknym domu, salon mam pyszny z ogromnymi zwierciadłami i olbrzymimi oknami, z widokiem na ogród i jezioro. Prawdę mówiąc to mieszkanie

jest pono największą i całą moją przyjemnością. Tęsknota mnie nieraz do Litwy ciężka napada i ustawicznie śni się o Nowogródki i Tuchanowiczach”.

Tyle w listach. W istocie pozerła go tęsknota za krajem. Do starej już tęsknoty dołączyło się uczucie nowe, trudne do wyrażenia, uczucie czegoś nierzeczywistego w tym wszystkim, co go otaczało. Rzeczywista była jakaś zablokowana i rozjechana poza rowy droga na Litwie, jakiś dwór w lipach i topolach, jakaś karczma bodaj, kapota obszarpana chłopska czy żydowska. Tam były krajobrazy, na których można zaraz położyć się i przespać. Tu była tylko błyszcząca ściana powietrza, kunsztownie wykonana mapa plastyczna z jeziorem, masywem Alp, architekturą miasta. „Miasto Lozanna zresztą dość nudne. Mieszkańcy nam przychylni i byłoby tu nam dobrze, gdybyśmy przywyknąć mogli do cudzej ziemi! Ale próżno, jesteśmy jak cyganie wszędzie gośćmi”. Uczucie tęsknoty za krajem, uciszone kiedyś po napisaniu „Pana Tadeusza”, zagłuszone gwarem Paryża i zgiełkiem emigracji, tu pobudzają co chwila widoki przyrody, pozornie podobnej do tamtej: jakiś skrawek łąki, grupa drzew, fragment jeziora. Szczęśliwe miejsca, wyspy spokoju i pogody, na których przed siedmiu jeszcze laty rodziła się jego poezja. Nastąpiła pora wielkiego nieurodzaju. Po krótkim liryku „Nad wodą wielką i czystą” napisanym bodaj przed rokiem, kilka nowych wierszy, niewiele to, ledwie stronica jedna „Pana Tadeusza”, jeśli by wydrukować dwu-szpaltowo, bo miara wierszy przeważnie krótka. Najdłużniejszy z tych wierszy, ów bez tytułu, w rytmie kołyszącym o rozluźnionej nieco więzi logicznej i niepoprawny w składni, natracający jakby o inkantację ludowe w owym błędzeniu i narzekaniu duszy, która wyszła z ciała.

Gdy tu mój trup w pośrodku was zasiada. W oczy zagląda wam i głośno gada, Dusza w ten czas daleka, ach daleka, Błąka się i narzeka, ach narzeka.

Jest u mnie kraj, ojczyzna myśli mojej, I liczne mam serca mego rodzeństwo: Piękniejszy kraj niż ten, co w oczach stoi, Rodzina miłsza, niż całe pokrewieństwo.

Tam, wpośród prac i trosk i wśród zabawy, Uciekam ja. Tam siedzę pod jodłami, Tam leżę wśród bujnej i wonnej trawy, Tam pędzę za wróblami, motylami.

Tam widzę ją, jak z ganku biała stąpa, Jak ku nam w las wśród łąk zielonych leci, I wpośród zbóż, jak w toni wód się kapa, I ku nam z gór jako jutrzienka świeci.

Nic tu nie zostało z dawnej składni Mickiewicza. I ton wewnętrzny jest inny, zapatrzenie w przepaść samego siebie, już nie tylko przecucie przepaści jak to było w „Dziadach” Drezdeńskich, lecz samo zapatrzenie. „Piękniejszy kraj niż ten, co w oczach stoi, Rodzina miłsza niż całe pokrewieństwo” mówił malarz krajobrazów „Pana Tadeusza” i ojciec kilkorga dzieci. Jest w tych utworach, i w wierszu „Snuć miłość jak jedwabnik nie wnętrzem swym snuje” i w innych jakby odległe podobieństwo do wierszy Holderlina z lat jego zamroczenia. I tu i tam jest zatercie wyraźnych konturów od oślenia, obaj poeci patrzą jak gdyby wzrokiem wewnętrznym, który przelśnięwa wszystkie słowa i obrazy. Autor „Ody do młodości” i „Farysa”, nie gardzący szerokim schillerowskim gestem retorycznym, gwałtownym obrotem zdania, frazą napiętą do ostatnich granic wytrzymałości, mówi tu szeptem, urywanymi zdaniami, kołyszącymi się w rytmie kantyczki.

Polaly się lzy me czyste, rzęsiste, Na me dziecinstwo sielskie, anielskie, Na moją młodość gorą i durną, Na mój wiek męski, wiek kłesi: Polaly się lzy me czyste, rzęsiste..

W tych kilku zdaniach jest rezygnacja, uczucie, którego nie znał dotąd Mickiewicz, albo raczej przed którym umiał się bronić on, który wołał: „Broń mnie przed samym sobą!”. Ale była również w tych wierszach (nie pokazanych nikomu) zapowiedź innej poezji. Jakby uchylene zastłony z widoku pierwszych gajów Ziemi Obiecanej, do której wejść nie miał już dość wiary i siły. A przecież snuje od czasu do czasu pomysły do wierszy i poematów, podrywa się na chwilę, jak ptak ciężko ranny, by zaledwie powlóczyć skrzydłami.

Mieczysław Jastrun.



HENRY DENIS

# HUMANIZM I MATERIALIZM A MYŚL FILOZOFICZNA KAROLA MARKSA

**T**RWA DZIŚ spór na temat związków, łączących humanizm z materializmem marksistowskim.

Z jednej strony spotykamy zdanie, że humanizm przyjętą można tylko wówczas, gdy się materializm odrzuci: takie jest stanowisko Jean Paul Sartre'a i takie jest także stanowisko André Malraux którego przeraża rozpowszechnianie myśli marksistowskiej i który zapytuje „czy to nie umarł człowiek? W rzeczywistości gdyby Malraux i jego przyjaciół, zwolennikom nieograniczonych uprawnień osobistych, pozwolono swobodnie działać, zniknęłoby wkrótce to wszystko, co stanowi o godności człowieka.

Z drugiej strony istnieje wiele prac i artykułów zmierzających do wydobycia na światło dzienne humanistycznego charakteru myśli Marksa. Prace te opierają się jednak przede wszystkim na dziełach Marksa z okresu młodości. Możemy tu zacytować książkę Somerhausena „Humanisme agissant de Karl Marks”, czy też artykuły Maksymiliana Rubel w „Revue socialiste”. Wydaje się jednakże, że zadanie podjęte przez tych autorów nie zostało wykonane w sposób zadawalający. Dziwi nas na przykład Somerhausen, mówiący o Marksie jako o „indywidualiście”, czy Rubel określający poglądy Marksa jako „etyczne”, a nawet utopijne. Wydaje się, że takie przymiotniki nie mają nic wspólnego z punktem widzenia materializmu historycznego; posługując się nimi zmacnia się tylko dość rozpowszechnioną opinię, według której dzieła Marksa dzielą się na dwie grupy: z jednej strony pisma z lat młodości, które odzwierciedlają stanowisko wyłącznie humanistyczne i, z drugiej strony — prace dojrzałe, w których Marks zajmuje stanowisko przeciwne — bo materialistyczne.

Z tak postawionym problemem — prześledźmy teksty. Odkrywają nam one od razu, że tak stanowisko materialistyczne jak i humanistyczne obejmuje Marks w swojej doktrynie od początku i nigdy nie występują one osobno. Skądinąd zaś teksty wykażą nam, że humanizm Marksa ma do zawdzięczenia swój specyficzny charakter właśnie materializmowi, dzięki któremu przeciwstawia się on stanowczo irracjonalnym koncepcjom, stanowiącym pożywkę ustrojów faszystowskich.

W przedmowie do „Przyczynku do kryteriów ekonomii politycznej” Marks sam zapowiada, że punktem wyjścia dla jego własnej doktryny była praca, którą podjął nad hegeliańską filozofią prawa. W wyniku tej pracy doszedł Marks do wniosku,

„że stosunki prawne i formy państwowe nie tłumaczą się same przez się, ani też przez ogólny rozwój umysłu ludzkiego, lecz przeciwnie, wyrastają z materialnych warunków życia... że anatomii społeczeństwa szukać należy w ekonomii politycznej”.

„Krytyczną rewizję hegeliańskiej filozofii prawa” napisał Marks w 1843 r. w okresie między marcem, a wrześniem. W tym więc okresie należy umieścić datę powstania materializmu historycznego.

Jeżeli chcemy dodatkowego wyjaśnienia wystarczy przeczytać list Marksa do Arnolda Ruge, z września 1843 roku:

„Nic nam więc nie przeszkadza, pisać do swojego korespondenta, w powiązaniu, a nawet utożsamieniu naszej krytyki z krytyką polityki i z polityczną walką partii, a więc z walkami **rzeczywistymi**. My nie przedstawiamy się światu jako doktrynerzy, odkrywcy nowej zasady filozoficznej: oto prawda, padajcie na kolana. My rozwijamy przed światem nowe zasady, wynikające z zasad rządzących światem. Nie każemy światu rezygnować z jego walk, nie twierdzimy, że to były bzdury, i że to dopiero my wnieśliśmy prawdziwe hasło walki. My pokazujemy tylko światu, dlaczego walczy w **rzeczywistości**, a świadomość tego jest czymś, co, choćby jej nie posiadał, **zmuszony** jest przyjąć.

A więc już od tego momentu Marks posługuje się materialistyczną koncepcją pojmowania dziejów, a następnego roku opracowuje jednocześnie swoje sławne pismo

„ekonomiczno - filozoficzne”, gdzie dopomina się o „rzeczywiste przystosowanie bytu ludzkiego dla człowieka i przez człowieka” oraz notatki, w których omawia swoje koncepcje humanistyczne w słowach, które Maksymilian Rubel uważa za stosowne porównać ze słownictwem autorów mistycznych. Nie można więc mówić o przejściu Marksa ze stanowiska humanistycznego na materialistyczne.

Potwierdza to jeszcze dokładne zbadanie dalszych tekstów Marksa. W istocie, zawsze i wszędzie widzimy, że materializm i humanizm są w nich nieodłącznie ze sobą związane.

Bardzo często znani przedstawiciele myśli marksistowskiej podkreślali fakt, że stanowisko materialistyczne, takie jak je pojmował Marks, nie zaprzecza wcale skuteczności i wolności ludzkiego działania; ograniczamy się więc do przypomnienia kilku najważniejszych tekstów:

„Ideologia niemiecka”, opracowana przez Marksa i Engelsa w 1845 roku, obejmuje pierwszy i najobszerniejszy wspólny wykład koncepcji materializmu historycznego. Czytamy tam:

„Ludzie są twórcami swoich pojęć i wyobrażeń... ale ludzie rzeczywisti, działający, uwarunkowani przez określony rozwój środków produkcji”.

albo:

„Różni stopień rozwoju życia materialnego zależy w każdym wypadku... od stopnia rozwoju potrzeb, a produkcja, zarówno jak zaspakajanie tych potrzeb, są już same procesem historycznym, którego nie spotykamy u psów czy owiec”.

Streszczając swoją koncepcję na początku jednego z najważniejszych dzieł historycznych („Le 18 Brumaire de Louis Bonaparte”), Marks mówił:

„Ludzie sami tworzą swoją historię, ale nie tworzą jej dowolnie, w wybranych przez siebie okolicznościach, lecz w takich, w jakich się bezpośrednio znaleźli, jakie zostały im dane i przekazane”.

Przyjmując skuteczność właściwą ludzkiemu działaniu, zakłada się jednocześnie, że człowiek jest obdarzony wolnością; słowo to często jeszcze wraca do pióra Marksa i Engelsa. Ale nie wystarczy pokazać, że materializm historyczny uznaje wolność człowieka. Jedną bowiem z zasadniczych zdobyczy materializmu jest stwierdzenie faktu, że człowiek staje się „coraz bardziej wolny”.

„Wolność, pisze Engels, opiera się na tej władzy nad sobą samym i nad światem zewnętrznym, która istnieje dzięki znajomości koniecznych praw natury: jest więc w ten sposób wytworem historycznego rozwoju. Pierwsi, różniący się od świata zwierzęcego ludzie byli w istocie tak samo mało wolni jak zwierzęta, każdy jednak postęp cywilizacji był krokiem ku wolności”.

Stanowisko humanistyczne nie jest więc nigdy obce materializmowi historycznemu. Jednocześnie jednak prawdą jest i to, o czym mówi się rzadziej, a mianowicie, że Marks budując ideał ludzki nie traci nigdy z oczu teorii materialistycznej.

Należy zauważyć, że kierunek myśli rozwijanych w pismach „ekonomiczno - filozoficznych” jest od początku do końca oparty na metodzie materialistycznej, która ściśle wiąże idee z faktami, jakie je warunkują.

Przed wszystkim Marks pokazuje nam, w jaki sposób ekonomia polityczna angielska

„powinna być uważana za wytwór prawdziwej energii i rzeczywistego ruchu własności prywatnej, za wytwór nowoczesnego przemysłu”.

A później, w jaki sposób niemożność rozwijania czysto ludzkich uzdolnień prowadzi człowieka żyjącego w ustroju kapitalistycznym — do komunizmu.

„Wszystkie zmysły fizyczne i intelektualne wyrodziły się w jeden tylko zmysł: zmysł posiadania. Istota ludzka musiała zostać doprowadzona do stanu absolutnego ubóstwa, aby móc zrodzić swoje wewnętrzne bogactwo”.

Widać więc jasno, że źródłem humanistycznej rewindykacji Marksa nie jest abstrakcyjna idea człowieka, ale rzeczywiste cierpienie ludzi ściśle określonej epoki, ludzi okaleczonych na skutek pewnych określonych warunków życia społecznego.

I chociaż, chcąc przywrócić człowieka jemu samemu, Marks otwiera przed nami perspektywę postępu w pewnym sensie nieograniczonego, to jednak nie upoważnia nas tym do czynienia z niego, jak to się wielokrotnie działo, marzyciela i proroka. W tym samym przecieć okresie czasu mówi wyraźnie, że

„teoria jest wprowadzana w życie przez społeczeństwo tylko w tych granicach, w jakich jest spełnieniem jego potrzeb”.

Wskazuje na proletariata, jako na klasę społeczną, której potrzeby są obecnie, w nowoczesnych społeczeństwach, istotną przyczyną zmian, a wkrótce potem w „Ideologii niemieckiej” stwierdza, że

„Istnienie w określonej epoce myśli rewolucyjnej już z góry określa istnienie rewolucyjnej klasy”.

Wreszcie nie należy zapominać, że Marks, rozwijając swoje koncepcje humanistyczne, opracowywał jednocześnie nową teorię poznania: materializm dialektyczny, któremu dał wyraz na początku 1845 r. w swoich sławnych „Tezach o Feuerbachu”:

„Zagadnienie, czy myśl ludzka może osiągnąć prawdę obiektywną, nie jest zagadnieniem teoretycznym, lecz praktycznym. W praktyce bowiem musi człowiek dowieść prawdziwości, a więc rzeczywistości, siły i doczesności swego myślenia”.

Tym razem widzimy już nie tylko związki humanizmu z warunkami obecnej, zwyrodniałej egzystencji ludzkiej, ale i z samym działaniem, które ma nas od niej uwolnić, — z działaniem rewolucyjnym. Człowiek jest odąd powołany do udowodnienia czym jest — przez to, co urzeczywistnia.

Ale nie wystarczy pokazać, że materializm i humanizm współistnieją w myśli filozoficznej Marksa. Trzeba jeszcze rozplątać łączący je węzeł, aby udowodnić, że autor „Kapitału” tylko dzięki materializmowi dialektycznemu ugruntował humanizm nowy, całkowicie oryginalny, który sam nazywa „humanizmem rzeczywistym”.

Być może, iż już w średniowieczu kilku myślicieli zajęło stanowisko humanistyczne, ale rozpowszechnieniu humanizmu przeszkodziła przewaga filozofii teologicznej. Mówi nam o tym specjalista tak doświadczony, jak Jacques Maritain:

„Średniowieczu wystarczała wiedza, przede wszystkim teologiczna. Wynikało to z powszechnej psychologii, ujmującej cały świat z punktu widzenia Boga. Nie badano naturalnych tajemnic człowieka metodą naukową i doświadczalną. Krótko mówiąc — średniowiecze było całkowicie przeciwieństwem epoki refleksyjnej. Człowiek średniowieczny, na skutek jakiegoś metafizycznego wstydliwego strachu, na skutek zbytek troski o kontemplowanie bytu, nie badał samego siebie”.

Trzeba jeszcze dorzucić, że to rozpowszechnienie myśli teologicznej łatwo wytłumaczyło przez ówczesny układ stosunków społecznych. Czyż człowiek mógł ośmielić się przyglądać sobie w czasach, kiedy przytłaczająca większość jednostek ulegała, na skutek poddaństwa, zezwierzęceniu i kiedy nie ujawniły się jeszcze warunki, które by mogły to zmienić, które by pozwoliły wyswobodzić człowieka?

Z podobnych przyczyn poniosł także klęskę humanistyczny wysiłek Renesansu. Nie wolnik bowiem wyzwalał się stopniowo spod władzy pana tylko po to, aby dostać się pod władzę kupca; a niejasne uświadomienie sobie wymagań człowieka, który ma zostać wyzwolony, mogło zrodzić wówczas jedynie utopie Moore'a czy Campanelli.

Wreszcie, w miarę jak rozwój kapitalizmu odsuwa robotnika coraz dalej od środków i owoców produkcji, żywy człowiek Rabelais'go i Erazma przestacza się w abstrakcyjną jednostkę Locke'a czy Rousseau.

Wzrost indywidualizmu w XVII i XVIII wieku idzie w parze z rozpowszechnieniem filozofii mechanistycznych. Spirytualizm

mechanistyczny Malebranche'a rodzi fizjokratyzm, który, w imię porządku opartego na opatrności, stanowczo zaprzecza możliwości wywierania przez człowieka wpływu na warunki jego społecznego bytu.

A znowu materializm mechanistyczny Helvetiusa i Diderota, jeżeli dąży do przeobrażenia człowieka, to tylko w drodze wychowywania jednostek.

Dalej przychodzi Hegel i, chcąc przezwyciężyć abstrakcyjne stanowisko humanistyczne, zapomina o człowieku, stawiając go wobec idei uosobionej przez państwo. Nie trzeba czekać na reakcję, — wkrótce Feuerbach podejmie radykalną krytykę Idealizmu; w ten sposób stara się wrócić człowiek jemu samemu.

W tym stanie rozważań pojawia się Marks i opiera humanizm, będący ciągle jeszcze w stadium poszukiwań, na trwałych podstawach, z których najważniejszą stanowi materialistyczna koncepcja pojmowania dziejów.

I dzięki tej właśnie koncepcji różni się od Feuerbacha, dzięki niej właśnie go prześcignął, ponieważ jak sam mówi:

„Kiedy Feuerbach zajmuje stanowisko materialistyczne, nie spotyka się u niego historii, a kiedy bierze pod uwagę historię, — nie jest materialistą”.

Humanizm Feuerbacha, całkowicie oparty na krytyce religii, osiągnął koniec końców tyle, jak to dobrze pokazał Engels, że stworzył nową religię, religię człowieka. Słabość jego ujawniła się wówczas, kiedy przyszło do ustalenia zastosowań praktycznych. Homo homini deus — powiedział Feuerbach, raz jednak wskazując, że kult oddawany przez człowieka człowiekowi winien się rozwijać w sferach czystej przyjaźni, innym zaś razem przeciwnie w sferze instynktu.

„W ten sposób, mówi Engels, miłość płciowa staje się u Feuerbacha jedną z najwyższych, jeśli nie najwyższą formą praktykowania nowej religii. Człowiek Feuerbacha waha się niecierpliwie między aniołem i bestią, i niewiedzą, gdzie go właściwie umieścić”.

Z tego punktu widzenia Marks zajmuje stanowisko przeciwne do stanowiska swego nauczyciela. Przyjmuje przede wszystkim, że krytyka religii nie jest właściwym punktem wyjścia, jeżeli chce się zrozumieć zwyrodnienie ludzkie, ale, przeciwnie, trzeba znaleźć wytłumaczenie dla zwyrodnienia religijnego, jednocześnie z wytłumaczeniem wszelkich form zwyrodnienia.

„Jeżeli moja własna działalność nie należy do mnie — pisal — jeżeli jest działaniem obcą, narzuconą, do kogo wtedy należy? Do kogo innego? Czyżby do bogów? To prawda, że w dawnych czasach najważniejsze prace jak np. budowa świątyni w Egipcie, Indiach czy Meksyku, były służbą bożą, i owoce tych prac należały również do bogów. Ale nigdy bogowie, tak samo zresztą jak natura, nie byli wyłącznymi panami pracy. I doprawdy, byłoby dziwną sprzecznością, gdyby człowiek, który swoją pracą ujarzmił stopniowo naturę i dla którego dzięki cudom przemysłu zbyteczna są cuda bogów, wyrzekł się dla tych potęg radości wytwarzania i używania wytworów. Nieznana istota, do której należy praca i jej owoce, w której służbie znajduje się praca i używanie jej produktów, nie jest nikt inny, jak człowiek. Skoro wytwory pracy nie należą do pracownika, skoro są dla niego obcą potęgą — to znaczy, że należą do kogoś innego. Każda praca jest dla robotnika torturą, więc musi być radością i rozkoszą dla kogoś innego. Ale jedynie człowiek, nie bogowie i nie natura, jest zdolny stać się tą nieznaną potęgą, uciskającą człowieka”.

Widzimy więc, że Marks zamierza odkryć tajemnicę zwyrodnienia ludzkiego, rozważając człowieka nie tylko jako istotę zmysłową, ale i jako wytwórcę, a więc, dzięki pracy, — jako pana przyrody. Musi więc odrzucić koncepcję, która chce widzieć w człowieku boga, absolut. Istotnie, wie przecieć, że stosunki między ludźmi, ich znajomość samych siebie, zależą od warunków materialnych, społecznych, i że wskutek tego człowieka poznać można tylko w



sposób względny, choć niemniej zgodny z rzeczywistością.

Zarzucono kilkakrotnie Marksowi, że nie poszedł drogą Feuerbacha, drogą transcendentnego humanizmu; dziś jednak, jeżeli się zważy skutki jakie miała ta „religia człowieka”, nie można wątpić, że przeciwnie, było to jego wielką zasługą.

Jednym z największych uczniów Feuerbacha był Ryszard Wagner. Artysta opanował zarzutami, które filozof postawił pod adresem rozumu, i na tej podstawie odbudował mit; przyswoił sobie również koncepcję boskiego człowieka i przeprowadził ją w swoich utworach. Oto jak o tym mówi Albert Lévy:

„Artysta, który żył w Wagnerze, który był jednocześnie przyrodą i Bogiem, poganim i chrześcijaninem, formą plastyczną i muzyczną harmonią, synem Prometeusza i synem Beethovena, — odnalazł brata w człowieku Feuerbacha, Zygryd, to człowiek - bóg, uosobienie przyrody i miłości... to ktoś, kto kładzie kres rozdwojeniu nieba i ziemi, to symbol odzyskania przez ludzkość jej właściwej treści, która ma, według filozofa, zapewnić triumf miłości nad egoizmem...”

Ale wpływ Feuerbacha nie kończy się na Wagnerze. Z kolei z rąk Wagnera otrzymuje Nietzsche tę książkę o „Państwie i religii”, napisaną przez kompozytora dla króla Bawarii, która według najlepszych komentatorów, wywarła decydujący wpływ na autora „Zarathustry”.

U Nietzschego jednak krytyka religii zmienia się w prawdziwą zazdrość. W zajądłośc myśliciele, który buntuje się, że sam nie jest bogiem. Ale także i u Nietzschego znajdujemy to samo stałe wahanie, z którym

spotkali się u Feuerbacha. Bowiem, niejednokrotnie, poeta - filozof sprowadza człowieka do zwierzęcia; dzieje się tak, na przykład, gdy stara się wytłumaczyć pierwotne stosunki ludzkie przy pomocy wzoru społeczeństwa zwierzęcego, opisanego przez Espinasa, chociaż uniknął tego Engels w swojej pracy o „Pochodzeniu rodzaju”.

Podczas, gdy według Marksa, człowiek powinien się urzeczywistniać, dla Nietzschego człowieka winno się „przezwyżyć”. Nie wiadomo tylko jaką obrać drogę: w kierunku nadczłowieka czy zwierzęcia. W ten sposób zaprzeczając, że szczęście jest celem działalności człowieka, zastępując je poszukiwaniem życia i mocy, Nietzsche przeczy istocie działalności człowieka, odwraca się od humanizmu. Ale przyczyną tego jest zerwanie z rozumem, a przede wszystkim nieuznawanie historii za dzieło rozumu, a więc zaprzeczenie temu, czego nikt nie stwierdził dotąd tak dobitnie, jak Marks.

Nietzsche chce się pozbyć „pajęczyny rozumu”, odwołując się do mitu, i udaje mu się uzyskać prawdziwie, mówiąc jego słowami, „prelogiczną mentalność”.

W ten sposób również odrzuca istnienie jakichkolwiek praw w historii ludzkości, istnieją więc dla niego tylko „fakty całkowicie przypadkowe” i udaje, że wierzy:

„Iż ten, kto nauczył się zginać kark i schylać głowę przed „potęgą historii”, będzie zawsze witał pochwalnym i mechanicznym ukłonem każdy rodzaj potęgi — czy nią będzie rząd, czy opinia publiczna, czy poprostu większość.”

Wiadomo do jakich rezultatów doprowadziła ta koncepcja człowieka, wpro-

dzona w życie przez ustroje faszystowskie. A jednak egzystencjalizm występuje dziś z koncepcją analogiczną i stara się ją rozpowszechnić.

Jak dla Nietzschego, tak i dla Sartre'a punktem wyjścia jest zaprzeczenie istnienia Boga i postawienie na jego miejscu człowieka, jako rzeczywistości transcendentnej.

„Dostojewski napisał: „Gdyby Bóg nie istniał, wszystko byłoby dozwolone”. Oto punkt wyjścia egzystencjalizmu. Człowiek jest stale nazewnątr siebie, może istnieć tylko wówczas, jeśli się gubi w zewnętrzności i na nią rzutuje, lecz równocześnie jeśli dąży do transcendentnych celów. Istotą człowieka jest to właśnie wykraczanie poza siebie, przedmioty istnieją dla niego jedynie w związku z tym wykraczaniem.”

Pod pozorem, że jest to potrzebne dla zadokumentowania „całkowitej” wolności człowieka, egzystencjalizm odrzuca koncepcję przyczynowości w zakresie zjawisk ludzkich; rozum nie może, według egzystencjalizmu, spełniać roli przewodnika i podpory działalności ludzkiej.

„Egzystencjalizm, mówi Sartre, nie sądzi również, aby człowiek mógł znaleźć na ziemi pomoc ze strony znaku, który by go zorientował we właściwym kierunku: egzystencjalizm uważa natomiast, że człowiek rozszyfrowuje znaki, tak jak mu się podoba.”

Człowiek rozszyfrowuje znaki, a więc świat, tak jak mu się podoba. Czy istnieje zdanie bardziej antyhumanistyczne? Jeżeli każdy „podmiot” ma absolutną swobodę objaśniania świata, stosownie do swojej

fantazji, wtedy niknie wszelka wspólna miara ludzka, nie ma możliwości wzajemnego zrozumienia się; i w ten sposób zostaje zgubiony człowiek, bo jak to wskazał Marks, człowiek może się odnaleźć tylko w społeczeństwie ludzi sobie podobnych.

A z drugiej strony, jeżeli nie istnieje na świecie nic, czego rozum ludzki mógłby się ucześcić, jak można żądać wówczas od człowieka, aby nie poddawał się pragnieniu „woli i mocy”. Jeżeli przyjmie się że faszyzm, raz wprowadzony w życie, może się stać „prawdą ludzką” — jakże wówczas uniknąć tego, aby ludzie nie udzielali mu poparcia.

Pierwszym warunkiem istotnego humanizmu jest poznanie wartości rozumu, a więc i praw rządzących całą przyrodą, nie wyłączając człowieka. Tak postępuje właśnie materializm marksistowski, stwierdzając jednocześnie istnienie wolności człowieka i przyczynowości historycznej. Nie ma tu żadnej sprzeczności, ponieważ rozum zgodnie z dialektyką jest jednocześnie motorem poznania i motorem działania, które są nierozdzielalne i funkcjonują jednocześnie.

Zapewne, człowiek nie jest Bogiem. Na każdym etapie swego historycznego rozwoju może tylko rozwiązywać problemy, postawione mu przez jego własną sytuację. Ale z każdym przeżytym etapem otwierają się przed nim nowe horyzonty, ku którym człowiek, operujący swoje działania na rozumie, zmierza bardziej zdecydowanym krokiem, niż zwolennicy „całkowitej” wolności.

przekład z francuskiego  
Ewy Fiszer

przełożył JAN KOTT

GEORG LUKACS

## Powieść jako mieszczańska epopea (I)

**C**HOCIAŻ w literaturach starożytnego Wschodu, antyku i średniowiecza zdarzają się utwory, pod wieloma względami pokrewne powieści, typowe cechy powieści występują dopiero w społeczeństwie mieszczańskim. Właśnie w powieści znalazły swój najpełniejszy wyraz zarówno charakterystyczne sprzeczności burżuazyjnego społeczeństwa, jak i charakterystyczne cechy burżuazyjnej sztuki. W przeciwieństwie do innych form sztuki (na przykład dramatu), które mieszczańska literatura przejęła i dostosowała do własnych celów, formy epickie dawnej literatury uległy tak głębokim przemianom, że możemy mówić o powieści, jako o zupełnie nowym gatunku artystycznym.

Powszechne prawo nierównomierności duchowego rozwoju w porównaniu z materialnym postępem, które odkrył Marks, potwierdzają jaskrawie losy teorii powieści.

### LOS Y TEORII POWIEŚCI

Ogólna definicja powieści pozwalałaby przewidywać, że teoria tej nowej i specyficznej formy literackiej została przez mieszczańską estetykę całkowicie opracowana. Tymczasem rzeczywisty bieg historycznego rozwoju świadczy o czymś zupełnie innym. Pierwsi mieszczańscy teoretycy literatury zajmowali się niemal wyłącznie tymi rodzajami literackimi, których artystyczne zasady można było wyprowadzić z antycznej poezji, a więc przede wszystkim dramatem, eposem, satyrą. Powieść rozwijała się prawie zupełnie niezależnie od rozwoju ogólnej teorii literatury, która nie przyznawała do wiadomości faktu istnienia powieści, i nie próbowała na nią oddziaływać (w XVII — XVIII w. — Boileau, Diderot, Lessing). Pierwsze doniosłe spostrzeżenia z teorii powieści, które znajdujemy w poszczególnych wypowiedziach wielkich powieściopisarzy, dowodzą wyraźnie, że rozwijali oni i doskonaliли ten nowy rodzaj zupełnie świadomie, mimo że w swoich teoretycznych uogólnieniach nie poszli dalej, niż było to im potrzebne dla ich własnej twórczości. Pominięcie tego, co było najbardziej nowego w rozwoju mieszczańskiej sztuki, nie jest oczywiście rzeczą przypadkową.

Teoretyczna myśl młodego mieszczaństwa zmuszona była we wszystkich zagadnieniach estetyki i kultury trzymać się możliwie najbliższej antycznych wzorów, w

których znajdowała najbardziej skuteczną oręż w walce o mieszczańską kulturę przeciwko średniowiecznej. Tendencje te wzmogły się jeszcze, kiedy nabierająca powoli znaczenia mieszczańska literatura weszła w okres wczesnego absolutyzmu. Wszystkie rodzaje artystycznej twórczości, nie odpowiadające antycznym wzorom, wyrastające organicznie z narodowych, ludowych, a nawet i plebejskich form średniowiecznej kultury, były w tym okresie pomijane przez teorię, a często nawet zwalczane jako „nieartystyczne” (np. dramat szekspirowski).

Tymczasem pierwsze wielkie powieści wyrastają organicznie i bezpośrednio ze średniowiecznych opowieści; forma powieści rodzi się z rozkładu średniowiecznych narracji, jako produkt ich plebejskiego i mieszczańskiego przeistoczenia.

Dopiero klasyczna niemiecka filozofia przynosi pierwsze próby stworzenia ogólno - estetycznej teorii powieści i włączenia jej do systemu form artystycznych. Jednocześnie i spostrzeżenia wielkich powieściopisarzy o własnej pisarskiej praktyce stają się coraz bogatsze w uogólnienia i głębokie teoretycznie (Walter Scott, Goethe, Balzac). W tym okresie zostały sformułowane zasady mieszczańskiej teorii powieści w jej klasycznej formie.

Oczywiście, że o wiele bogatsza literatura, dotycząca teorii powieści, powstaje dopiero w drugiej połowie XIX wieku. Powieść utwierdziła wtedy ostatecznie swoje panowanie jako typowa forma wyrażenia burżuazyjnej świadomości w literaturze. Zaniedbano już ostatecznie prób wskrzeszenia antycznego eposu o tematyce zaczerpniętej z nowoczesnej historii, tak częstych w XVII i XVIII wieku (Milton, Wol-

ter, Klopstock). Dawno już został przekroczony szczytowy punkt rozwoju dramatu w przodujących krajach europejskich.

Bogata literatura teorii powieści, pojawiająca się mniej więcej w okresie ukazania się teoretyczno - polemicznych artykułów Zola, mimo jej ciągle jeszcze bardziej publicystycznego i aktualnego niż naukowo-systematycznego charakteru, jest oczywiście jednocześnie teoretyczną obroną i uzasadnieniem „nowego realizmu”. Powieść zerwała z wielkimi tradycjami i zdobyła okresu klasycyzmu i rewolucji. Forma powieści uległa rozkładowi w związku z ogólnym upadkiem burżuazyjnej ideologii.

Choćby nawet te teorie powieści były niezmiernie doniosłe dla poznania artystycznych dążeń mieszczaństwa w połowie XIX wieku, nie zdolne są one do prawidłowego postawienia zasadniczych zagadnień powieści, nie potrafią wyjaśnić ukonstytuowania się powieści jako typowego gatunku spośród innych form epickiej narracji, ani też wytłumaczyć odrębnych cech tego gatunku, artystycznych zasad, które odróżniają ją od czysto rozrywkowej literatury. Stąd dla marksistowskiej teorii powieści o wiele bardziej doniosłe znaczenie mają poglądy na powieść, rozwinięte przez klasyczną niemiecką estetykę.

Estetyka klasycznego idealizmu postawiła po raz pierwszy w sposób zasadniczy zagadnienie teorii powieści, przy czym zarówno od strony systematycznej, jak i historycznej. Kiedy Hegel nazywa powieść „mieszczańską epopeją”, stawia on jednocześnie zagadnienia i historyczne i estetyczne: wchodzi on w powieści ten literacki gatunek, który w burżuazyjnej epoce zastąpił epos. Powieść, z jednej strony przyswaja sobie

ogólne estetyczne cechy wielkiej epickiej poezji, z drugiej — ulega tym wszystkim przemianom, które przyniosła ze sobą burżuazyjna epoka. Stąd określone zostaje po pierwsze miejsce powieści w systemie artystycznych gatunków, powieść przestaje być jakimś „niższym gatunkiem”, którego z wysoka nie dostrzega teoria. Typowe znaczenie powieści dla współczesnej literatury zostaje w ten sposób całkowicie uznane. Po drugie specyficzny charakter i specyficzną problematykę powieści wywodzi Hegel z historycznego przeciwieństwa antycznej epoki i nowych czasów.

Głębokość tego ujęcia staje się jasną, skoro uświadomimy sobie, że Hegel, idąc za rozwojem niemieckiego klasycznego idealizmu czasów Schillera, energicznie podkreśla, że współczesne mieszczańskie życie nie sprzyja rozwojowi poezji i wywodzi swoją teorię z przeciwieństwa pomiędzy poetyckim charakterem starożytności a prozaiczną epoką współczesną, tj. burżuazyjną cywilizacją. Hegel (jak przed tym Vico) wiąże ukształtowanie się eposu z prymitywnym okresem rozwoju ludzkości, z okresem „bohaterów”, kiedy społeczne siły nie udezależniły się jeszcze od jednostek jak w społeczeństwie mieszczańskim. Poetyckość „heroicznych” patriarchalnych czasów znalazła swój najpełniejszy wyraz w poematach homerowskich, obrazujących niezależność i samodzielność jednostek. „Heroiczna jednostka — jak pisze Hegel — nie odrywa się od moralnej zbiorowości, do której przynależy, a pojmuje siebie tylko w substancjalnej jedności ze zbiorowością”. Prozaiczność współczesnej burżuazyjnej epoki wyraża się, zdaniem Hegla, w wiechrochym zniszczeniu zarówno samodzielności jednostek, jak i bezpośredniego związku indywidualnego człowieka ze społeczeństwem.

„W prawnie zorganizowanym współczesnym państwie władze publiczne nie mają indywidualnego oblicza, zbiorowość rządzi jako zbiorowość, dla której nie istnieje prywatna sfera ludzkiego życia, albo też jest rzeczą drugorzędą i obojętną”.

Stąd w przeciwieństwie do czasów starożytnych zerwana zostaje więź łącząca zadania i losy jednostek z zadaniami zbiorowości; jednostka robi tylko to, co może zrobić sama, i robi, tylko dla siebie, odpowiada tylko za swoje własne czyny, a nie za działania „substancjalnej” całości, do której należy. To prawo, rządzące życiem mieszczańskiego społeczeństwa, Hegel uznaje za konieczny historycznie wynik rozwoju

Podczas wizyty Pawła Eluard i Jāna Marcenac w Łodzi grupa pisarzy łódzkich złożyła na ręce gości następujące pismo:

„W związku z pobytym w Łodzi pisarzy francuskich związanych z walką, jaką toczy w chwili obecnej lud francuski przeciw przemocy i tendencjom światowego imperializmu, pisarze łódzcy składają na rzecz strajkującej we Francji klasy robotniczej zebraną pomiedzy sobą kwotę 25.000,— i wzywają swoich kolegów z całej Polski do wzięcia udziału w akcji składkowej.”

Podpisani: Kazimierz Brandys, Stanisław Brucz, Jan Brzechwa, Stanisław Dygat, Pola Gojawiczyńska, Paweł Hertz, Mieczysław Jastrun, Anna Kamleńska, Bohdan Korzeniowski, Jan Kott, Ryszard Matyszewski, Anatol Mikulko, Leon Pasternak, Zofia Petersowna, Seweryn Pollak, Adolf Rudnicki, Władysław Rymkiewicz, Włodzimierz Słobodnik, Jan Sztudynger, Adam Ważyk, Stefan Żółkiewski.



człowieczeństwa, za niewątpliwy postęp w porównaniu z prymitywizmem epoki „heroicznej”. Ale postęp ten niesie ze sobą wiele stron ujemnych: człowiek traci swoją poprzednią wolność działania, podporządkowanie nowoczesnemu biurokratycznemu państwu, jak gdyby jakimś zewnątrz narzucanemu porządkowi, pozbawia go jakiegokolwiek niezawisłości, degradacja człowieka wyjąłwia grunt, na którym rozkwita poezja, wypiera ją płaska proza i pospolitość życia codziennego. Człowiek na tę degradację nie może przystać bez protestu. „Nawet gdybyśmy zaprowadzenie ładu w życiu społecznym i politycznym uznali za najbardziej rozumne i pożyteczne, nigdy nas nie opuści i nie może opuścić tęsknota za rzeczywistą wartością jednostki i jej prawdziwą niezależnością”.

Chociaż Hegel zdaje sobie sprawę z niemożliwości usunięcia tego przeciwieństwa pomiędzy poezją a prozą, uważa za możliwe jego wydatne złagodzenie. Jest to zadanie powieści, która w społeczeństwie mieszczańskim przejmuje rolę, jaką odgrywał epos w społeczeństwie antycznym. Powieść jako „mieszczańska epopeja” powinna, według poglądów Hegla, pogodzić potrzebę poezji z prawami prozy, znaleźć pomiędzy nimi coś „pośredniego”.

W prozaicznej oddać rzeczywistość powieść powinna, według Hegla, wywalczyć dla poezji tyle z jej utraconych praw, ile w danych warunkach jest to możliwe. Nie osiągnie się tego drogą przewyciężonego już sztywnego, romantycznego przeciwstawienia poezji i prozy; powieść wyrazić musi całą prozaiczną rzeczywistość i rozporządzać z nią walkę. W wyniku tej walki z jednej strony charaktery niezadowolone ze współczesnego porządku świata godzą się z tym, co jest w nim istotnego i prawdziwego, przystają na nowe warunki życia i zaczynają działać w ich granicach, z drugiej strony oczyszczają od prozaicznego natętu swoje własne czyny i dążenia, i tym sposobem na miejsce okrażającej ich wsząd prozy stawiają inną rzeczywistość, bliską i pokrewną sztuce i pięknu.

W teorii powieści Hegla znalazły najpełniejszy wyraz wszystkie dojrzałe osiągnięcia estetyki klasycznego idealizmu, ale również i jej nieunikniona ograniczoność. Dzięki temu, że klasyczna niemiecka estetyka, chociaż w fałszywej, idealistycznej formie zbliżyła się do zrozumienia jednego z najbardziej istotnych przeciwieństw burżuazyjnego społeczeństwa, w którym materialno-techniczny postęp osiągnięty zostaje za cenę siłownienia wielu najważniejszych stron duchowej działalności, a w szczególności sztuki i poezji, klasycznej estetyce udało się dokonać wielu ważnych odkryć, które pozostają jej niewątpliwą zasługą.

Wyjaśniła ona, po pierwsze, jakie cechy wspólne łączą powieść z eposem. Konkretnie związek ten sprowadza się do tego, że każda wybitniejsza powieść, choć w pełnej przeciwieństwie i paradoksalnej formie chce upodobnić się do epopei i właśnie w tym niemożliwym do spełnienia dążeniu osiąga swoją poetycką wielkość.

Po drugie, znaczenie klasycznej, burżuazyjnej teorii powieści polega na odkryciu historycznej różnicy pomiędzy antycznym eposem a powieścią i w rezultacie uznaniu powieści za nowy i typowy artystyczny gatunek.

W ramach tego szkicu nie możemy szczegółowo omawiać ogólnej teorii eposu, danej przez klasyczną filozofię, chociaż dokonała ona niezmiernie wiele dla teoretycznego wyjaśnienia kompozycji homerowskich poematów (znaczenie retardacyjnych motywów w epopei w przeciwieństwie do przyspieszających akcję motywów dramatu, samodzielność oddzielnych części, rolę przypadku itd.). Te ogólne twierdzenia są niezmiernie ważne dla zrozumienia formy powieści, ponieważ wyjaśniają one formalno-teoretyczne zasady, dzięki którym powieść może nam dać pełny obraz otaczającego nas świata, obraz swojego wieku, jak przed tym dawał go epos.

Oto jak formułuje Goethe przeciwieństwa pomiędzy powieścią i dramatem; „W powieści winny być wyobrażone przede wszystkim przeżycia i zdarzenia, w dramacie — charaktery i działania. Powieść powinna rozwijać się stopniowo, a przeżycia i myśli głównego bohatera zatrzymywać rozwój fabuły... Bohater powieści winien być bierny, a w każdym razie nie zanadto czynny”. Bierność że bohaterowi powieści narzucają konieczności formy, jest ona potrzebna, aby można było wokół bohatera rozwinąć

w całej pełni obraz świata. W dramacie tymczasem, na odwrót, działający bohater uosabia jedno ze społecznych przeciwieństw, doprowadzone do najwyższego napięcia.

Klasyczna teoria powieści odsłania zarazem (z czego często nie zdają sobie sprawy sami teoretycy) specyficzną właściwość mieszczańskie powieści: nie może ona ani znaleźć, ani wyobrazić „pozytywnego bohatera”. Klasyczna filozofia podejmuje co prawda i to zagadnienie, dąży bowiem świadomie do znalezienia jakiegoś niemożliwego oczywiście kompromisu pomiędzy zwalczającymi się wzajemnie i przeciwstawnymi dążeniami kapitalizmu. I dlatego wzorem jest dla niej „Wilhelm Meister”, w której to powieści Goethe postawił sobie za zadanie wyobrażenie tego kompromisu. Tym niemniej klasyczna filozofia wyjaśniła w znacznym stopniu różnicę pomiędzy eposem a powieścią. Schelling dostrzega zadanie powieści w wyobrażeniu walki idealizmu z realizmem; Hegel — w wychowaniu człowieka do życia w mieszczańskim społeczeństwie.

Jak ważne były zdobycze klasycznej filozofii, widać chociażby z tego, że utraciły one raz na zawsze wszelkie próby XVII i XVIII wieku stworzenia i teoretycznej obrony współczesnego eposu. O beznadziejności tych prób świadczy najlepiej przykład Woltera, który w swej teorii epickiej poezji polemizuje właśnie z zasadą heroiczną poematów Homera i próbuje zbudować teorię eposu, wolną od jakiegokolwiek heroiki.

I nie był to na pewno przypadek, że kiedy Marks mówił o niesprzyjaniu kapitalizmowi dla poezji w ogóle, a w szczególności dla poezji epickiej, wskazał właśnie na „Henriade” Woltera, jako na przykład nieudanego epickiego poematu.

Teoretyczne prawidłowe podejście do formy powieści wymaga oczywiście teoretycznie prawidłowego zrozumienia sprzeczności rozwoju społeczeństwa kapitalistycznego. Do takiego zrozumienia w żadnym wypadku nie mogła się wnieść klasyczna filozofia Niemiec. Dla Hegla, Schellinga i innych burżuazyjnych ustrojów był ostatnim „absolutnym” stopniem w rozwoju ludzkości. Nie mogli oni pojąć, że kapitalizm jest przez historię skazany na zagładę, a istota sprzeczności kapitalistycznego społeczeństwa (sprzeczność, pomiędzy społecznym charakterem produkcji, a indywidualnym zawłaszczaniem) była dla nich niedostępna. Nawet filozofia Hegla w najlepszym razie mogła się jedynie przybliżyć do sformułowania niektórych ważnych skutków, wynikających z tej zasadniczej sprzeczności. I nawet wtedy, owa idealistyczna filozofia, nie mogła pojąć prawdziwej dialektycznej jedności społecznych przeciwieństw.

W tych granicach Hegel dochodzi jedynie do trafnego przewidywania sprzeczności kapitalistycznego rozwoju, do przecucia nierozłączności jego postępowego charakteru, rewolucjonizującego produkcję i społeczeństwo, z głęboką degradacją człowieka, którą rozwój ten ze sobą przynosi.

Mieszczańscy teoretycy — nawet klasycznego okresu — stoją przed dylematem: gloryfikacji na wzór romantyków heroicznego, mitologicznego, prymitywno-poetyckiego okresu ludzkości i szukania ocalenia od kapitalistycznej degradacji człowieka w powrocie do przeszłości (Schelling), albo też łagodzić nieznośne dla mieszczańskie świadomości sprzeczności kapitalistycznego ustroju do tego stopnia, aby umożliwić jakiegokolwiek bądź przyjemność i potwierdzenie tego ustroju. Ponad ten teoretyczny wybór nie wznosił się ani jeden z mieszczańskich myślicieli, nie wzniosła się oczywiście i teoria powieści. Nawet wielcy powieściopisarze wyrazić mogą prawidłowo to przeciwieństwo tylko wtedy, kiedy nieświadomie odchodzą od swoich romantycznych lub kompromisowych teorii.

Z tego wszystkiego wynika, że choć klasyczna estetyka dostrzega specyficzną różnicę pomiędzy eposem i powieścią, chociaż dostrzega nawet, w tym samym stopniu, w jakim jest dla niej jasny charakter obiektywności starożytnego eposu, całe ogromne znaczenie specyficznej formy powieści („powieść, jak mówi Schlegel, jest obiektywną tylko siłą swojej formy”), nie potrafi ona konkretnie opracować charakterystycznych cech powieści i nie posuwa się dalej niż prawidłowe w ogólnych ryśach przeciwstawienie powieści i eposu.

Georg Lukacs  
(C.d.n.)

STANISŁAW WYGODZKI

## DROGA OŚWIĘCIMSKA

Dźwignę się z trupów, dźwignę z popiołów,  
przejdę przez ogień śmiercią stokrotną,  
nocą się zrywam, ale nie wołam —  
truchło ciemności, noc w oczodołach  
idę powoli drogą powrotną.

Przejdę przez ogień i pójdę szosą,  
w kwadrat zamknięty drutem kolezastym,  
w butach drewnianych, ale nie boso,  
ciemną ulicą, uspijonym miastem.

Odejdź od okna, ciebie mi nie brak  
i krótką chwilę tu pozostanę,  
trup oświęcimski z strzaskanym żebrem,  
który nie zdołał bitwy wyzbrać —  
przyjdę przed nocą, odejdę ranem.

I tam, gdzie serce, kościelne dłonie  
wskazują ranę paluchem zgietym,  
a gdy podejść ku dziennej stronie,  
tam, gdzie już ogień niczyj nie płonie,  
nie mów, że straszny, powiedz: przeklęty!

\* \* \*

Pewnieś zauważył, przyjacielu,  
żem nie napisał słowa: krew,  
żem nie napisał nic o zwłokach,  
tylko ciągle mówię o nocy —  
o nocach wielu —  
a każda jednak głęboka.

Pewnieś zauważył, przyjacielu,  
że bardzo wiele  
mówię o ciszy,  
że bardzo często o milczeniu  
piszę,  
bo oni wszyscy żyją we mnie,  
bo nie są trupem, ni krwią co zasycha —  
każdy jest we mnie, jak wędrowiec w cieniu,  
co po trudnej drodze powoli  
oddycha.

I pewnieś spostrzegł, że nie umiem krzyczeć,  
że nie potrafię mówić głośno  
i pojmiiesz czemu to tyle  
razy  
nad nimi cicho się chylę —  
pozwól im przejść do ostatka  
na podobieństwo mego obrazu,  
w którym jest ich oblicze:  
nasze dzieci, nasz ojciec, nasza matka.

I jeśliś mnie czytał uważniej nieco,  
to pewno rozumiesz, co o tym myślę:  
noc się powoli w dzień zamienia,  
dzień nieodmiennie w noc się odwraca,  
wolne ludy czeka ogromna praca,  
aby budować, ziemię przetrząć i serca,  
nowe łądy wznosić ze szkła i kamienia,  
ład zaprowadzać, radość zaszczerpić tak ściśle,  
jak ściśle umarłych prochy  
wnikną w glebę dyszącą,  
w pole szumiące złotym kłosem,  
w warstwy liści co leżą w lasach podszyciem,  
w pory chropawe ugorów, piaskowca i krzemu,  
by tam, gdzie była śmierć  
wyrosło wraz z moim głosem  
nowe życie.

A nad tymi, co w nocy są Twoji  
i mojej,  
głowę pochyl  
i nie mów.

## MODLITWA

Matko trwogi, która mieszkasz w Ravensbrücku,  
w Oranienburgu, w Dachau i Oświęcimiu,  
w lasach wymarłych i strzaskanych krzewach,  
w ciszy, która zalega po zdławionym krzyku,  
w trzcinach stawów parujących malarcią,  
matko trwogi, co się nazywasz, jak nasze dzieci,  
a nasze dzieci na stosach płoną i dymią,  
jakkolwiek się zowiesz matko: Chano, Katuszo i Mario  
nie opuszczaj nas,  
bo oto nadszedł spóźniony dla Twego syna czas  
gdy proszę —  
nie opuszczaj nas.

Matko męki, która jesteś wszędzie, gdzie cierpiał człowiek —  
pod Kutnem, Arras, pod Aachen i pod Bobrujskiem  
i szłaś przez całą Europę przez sześć lat razem z wojskiem  
i z tymi, co mieli ojczyznę i dom, i rodzinę w przydrożnym rowie,  
i z tymi, co szli na Pawiak, i z tymi co szli na Szucha,  
i z tymi, co dalej nie poszli, aż tylko pod mur pobliski  
rue du Faubourg, Placu Wolności i naszej Śliskiej,  
a salwa biła palbami sucha,  
upalna  
i krucha  
matko męki ziemską, podniebną, podwodną,  
skwarna, arktyczna, pustynna, błotnista i chłodna  
nie opuszczaj nas,  
bo oto nadszedł spóźniony dla Twego syna czas  
gdy proszę —  
nie opuszczaj nas.

Nie zostawiaj nas samych nocą, ni dniami,  
abyśmy w trwodze swojej byli samotni,  
abyśmy sami niesli rozpacz straszliwą  
samotnie trwożni i rozpaczni samotnie,  
zostań, by ci, co mają sny i żyją snami  
mogli widzieć swą matkę ziemską — żywą,  
ojca swego, jak syn marnotrawny idący do domu,  
dzieci swoje, które już dawno nie żyją,  
tak jakby ich nigdy nikomu nie brano,  
nikomu,  
i nie zostawiaj samych tych, co nie mają już snów  
i trwogą, rozpaczą i męką  
dotknij jak ręka  
i nie omijaj ich serce  
i nie omijaj ich głów.







S

D

N

boisz. Jakub kiwał głową, przyznając mu słusność. Wojna nie zmieniła przecież jego losu, uczyniła go tylko bardziej ogólnym; odkąd wybuchła, więcej ludzi zaczęło się bać razem z nim. Kiedy z tego punktu rozważał swoje życie, okres, jaki spędził w więzieniu, nie wydawał się najgorszy. W celi, bądź co bądź, było się człowiekiem, dzień płynął za dniem podobnie, w rytmie dokładnie odmierzonego, kara groziła za czyny niezgodne z regulaminem, a regulamin nie przewidywał kary za usta, za włosy lub nos.

Co jednak najdziwniejsze, słowa Artura Joasa dwa lata wcześniej powiedział Wacek Pankrat, który przecież nie był Żydem. Ilekroć Jakub o nim myślał, serce mocniej zaczynało mu bić. Pierwszy raz zobaczył go na korytarzu więziennym, gdy dozorca, przestraszony natotem, utworzył cele. Mimo huk i zgłębku, zatrzymali się obydwa, patrząc sobie w oczy. Trwało to wprawdzie chwilę, lecz Jakub zdążył pomyśleć, że znał uśmiech Pankrata już dawno, gdy jeszcze dzieliła ich ściana.

Miasto powitało ich zmienną, ale — zapewne dlatego, iż byli trochę oszołomieni niespodzianą wolnością — nie od razu potrafili odróżnić zmiany, jakie zaszły w przeciągu trzech lat, od tych, które przyniósł jeden dzień. Zresztą, niewiele mieli czasu na podobne myśli, gdyż właśnie ogłoszono wezwanie, aby kopać schrony; poszli więc wraz z innymi na działki, gdzie po raz pierwszy od trzech lat zobaczyli słońce w pełnym rozmiarze nieba i trawę, której zieleni jeszcze nie utraciła świeżość. Gdy samoloty wypływały zza chmur, przerywały pracę i kładli się na ziemi. Były to zarazem chwile wypoczynku. Raz, kiedy leżeli tak obok siebie, a nad nimi brzmiało mruczenie motorów, Pankrat powiedział: — Dla nas wojna trwa nie od dziś. Jakub przytaknął w milczeniu, bo wydawało mu się, że w tych słowach jest wiele prawdy, i dopiero potem przyszło mu na myśl, czy dobrze je zrozumiał. Po trzech dniach byli już opaleni, wykopali we dwóch sporo rowów, ale czwartego dnia rozeszły się nowe wieści i Pankrat, który spokał znajomego, osądził, że trzeba iść na ulicę Warecką.

Tam Jakub zobaczył dziwne rzeczy. W kamienicy, do której wprowadził go Pankrat, wrażliwość jak w ulu. Na podwórzu i na schodach tłoczyli się ludzie. Byli między nimi młodzi i starzy, mężczyźni i kobiety; jedni w cyklistówkach, drudzy w czapkach tramwajarzy, inni z czerwonymi opaskami na rękawach. Ci zachowywali się najruchliwiej, biegając po schodach jak opętani. Gwar tutaj nie ustawał, czuć było ludzkim potem, tytoniem i farbą drukarską. Przez uchylone drzwi przedzierali się loski maszyn. — Pracują — powiedział Pankrat. Podszedł do nich niski mężczyzna w sportowej koszuli i uściśnął im ręce, mówiąc do Pankrata: — Jesteś. — Towarzysz Gold — przedstawił Jakuba Pankrat i spytał półgłosem: — Kto jest z waszych? Wymienił kilka krótkich zdań, których Jakub nie rozumiał. — Narazie tutaj — mówił nowy znajomy — potem zobaczymy. Dorzucił, że na schodach siedzą już ludzie z tego samego więzienia. Pankrat dał znak Jakubowi, żeby poczekał. Jakub został sam, ale zaraz otworzyły się drzwi i kilku robotników z opaskami wyniosło paki gazet. — Bierz także — powiedział ktoś do Jakuba. Chciał wytłumaczyć omyłkę, lecz trzymał już pod pachą gazetę, jakie mu wetknięto. Po chwili szedł wraz z innymi w stronę Nowego Świata, dziwiąc się, że chłopcy i dziewczyny, wśród których się znalazł, mówią mu ty. Trochę oszołomiony, zatrzymał się na rogu, ścisnął gazetę, ale zanim ochłonął, otoczyli go przechodnie i po kwadransie nie miał już ani jednej. Wrócił więc na Warecką z piegawatą dziewczyną w męskiej kracastej czapce. Dał im tam świeże gazety, pachnące farbą, a potem dziewczyna zapytała, jak Jakubowi na imię. Tym razem poszli przed Pocztę Główną, gdzie także sprzedaż nie trwała długo. Wracając, obliczali pieniądze i dziewczyna znów zagadnęła Jakuba, w jakiej dzielnicy pracuje. — Różnie... — odparł Jakub i zacerwienił się, bo wstyd mu było wyznać, że wyszedł z więzienia.

Unikał jej odtąd, ale na szczęście przed kamienicę zajechał ciężarowy samochód; nawoływano ludzi do wynoszenia skrzyń. Jakub przydał się odrazu i wzbudził szacunek swoją siłą. Dźwigając skrzynie, nie kał tę samą dziewczynę, która usiadła blisko niego i powiedziała, że Jakub dobrze pracuje. Ale Jakub uśmiechał się milcząco, bo nie było czym się chwalić. Zresztą, rozdzielono ich wkrótce; przy stoliku na półpiętrze zabrakło rąk do zapisywania nazwisk. Jakub nie wiedział wprawdzie, do czego to zapisywanie służy, lecz nie było czasu pytać, gdyż ludzie zbliżali się kolejno, wymieniając swe imię, nazwisko i miejsce zatrudnienia, które Jakub notował, jedno pod drugim, nie patrząc w twarz.

Dopiero koło północy odnalazł Pankrata. — Pracowałeś? — zapytał Jakuba. — Tak — odparł Jakub. Dodał po chwili, że właściwie pomagał w pracy innym. Leżeli obok siebie w ciemnym korytarzu, wśród mężczyzn śpiących pokotem, z głowami na zawiniątkach i tobołkach. Co parę chwil trawiali ich czyjeś nogi; to spóźnieni przybysze szukali miejsca na nocleg. Jakub uniósł się na łokciu i zapytał Pankrata, co będzie nazajutrz. Usłyszał w ciemności odpowiedź, że nie należy o tym myśleć: nazajutrz także nie zabraknie roboty. — Pankrat — szepnął Jakub — moja matka jest w P. Powinienem przecież tam iść, kto wie, co się z nią dzieje... Ale Pankrat położył mu rękę na ramieniu i odrzekł cicho, że obok nich śpią ludzie z Wydm, mógł się jednak pozbyć zdziwienia, że i tu nikt nie pyta, kim jest ani skąd przyszedł. Kiedy samochód odjechał, poczuł zmęczenie. Dostał talerz zupy i jadł z kilku innymi, siedząc na schodach. Tam znowu spotkórzy uciekli z P. przed Niemcami. — Nie myśl o tym — mówił — bo nic nie poradzisz, nie przedrzesz się przez front. Ktoś jęknął koło nich we śnie, Jakub podparł głowę rękami. Pankrat znów dotknął jego ramienia: — Spisz? — Nie — szepnął Jakub. Słuchał jak Pankrat mu tłumaczy, że następnego dnia ogłoszą werbunek do batalionów robotniczych, więc trzeba będzie pójść z innymi, aby bronić miasta. — Czy mnie przyjmą? — zanepokoił się Jakub — przecież nie jestem robotnikiem. — Lecz Pankrat wyjaśnił, że kto walczy wspólnie z robotnikami, ten jest jak adwoby jednym z nich.

Zasnęli wreszcie, znużeni rozmową. W nocy przysniło się Jakubowi, że matka wzywa go na pomoc, a on nie może wylać kraw swojej celi, aby bronić matki przed Niemcami. Obudził się z bijącym sercem: posłyszał dalekie, spleśne wycie syreny. Usiadł i szukając ściany, za którą syptał Pankrat, wyciągnął rękę, by wystukać umówiony sygnał. Ale jego dłoń opadła w pustej ciemności: nie było ściany, Pankrat oddychał miarowo tuż obok. Wtedy zrozumiał Jakub, że z więzienia wytopuszczono go na wolność, więc nagle ogarnęła go tęsknota za więzieniem i strach przed wolnością.

W dwa dni potem wyruszyli na ulicę Kopińską. Przed tym ustawiono ich w dwuszerę na podwórzu, słońce grało mocno. Tylko pierwszy szereg otrzymał karabiny, Jakub stał w drugim z łopata. Starannie ubrany, biały mężczyzna w binoklach wygłosił krótkie przemówienie, w którym ich nazwał robotniczą pięścią stolicy. Jakub zaniepokoił się trochę, gdyż nie był pewny, czy on także zasłużył na to miano Mówca, o którym mówiono „towarzysz Redaktor”, powiedział w dalszym ciągu, że jedni z nich będą strzelać do wroga, a inni sypać szanice, lecz jednym i drugim groziła sama piękna śmierć w obronie czerwonej Ochoty. To pocieszyło nieco Jakuba, więc mocniej ścisnął łopatę i zauważył, że mówca, gdy zdjął binokle, podobny był do dyrektora gimnazjum Kościuszki w P. Wychylił głowę z szeregu, żeby zobaczyć, czy spostrzegł to również Pankrat, ale właśnie w tym momencie usłyszał jego głos wydający komendę; oddział sformował się w czwórki i ruszył na ulicę ze śpiewem, a stary tramwajarz, stojący w bramie — kiedy go mijali, zdjął czapkę i podniósł do góry pięść.

Sypanie szaniców odbywało się inaczej, niż sobie to Jakub wyobrażał. Na ulicy Ko-

pińskiej leżał w poprzek przewrócony tramwaj, a tuż obok, na dnie leju po bombie, sterczały kopyta zabitego konia; ludzie oglądali jego wzdęty brzuch i białe wypukłe oko, które obsadły muchy. Był to pierwszy szaniec, jaki zobaczył Jakub na Ochocie. Zabrali się do roboty, aby go uzmocnić kamieniami wyrwanymi z bruku i worami z piaskiem. Kiedy przyciągnęli w kilku zwalony słup telegraficzny z pękiem porwanych drutów — szaniec był gotowy. Przyniesiono im wówczas zupe w wiadrach, jak gdyby ze studni, i Jakub zdumiał się, bo nalewała ją ta sama piegawata dziewczyna, z którą dwa dni temu sprzedawała gazetę. — Co porabiasz? — spytała Jakuba, patrząc jak łamie w palcach czarny chleb. — Sypię szanice — odpowiedział Jakub. Ale dziewczyna zaczęła się śmiać i poprawiła Jakuba: to, co nazywał sypaniem szaniców, było wnoszeniem barykad.

Trzy tygodnie, jakie spędził na Kopińskiej, pomieszały się trochę w jego pamięci, zwłaszcza, iż potem mniej było pracy, a tylko ludzie wleźli napływał w stronę miasta, pieszo i na wozach, pędząc przed sobą zwierzęta, niosąc dzieci przy piersi, zmęczeni i okryci kurzem. Byli między nimi wojskowi, niektórzy w bandażach, inni nawet bez butów, a pewien pułkownik z drewnianym kijem w ręku poprosił Jakuba o parę łyżek zupy i zjadł łapczywie, nie ocierając podbródka, z którego kapalo. Kilka dni trwał ten pochód. Jakub w nocy zwierzył się dziewczynie, że nie tak ludzie opowiadali o wojnach. Przyszła mu na myśl, że nazajutrz sam musiał sobie zaprzeczyć, bo gdy w południe, jak codzień, nadchodziła z wiadrami, świsnęło coś w powietrzu i kiedy Jakub po chwili podniósł głowę, ogłuszony hukiem, nie było już ani wader, ani dziewczyny, tylko kurz opadał z wolną w żółtym kłębie. Twarz Jakub miał obyspaną ziemią, kawałek szkla z tramwajowej szyby rozciął mu policzek, lecz mimo to posłał go po zupe, a kiedy wrócił, zobaczył trzech kolegów pochylonych nad czymś, co leżało na ziemi. Tej samej nocy pojawił się Wacek Pankrat w hełmie i powiedział, że Niemcy są blisko. Ci, którzy dotąd mieli łopaty, dostali teraz karabiny, a nad dachami rozleża się krwawa luna. Wówczas Jakub, czuwając z kolbą przyciśniętą do piersi, pomyślał, że Ochota tej nocy doprawdy jest czerwona.

Niemcy nadciągnęli od strony P. i Jakub z pewnym niepokojem uświadomił sobie, że strzela w kierunku domu na Łąkowej. Ale, rzecz prosta, kule nie mogły dolatywać tak daleko. Zresztą, strzelali już drugi tydzień, a Niemcy, mimo, że ich pociski zwały dwóch kolegów Jakuba, wleźli byli niewidzialni. Tylko w ciemności podchodzili bliżej; powietrze zasyciło od upału przynosiło ich szwargot i klekotanie motoru — wtedy z barykady otwierano ogień; po wielkim hałasie noc znowu milka. Zdarzało się tak dość często, w końcu przywykli już do tego. Wojna nie była zbyt groźna. Czasem na ich pozycję dowiół się po ciemku jakiś ranny cywil i leżał do rana, kiedy indziej przybłąkała się papuga, która po każdym pocisku mrukała przerażonymi oczkami, krzycząc: — Arrha! Arrha! Jedna noc była cięższa od poprzednich, ktoś powiedział, że Niemcy ich wymacali — do świtu znowu padło pięć. Dopiero, gdy zaczęło szarzeć, Jakub zdremnął się z policzkiem przytulonym do zamka karabinu, i przez sen poczuł czyjaś rękę na włosach. Nie budząc się, usłyszał niski głos Pankrata, który kazał mu spać. — Wacek... — mruknął Jakub, szukając jego dłoni. I zasnął. Nazajutrz wzięli do niewoli Niemca. Twarz miał szarą ze strachu i prosił, żeby go nie zabijać. Pankrat rozkazał Jakubowi z kolegą odprowadzić jeńca na Grójecką, do komendy odcinka. — Nicht schiessen... — bełkotał Niemiec, patrząc w oczy Jakuba, idącego za nim z karabinem gotowym do strzału. Jakub pokręcił przecząco głową, a kolega, któremu z przodu brakło dwóch zębów, powiedział, że przed Grójecką dobrze byłoby Niemcowi dać w mordę. — Chociaż raz — namawiał Jakuba. Lecz Jakub nie chciał się zgodzić. a kolega, który nazywał się towarzyszy Fialka, ustąpił, bo był młodszy. Kiedy wracali,

Fialka zapytał Jakuba, czy dawno jest w robocie. Jakub nie wiedział o co mu chodziło, więc mruknął dość niechętnie, że do wojny siedział prawie trzy lata z wyroku. Fialka otworzył usta, gwizdnął z podziwem przez dziurę w uzębieniu i zaczął mówić do Jakuba wy. Na okrągłaku koło Tarczyńskiej, zabawili trochę dłużej, patrząc jak cekaem, ukryty w gnieździe z worów, odszczekuje się pięciu nurkowcom podobnym do os. — Siedzieliście z Pankratem? — zapytał Fialka, skreślając papierosa. Jakub potwierdził, a Fialka zaciągnął się dymem i dodał: — Byczy faczet — poczem wyjaśnił, że Pankrat i Niemców już drugi raz. — A kiedy pierwszy? — zachekawil się Jakub. — Nad Ebro, bracie — westchnął Fialka z niejakim rozmarzeniem. Nurkowie odlecieli w stronę śródmieścia, więc wstali spod muru i ruszyli na Kopińską. Następnego dnia na barykadzie wszyscy uzyskali pewność, że po dwudniowym ataku z powietrza nieprzyjacieli poniósł ostateczną klęskę, czego najlepszym dowodem było wzięcie jeńca i milczenie artylerii. Towarzysz Fialka wywiesił nawet czerwoną chustkę na kiju i powiedział, że opłaciło się strzelać, bo teraz, kiedy odpuścili Hitlera, rozpędzą za jednym zamachem jego polskich „wspólników”. Część załogi przynależa mu rację, inni grali na organkach, a reszta, w wyrwie po szrapnelu, uczyła papugę nieprzyzwolonych słów.

Noc zapadła gwiaździsta i wielka, ośmienie cywile wyleźli z piwnic na gawędy, a Jakub, patrząc w niebo, z dłońmi zapięconymi pod głowę, marzył o jadalnym pokuju na Łąkowej, z zegarem, którego tarcza podobna była do księżycy. Nazajutrz rano wstał bardzo ciepły i skończyła się wojna. Samoloty latały nisko nad dachami, a Fialka nie chciał wierzyć, że Hitler zwyciężył. Ale Wacek Pankrat, który noc spędził na odprawie w komendzie, nie pozwolił strzelać. — Arrha! — wrzeszczała papuga, skacząc z ramienia na ramię. Polscy żołnierze z komendy odcinka objędzali ciężarówką pozycje, ładując sprzęt na platformę. Cywile patrzyli z okien i bram, dzieci oblaży ogołoconą barykadę, tu i owdzie wietrzono już pierzyny, a tylko Fialka płakał oddając karabin i powtarzał: — To łobusz... — wleź także mając na myśli Hitlera. Kiedy żołnierze odjechali, Jakub usiadł na skraju chodnika i namyślał się, co teraz począć. Ale oczywiście, niewiele można było wymyślić, gdy w powietrzu unosił się jeszcze dym z trafionych kamienic, spaleniżna i kurz, i gdy papuga skrzeczała jak wariatka. Jakub zwiesił głowę, oglądając swoje dłonie: na środkowym palcu prawej pozostało zgrubienie po obsadce, z którego był dumny w klasie czwartej, paznokcie u obydwóch nosiły ślady wyplatania koszyków, co spostrzegł dopiero po roku zamknięcia, a teraz między wielkim i wskazującym palcem przybył nowy ślad od karabinu. — Człowiek — pomyślał Jakub — nie jest większy od swojej ręki, która dźwiga na sobie całe jego życie.

Zbliżył się do niego Pankrat i położył mu dłoń na plecach, mówiąc: — Chcesz iść ze mną, Jakub? Jeszcze przecież nie koniec... Jakub nie oderwał oczu od swych rąk i podziękował kręcąc czarną głową: — Pójdę do P. szukać mojej matki. Milczeli chwilę, siedząc obok siebie. Jakub widział teraz dłoń Pankrata z papierosem w palcach. Była to dłoń szczupła i mocna, zwinęły rękaw biuzy odsłaniał długą bliznę, która, jak się domyślał Jakub, musiała pochodzić z nad Ebro. Pankrat powiedział łagodnie: — Zastanów się. Trudno potem będzie się odnaleźć, a czasy idą ciężkie. Ale Jakub nie mógł wykrztusić słowa, tylko żyty narzmiął mu na skroniach, bo nagle ogarnął go strach, że zostanie sam, bez Pankrata. Podniósł głowę i nieśmiało oglądał jego twarz, którą znał niedawno, takby się uczac na pamięć jej ciemnych oczu, twardego zarysu szczęk, a wreszcie ust — najmnień surowych w całej twarzy. — Ona jest sama... — mruknął — ja muszę tam iść. I znów, niby przez sen, poczuł rękę Pankrata na włosach. — Czy ty masz starą matkę, Jakubie? — Tak — odparł Jakub — jest stara i nie ma nikogo prócz mnie.

Pod obcymi stopami na bruku zagrzynało potłuczone szkło. — Póki co, koniec... — powiedział towarzyszy Fialka, który zbliżył się z papugą na ramieniu. — Chodźmy, ptaku, na Wolę. — Do widzenia, Jakub — powiedział Pankrat. — Arrha! — wrzasnęła papuga, widać zadzwolona, że nie zostaje sama.

(Dalszy ciąg nastąpi)  
Kazimierz Brandys



ANDRÉ CHAMSON

Humaczył RYSZARD MATUSZEWSKI

## DWA FRAGMENTY

André Chamson należy do tych pisarzy francuskich, którzy w latach wielkiej próby stanęli zdecydowanie po stronie walki nie tylko z kollaboracją i faszyzmem, ale także z tym wszystkim, co stanowiło jak gdyby pożywkę, na której rozwijały się bakcyle zdrady. W książce swej pt. „Studia cudów”, której przekład wydany zostanie wkrótce przez Sp. Wyd. „Czytelnik” Chamson podejmuje tematykę czasów okupacji, widzianych z perspektywy u nas dotąd mało jeszcze znanej — z perspektywy walczącej o wolność Francji. W zamieszczonych przez nas fragmentach autor rozprawia się z egoizmem i podłością tych warstw francuskiego społeczeństwa, które kosztem nędzy i poniżenia ogółu swych rodaków syciły swój głód władzy i pieniądza, zdradzając własny naród.

## SZPICEL

W KILKA DNI potem ktoś zapukał cicho i dyskretnie do moich drzwi... Otworzyłem niechętnie. Nie był to przekupień, ani inkasent z elektrowni, ale młody człowiek o spojrzeniu nieśmiałym i zakopotanym, którego ziemista cęra plamił rumieniec wstydlwego zmieszania.

— Niech mi pan wybacz tę śmiałość — mówił, czyniąc otwartą prawą dłoń, wyciągniętą między mną a sobą, ruch, przypominający błogosławieństwo — niech mi pan daruje, że pana niepokoję, ale jesteśmy sąsiadami i sądziłem, że mogę sobie pozwolić na złożenie panu wizyty.

Prawa dłoń, wciąż otwarta i wyciągnięta ku mnie, pieściła powietrze w drobnych podrzutach. Wśladał za tymi gestami przeprosin, wślizgiwał się z wolna wgłąb mego korytarza.

— Jest pan uciekinierem, tak jak i ja — mówił do mnie głosem dyskretnym — brak tu wszystkiego w urządzeniu tych pomieszczeń. Myślałem, że może mógłby mi pan pożyczyc długą szczotkę... Na suficie mam pełno pajęczyn... Pan rozumie... Jeśliby panu brakowało czegokolwiek, co mógłbym posiadać, byłbym szczęśliwy mogąc z kolei oddać panu jakąś usługę...

Cały czas nie przestając mówić, wślizgnął się aż do pokoju, tworzącego serce pomieszczenia, które zajmowałem. Nazywaliśmy go pokojem Goethego, gdyż był jasny i miał stare, niemodne meble, jednocześnie surowe i pełne wdzięku, parawan malowany w sceny figuralne, zielony barometr ze statuetką Merkurego na wysokiej kolumnie, biblioteczek i globus z podzięką na stopnie. Osobistości z miasta gardziły takim umebłowaniem i płacem taniej za owo urządzenie, romantyczne i zadumane, niż za inne podnajęte lokale, zastawione fałszywymi Ludwikami i kredensami w stylu Henryka II-go. Nieliczni przyjaciele, którzy mnie odwiedzali, lubili wszyscy ów zakątek minionego czasu, a ja miałem czuć nad tym, aby żaden natręt nie zakłócił mej samotności. Był to w istocie jakgdyby pokój Goethego, ale Goethego, który pozostał nieprzejeźdny i nie szukał spotkania z tymi, co zwyciężyli w jego kraju.

Po raz pierwszy nieproszonego gość wtargnął w to miejsce. Zamknawszy drzwi od przedpokoju, mój nowy sąsiad nie usprawiedliwił się więcej. Usadowił się. Zapomniał o długiej szczotce i pajęczynach w swoim pokoju. Usiadł w moim zielonym fotelu, przed barometrem ze złoconiami, którego czarna strzałka pozostawała w rejonie burz dłużej niż stulecie. Rumieniec z policzków jego znikł. Miał cęra szarawą, centkowaną w male, żółte plamki.

— Długo pan tu przebywa? — zapytał tonem, którym sędzia śledczy zaczyna przesłuchanie.

— Od...

Odpowiedziałem tak powoli i wymówiłem owo zwykłe słowo z miną tak niepewną, że mój nowy sąsiad podjął z żywością: — Oczywiście... rozumiem... Cóż za ponura epoka, przyzna pan!... Dokąd zmierzamy? Pytam sam siebie!...

Patrzyłem nań. Miał twarz wąską, w tej chwili prawie żółtą, dość podobną do twarzy Bonapartego, kiedy rozmyślał w półcieniu ulicy de Saint Honoré nad zdobyciem Tuileryj. Nie budziła ona jednak myśli o scenach gwałtownych, jakie wywołuje zazwyczaj widok podobnych twarzy. Była wąska, ale nie miała nic z ostrza noża, ni klini miecza. Jej cienkość nie była cienkością metalu, ale czymś miękkim. Metaliczny połysk uczyniłby tę twarz dumną i władczą, lecz bez tego połysku stała była ona tylko łosna i chytra.

Patrząc, jak rozpierał się w moim zielonym fotelu, myślałem o przybyszu, że musi być z rasy ludzi, którzy lubią panować. Ale widziałem także, że obdarzając go tym zamięłowaniem naturą zapomniiała dostarczyć mu środków do zaspokojenia go. Ku jakiemu przeznaczeniu mogły zawieść człowieka podobne predyspozycje? Czym mogli stać się owi wszyscy niedonoszeni imperatorzy, poroniony płód żądy władzy? Dałbym się ponieść niewątpliwie fantazji na ów niezwykły temat, gdyby nie gadulstwo nieznanego. Słuchałem nie snując dalej mych rozmyślań i nie myśląc nawet o tym, jak wielką szkodą jest niemożność obserwowania uprzednio z daleka, przynajmniej w ciągu godziny ludzi, z którymi mamy się zetknąć.

— Co myślę, to mówię głośno — oznajmiał wciskając się plecami w aksamitne oparcie fotela — jest coraz gorzej proszę pana. Wszystko psuje się z każdym dniem coraz bardziej... I co za rząd! Fałsz i niedołęstwo, niedbalstwo i pretensje! Wszędzie pakuja chłystków. Ci robią co mogą, to znaczy nic, albo jeszcze gorzej! Apropozycja robi wrażenie próby organizacji powszechnego zagłodzenia... To po prostu przerażające! Kartoflom dano zmarznąć. Rozdano trzydzieści tysięcy zepsutych konserw. Jaki je pan? Było czym wytruć całe miasto!

Przeszedł w ton niekończącej się mowy oskarżycielskiej i zdawał się oczekiwać z mojej strony znaku potwierdzenia, że wzrokiem czujnie wpatrzonym i rzucanymi co chwila „no nie?” na końcu każdego zdania. Lecz ja, jedną trzecią pośladka przysiadłszy na krawędzi stołu pięściem dłońmi powietrze ruchem niepewnym, mogącym równie dobrze oznaczać zgodę, co powątpiewanie. W głębi serca nie mogłem nie zgodzić się z nim najzupełniej i gdybym słyszał, że mówi w ten sposób w autobusie, po ciągu czy kawiarni, podtrzymałbym jego twierdzenie i podjął każde z jego słów. Wystarczyłoby mi do tego czuć dookoła siebie słuchaczy, człowiek bowiem zdolny jest do wielkiego szaleństwa, jeśli ma nim przekonanie swych bliźnich. Miejsce publiczne, czy jest nim poczekalnia, czy arena cyrku jest do zaprzeczania samemu sobie miejscem najmniej sposobnym. Lecz ja byłem u siebie sam jeden i nic nie przeszkadzało mi w gwałtowności twierdzeń. Słuchałem więc, jak pomstował na naszą epokę, strzegąc się pokazania mi, co sam o niej myślałem. Mówił prawie to samo, co ja mógłbym powiedzieć wypróbowanemu przyjacielowi, ale w sposób, który utwierdzał mnie coraz mocniej w milezeniu. Mówił, jak człowiek uczciwy, mówił rzeczy najzupełniej zgodne z prawdą, a mimo to miało się wrażenie, że kłam. Było coś żenującego w jego słowach. Przez krótką chwilę pytałem się siebie, czy owo zażenowanie nie tłumaczyło się sposobem, w jaki wymawiał nazwiska niektórych ludzi i nazwy niektórych miejscowości. Wymawiał bowiem w jakiś fonetycznie osobliwy sposób wyrazy z dziedziny geografii i historii. „Szeskosłowakja” była najlepszym przykładem tych zniekształceń. Ale ów sposób wymowy był rzeczą zwyczajną u ludzi pozbawionych kultury, a pretensjonalnych. Można było z powodzeniem nie zwracać nań wcale uwagi. Więc nie owa wadliwa fonetyka przeszkadzała mi w danu wiary słowom nieznanego, lecz fakt, że nie umiałem zdać sobie sprawy kim właściwie był i jakie było jego zajęcie. Rzecz ta nie dawała się absolutnie określić. Spostrzeżenie to narzuciło mi się z brutalną oczywistością. Żebym miał nie wiem jakie pretensje do znania się na ludziach — nie mogłem zaklasyfikować go do żadnej kategorii. Czy był rzeźnikiem, czy handlarzem, mechanikiem czy adwokatem? Nie sposób było orzec. Czy był głupcem o dobrej woli, kretynem, upośledzonym przez naturę, czy lajdakiem, który grał naiwnego? Naprawdę nie wiedziałem. Czulem tylko, że nigdy jeszcze nie widziałem człowieka tego rodzaju. Dzięki temu rosło moje wyczerpanie na galimatias, który kłębił się w jego wypowiedziach.

Nie ma nic bardziej irytującego niż odnależć swe własne sądy w postaci zniekształconej. Im więcej rozmówca mój zapalał się, tym bardziej rósł mój wewnętrzny sprzeciw. Jeszcze chwila, a gotów byłbym twierdzić, że wszystko szło jak najlepiej i niewiele brakowało, a gotów byłbym chwalić pana Tourinasa i panią Paintendrehyela i wszystkich spekulantów z miasta.

Gra ta trwała tak długo, jak długo nieznajomy spodziewał się, że odpowiem na jego wywoły. Kiedy jednak upewnił się, że nie ze mnie nie wyciągnie, nagle zmienił temat rozmowy.

— Nudne życie w tej dziurze... Zna pan przynajmniej jakichś ludzi interesujących? Zaprzyjaźnił się pan z kimś z sąsiedztwa? Odpowiedziałem ruchem niezdecydowanym i nieznanym, nieco speszony, jak mi się wydało, zaczął rozglądać się dookoła siebie, jakgdyby w poszukiwaniu nowego tematu rozmowy. Zrozumiałem, że mam do czynienia z jednym z tych ludzi, którzy sądzą, że stosunki ludzkie układają się przy pomocy sztucznych pociągnień i zabiegów. Szukał sposobu, któryby „chwycił” w stonsunku do mnie.

— Ma pan, jak widzę książki...

— Nie są moje...

— No, to nie ma znaczenia... należą do przyjaciół... Studiowałem także, dorzucił, jakby chcąc wytłumaczyć niedyskrecję swojej uwagi, ale dlaczego mówił „także”? Jaką ukrytą myśl, jaki podstęp zawarł w tych słowach? Czy był to haczyk? Mam za sobą szkołę średnią, dodał z nieukrywaną dumą. Łacinę przerobiłem aż do pierwszej licealnej. Nie zrobiłem dużej matury z przyczyn rodzinnych, dorzucił po paru sekundach wahania, w wielkim wylewie szczerości. Ale mała matura jest także czymś, daje dostęp do administracji, zwłaszcza obecnie... Ktoby uwierzył... No, nie daje to tej gwarancji, co dyplom, jeśli chodzi o umysłowość, wykształcenie. Przypuścił, że ma pan do wyboru między dyplomem uniwersyteckim a maturą. Nie można porównać... W każdym razie lubię czytać... Czasem człowiek tak się nudzi... Ah, ma pan starego Hugo? O, to pozycja! Ale przeceniona. Wiele słów, a mało sensu. Często nawet nie ma wcale sensu — to wiadomo... O, Balzac! Tęgi pisarz! Czytałem „Ojca Goriot”. To jego? Tak, tak, jego. To interesujące, tylko za długie opisy, to nie dodaje niczego, przeciwnie... w każdym razie, to bardzo przyjemnie mieć lekturę pod ręką. Jeśli będę czegoś potrzebował, przyjdę do pana pożyczyc. W każdym bądź razie książki nie zastąpią kontaktu z żywym człowiekiem... Nie można żyć jak zakonnik... Musiał pan chyba zawrzeć jakieś znajomości, od czasu kiedy jest pan tutaj? Tymczasem nie widać, aby przychodziło do pana zbyt wiele osób...

Odpowiedziałem sucho, że żyję samotnie i — poszedłem po szczotkę do omiatania sufitów. Nieznajomy podziękował mi za uprzejmość i pobiegł do swych pajęczyn.

Zaledwie wypadł, pobiegłem sam na plotki. Starego pana, który pamiętał dawne czasy, nie było w domu. Dzieciom, które bawiły się na ulicy o wiele ważniejsze sprawy chodziły po głowach, by mogły odpowiedzieć mi na pytania, które stawiałem. Wstąpiłem przeto do dwu starych panien wyprawiających skórki królicze. Rzuciwszy parę słów na temat ostatnich ograniczeń (było to ABC wszystkich rozmów, jak w wierszyku, który recytowały dzieci: „ABC, chleba chce”) — wszedłem nieco dalej wgłąb sklepu.

— Niech mi panie powiedzą... jest w domu, w którym mieszkam, nowy lokator... wiedzą panie, w mieszkaniu pana...

Unoszący się w powietrzu niewidoczny pył ze skórek króliczych załaskotał mi w gardle. Bardziej błada z dwu siostrz podniosła na mnie przerażoną twarz. Nie poznałem jej. Uczyniła znak, bym zbliżył się i sepieniąc bezbębnymi dźwiękami wyrzuciła szepetem w zamknięte cztery ściany pokoju.

— To szpicel.

Nie byłem zupełnie pewien, czy dobrze posłyszałem, ale zrozumiałem, że nie powtórzyłaby po raz drugi słowa, które wypowiedziała. Rzuciła jeszcze trzy razy „tak” końcem warg i wykonywała droleryjną pracę z twarzą lodowata. Zrozumiałem więc dobrze! Ogarnął mnie głupi strach. W jakim momencie wpadłem w sidła tego lajdaka? A przede wszystkim jakiego rodzaju sidła zastawił on na mnie? Musiałem przypomnieć sobie każde słowo, jakie kiedykolwiek powiedziałem, przygotować system obrony. Już wychodziłem ze sklepu, zapominając nawet o pożegnaniu się, gdy stara panna dała mi znak, bym pochylił się ku niej.

— To on doprowadził do aresztowania pana z Wiednia... wziął jego mieszkanie... i od tego czasu... ma oko na wszystkich... na całą dzielnicę... Niech się go pan strzeże! Mówi źle o wszystkim co robi rząd każdemu, kogo napotka, ale jeżeli zauważy, że ktoś zbyt mu potakuje... dowidzenia... Nie zobaczy się pana więcej. Pytał o pana trzy razy, kiedy pan wyjechał. Chciał wiedzieć, czy nie znalazł pan tych dwu kobiet, które wyjechały... Nie wiem dlaczego, ale ma pana na oku!

Wiedziałem aż nadto dobrze, dlaczego! Byłem człowiekiem wykształconym i niezadowolonym, to znaczy — podejrzanym. Ro-

zumiałem zbyt dobrze sekrety nowego porządku. Już na początku czasów nieszczęścia, w ciągu kilku miesięcy, pewien nieznajomy chodził za mną jak cień, później znikł pochłonięty ogromem swych zadań. Tym razem jednak cień siedział przed chwilą w moim zielonym fotelu, w samym sercu mego mieszkania. Co powiedziałem? Jaką mogłem popełnić nieostrożność?

Szedłem ulicą mówiąc sam do siebie i nie zwracając baczniejszej uwagi na sposób własnego zachowania się, lecz obojętny tym razem na drobne obrazki, w których odbijała się nędza świata. Próbując zapanować nad nurtującym mnie niedorzecznym strachem, zacząłem myśleć nad nikczemną i niemal fatalną rolą szpicla. Czemuż miałem dziwić się, że spotkałem go na mej drodze. W epokach przeklętych był on konieczny. Wydzielali go, jak rana ropę, ślina bakterie, padlina robactwo. Kroczył wraz z głodem i niewolą, zgnilizną i zarazą. Gdy wszystko szło ku najgorszemu, gdy pozostawała jedynie rozpacz i nadzieja, tylko on jeden potrafił usmierzyć trwożne mochny. Wdzierał się w powszechne milczenie przy pomocy łomu i wytrycha. Rządził czarnym rynkiem sumień. Zapewne: towar jego był niekiedy fałszywy: tytoń z liści kuzu i bylicy, wino rozcieńczone wodą, mydło mieszane z gliną. Nawet jeśli przyjął, że istnieją dlań winni i niewinni, mógł równie dobrze denuncjować niewinnych. Cóż więc za znaczenie miało to, co się przy nim powiedziało? Liczyło się to, czego powiedzenie przypisało on swym ofiarom, gdy układał swoje raporty. Wystarczyło, by umiał w trzech punktach skomponować wypracowanie na niezmienny temat. Pan Taki a Taki: opinie Pana Takiego a Takiego: zbrodniczy charakter Pana Takiego a Takiego. To dlatego wolano, aby miał maturę i jakie takie pojęcie o przedmiotach klasycznych. Ale uczone dysertacje, które plodził nie miały mniejszej wartości wykazując kłamstwo, niż wówczas, gdy odsłaniały prawdę. Sprawował funkcję, której konieczny sens nie zależał od żadnej rzeczywistości. Nie miała ona innego celu niż pokrzepienie zatrzwożonych władców. Ale jeśli tak, poco zadawał sobie tyle trudu na przypomnienie tego co się mogło przy nim powiedzieć? Liczyć się będzie to, co stwierdzi, że powiedziałem. Jeśli tak było, czemu natychmiast nie plunąć mu w twarz?

Ale! Ale! Chyba oszalełem? Dochodziłem do rozumowań niedorzeczniejszych, niż najniedorzeczniejsze odruchy paniki. Zrozumiałem to, czując w płucach powiew rzeczywistości. Nie był to moment stosowny do popisu dialektyki. Nie było najlepsze przyzwyczajenie niemądry strach i zdać się na przypadek? Ach, nie! Należało, przeciwnie, strzec się z całym napięciem uwagi i zwyciężać szpicla roztropnością. Metoda jego polegała na wypowiedzianiu tego, co według jego przypuszczeń leżało w myślach jego ofiar. Taka była jego ulubiona pułapka. Zostałem więc ostrzeżony. Wiedziałem, w jaki sposób przagnął mnie podejść.

## WYMIAR SPRAWIEDLIWOŚCI

UKRANCA ulicy zobaczyłem ogonek przed sklepem Delpoux. Był to widok krzepiący, widok codzienny, tak regularny, jak obieg słońca. Nie było dnia, w którym kobiecie nie zbierałyby się wzdłuż trotuarów. Jak posłuszne stado dreptały powoli ku wąskiemu drzwiom sklepu spożywczego lub ku wymazanej krwią żelaznej kracie jarki Delpoux. W ciągu długich godzin posuwały się one centymetr za centymetrem ze ścisnącą żołądek trwożą, że dojdą do drzwi dopiero w momencie, kiedy wywieszony zostanie zgóry przygotowany napis: „Jarzyn dzisiaj już nie ma” albo „Wydawanie skończone”, co oznaczało przerwę w rozdziale do dnia następnego. Kobiece ręce oszczędzały mi tych zabiegów, jak większości mężczyzn. Widziało się jednak w ogonku kilku samotnych starców i nieśmiałych cudzoziemców, którzy drżeli jednocześnie o swoją strawę i o swoją swobodę.

Żeby żyć nie wiedzieć jak samotnie i nie mówić do nikogo, skończy się zawsze na znajomości z ludźmi, których spotyka się każdego dnia. Zmieniają się w cichych lecz nieuniknionych towarzyszy. W ten sposób zauważyłem człowieka młodego jeszcze o wyglądzie zdradzającym cierpienie i rozpacz, który zawsze czytał książkę, usiłując zachować swe miejsce w ogonkach, które oglądałem każdego dnia w uliczkach mojej dzielnicy. Zdawało mi się, że musi to być obywatel Pragi lub Amsterdamu, jakiś da-



wny profesor filologii, zmuszony przez okoliczności do robienia samemu zakupów. Dowiedziałem się jednak, że był Francuzem; uchodząc, jak ja w owym mieście, pozatym człowiekiem chorym i mężem kobiety chorej bardziej jeszcze, przykutej do łóżka w jednym z niechlujnych hotelików dzielnicy za mostami. W kłapie marynarki nosił małą czarno-zieloną wstążeczkę żołnierzy kłeski. Zazwyczaj, mając koszyk przewieszony przez ramię, czytał jedną z tych książek, które są bardzo tanie, ponieważ zostały napisane przez bardzo wielkich pisarzy, zmarłych przed bardzo wielu laty. Był to najwidoczniej, jak znikły na początku wiosny pan z Wiednia, zatwardziały materialista, a nie idealista jak pan Tourinas. Czytał z przejęciem i posuwał się w tłumie, niewidzący, jak jaskółka w czasie lotu przez morze. Przechodząc obok niego mogłem zorientować się dokładnie dokąd zaszedł w swoich lekturach i wiedziałem także, chociaż był to wciąż człowiek mi nieznajomy, jaki był bieg jego myśli, ważących się między rozpaczą a nadzieją.

Przychodząc przed jatkę Delpoux, szukałem więc oczyma mego czytającego nieznanego, w tłumie, który stał wzdłuż trotuaru. Ujrzałem go prawie na wysokości drzwi, w miejscu, gdzie zaczynały się żelazne kraty i rzędy haków malowanych na kolor ciemnoczerwony i poplamionych skrzepłą krwią. Czytał jak zazwyczaj.

Delpoux pilnował porządku przy drzwiach i kontrolował klientów przy wejściu do sklepu. Kolos o maleńkiej główce nie pozwalał wchodzić naraz więcej niż trzem lub czterem klientom. Innych zatrzymywał na progu zwykłym ruchem ręki, albo samym spojrzeniem. W głębi magazynu wśród rozplatanych pościeli zwierzęcych, dostrzec można było panią Delpoux, siedzącą przy kasie z policzkami równie nadętymi jak pierwuchująca pęcherze, które miała napelnąć odpadkami mięsa. Pociła się jakby pod ciśnie-

niem ukrytej aktywności swych gruczołów. Miało się wrażenie, że widzi się jej narządy obnażone, jak w przeciętych na dwoje baranich polciach, które kołysały się dookoła niej. Ta obfitość i tryskające zdrowie tworzyły nieoczekiwany kontrast z chudą gromadką klientów, ustawioną rzędem wzdłuż trotuaru.

W chwili gdy przechodziłem czytający nieznanymi posuwał się popychany przez tłum. Delpoux wpuszczał właśnie nową grupkę klientów. Człowiek z nosem w książce zbliżał się do drzwi janki, lecz gdy się przed nim znalazł, Delpoux dał znak wstrzymujący, poparty krótkim gwizdnięciem. Jak odpowiedzieć, co się wówczas stało? Wszystko było tak nagle, że nie mogłem dostrzec następujących po sobie faktów, lecz jedynie kłębowisko zmieszanych obrazów. Człowiek nie zauważył gestu Delpoux. Uczynił krok nie przestając czytać. Delpoux wymierzył mu trzy straszliwe ciosy pięścią w twarz. Człowiek zatoczył się tuż przede mną aż na środek ulicy. Jakaś kobieta krzyknęła, jak w chwili gdy rodzi się panika, ale ludzie ustawieni rzędem wzdłuż trotuaru ścisnęli się tylko mocniej przy murze. Nikt nie chciał ryzykować utraty swego miejsca. Delpoux demonstrował swą muskulaturę tragarza w okratowanych drzwiach janki. Na jego przekrwionej szyi, głowa zdawała się być jeszcze bardziej mikroskopijna. Dwóch czeladników rzeźniczych o mordach byków stało za nim. Człowiek tymczasem podniósł się zostawiając koszyk i książkę na jezdni. Biegł do Delpoux ze ściętymi pięściami. Ale dwaj chłopcy od rzeźnika wyskoczyli z za drzwi i przytrzymałi go z tyłu. Myślałem, że Delpoux uderzy go raz jeszcze. Zadowolił się jednak szybkim zamachem swych olbrzymich pięści tuż przy twarzy nieznanego, którego dwaj chłopcy od rzeźnika trzymali przed nim unieruchomionego. Zaraz potem człowiek był znów wolny. Wzruszył ramionami, zmierzył wzrokiem ludzi i

nie powiedział nic. Nikt nie śmiał na niego spojrzeć. Ktoś szepnął „tsss”, bardzo nieśmiało, jakgdyby w odpowiedzi na krzyk kobiety.

Z rumieńcem na policzkach, ze wstydem w oczach, pogrążony w ponurym otepieniu, patrzyłem jak nieznanomy zbierał w błocie kartki swej książki. Jego czarno-zielona wstążeczka wypadła mu również. Zostawił ją w rynsztoku i oddalił się utykając. Nikt nie uczynił najmniejszego ruchu w jego kierunku.

Wówczas Delpoux wyszedł ze swego sklepu. Zaczął iść wzdłuż tłumy. Szedł i wracał, sprawiając, że ludzie usuwali mu się z drogi, wyrównywał ich jak żołnierzy wzdłuż krawędzi płyt betonowego chodnika. Nie mówił ani słowa. Rzucił swe rozkazy pomrukami, przyspieszał ich wykonanie przy pomocy szturchańców. Był panem ulicy, równie potężnym wobec swych pogębionych klientów, jak hycel w bluzie zdegradowanego żołnierza wobec bezpieczeństwa psów miasta. Nikt nie protestował. Wszyscy ci ludzie myśleli tylko o zachowaniu swych miejsc w ogonku. Nie widzieli mięsa od piętnastu dni. Ulegli i poskromieni mieli twarze szare i posępne świecące oczy. Wyglądali jak gdyby nie dostrzegli niczego i niczego nie byli już w stanie zobaczyć.

Jakże filozoficzne są czasy nieszczęścia! Szedłem od szpicla do opętanej, a od opętanej do bestialskiego brutalna. Zdrada, szaleństwo i przemoc! Jakże szybko przeniła się sekret tych spraw, kiedy nie można niczego przeciwko nim zdziałać i jak nienawidzi się ich nienawicią, która jedynie od przyszłości może czegokolwiek oczekiwać! A przecież nie musiały mnie spotkać owe wydarzenia — zakłócenie spokoju mego domu, monolog szalonej i atak bestialskiej furii rzeźnika — abym wiedział, że musimy stać się ludźmi wolnymi, w najbardziej oderwanym znaczeniu tego słowa.

aby móc korzystać z wolności w naszym życiu codziennym. Wiedziałem od przeszło roku, że pozbawieni wolności byliśmy tylko najłagodniejszą i najpotulniejszą trzodą. Gdy jesteśmy w niewoli otaczają nas strach, szaleństwo i podłość. Wolność nie dzieli się na części, i nie można jej odzyskać stopniowo, kawałek po kawałku. Wszystko lub nie i biada temu kto wierzy, że można przystosować się do niewolnictwa.

Dość daleko zaprowadził mnie ów nagły dramat uliczny. Uświadomił mi on jednak w pełni stopień podłości, do jakiego stoczyliśmy się wszyscy. Bez wątpienia była to podłość związana tylko z najblaszszymi zdarzeniami codziennego życia. Strach przed utratą chleba, strach przed utratą soli, strach przed utratą drzewa, strach przed utratą wszystkiego. Zgoda na wszelkie dokuczliwości i wszelki przymus. Nie była to jeszcze podłość podłych lecz podłość nieszczęśliwych. Dokąd nas prowadziła? Dokąd chciała nas wciągnąć? Póki co dawała wolne pole bestialstwu różnych Delpoux. Ale podczas gdy dzikie bestie wychodzą z nocnych kryjówek gdy zapada noc, tu bestialstwo występowało jawnie w biały dzień. Widziałem jego błysk w oczach olbrzymia z główką mikroba, milionera-analfabety. Triumfował. Defilował tam i napowrót przed klientami, szturchając starców i łajac grubiąskimi kobietami. Nikt nie miał odwagi wytrzymać jego spojrzenia. Stanowił on wcielenie ustalonego porządku. Miał za sobą wszelkie prawa. Od jego sankcji nie przysługiwało żadne odwołanie. Był panem naszego czasu, panem udzielniem, ponieważ przynosił sobie prawo wymiaru sprawiedliwości. Lecz jaką sprawiedliwość mógł wymierzyć? Była to sprawiedliwość równie licha, jak dusza tego groszaroza, który dla utrzymania spokoju wśród nieszczęśliwych zdolny byłby zamienić dąb św. Ludwika na szubienicę.

Andre Chamson

JAN KOTT

## Jeszcze o „Lalce” i pozytywizmie<sup>\*)</sup> (I)

CIESZĘ SIĘ bardzo z polemiki, jaką wzbudziła moja „Przedmowa do „Lalki”. Nowe dyskusje intelektualne wymagają nowych bohaterów. Nawet najbardziej abstrakcyjne i teoretyczne spory karmią się żywym materiałem historii, argumentami są w nich książki, sytuacje historyczne, postaci literackie, zarzysy stylu. I słusznie pisał jeden z felietonistów „Kuźnicy”, że polemiki literackie upodabniają się do rzucań w siebie książkami: on w ciebie Diderotem, ty w niego Proustem, on oprawionymi w skórę ciężkimi tomami „Encyklopedii”, ty w niego zbiorowym wydaniem wszystkich dzieł Brandysa, Hertza i Dygata. Tak jest w istocie. Aby książki mogły stać się argumentem w dyskusji, musi ich ostrze ranić, muszą zostać na nowo przeczytane i pokazane. Nie wystarczy przepisać fizyki z katalogu wielkiej biblioteki. Ambicją krytyków było zawsze stworzenie nowej perspektywy literackiej i historycznej, która zmieniłaby ocenę współczesnej literatury.

Aby klasyki stali się żywi, muszą ranić i to ranić boleśnie! I nie bez pewnej gorzkiej satysfakcji stwierdzam, że mój kult dla Balzaka przyjęty został przez wielu jako zamach na swobodę pisarzy. Był nawet taki czas, że bardziej naiwni uznali Balzaka, obok reformy rolnej i marksizmu, za trzecie wielkie niebezpieczeństwo, zagrażające kulturze polskiej. Do dziś dnia jeszcze niektórzy z moich przeciwników łagodnie mi perswadują, że obok Balzaka należy również czytać Prousta, jak gdyby rzeczywiście groził nam przymus czytania Balzaka i zabalzakowanie literatury.

Ważny jest typ dyskusji intelektualnych, ich temat, ich bohaterowie. Jednym z zadań krytyka jest trafny wybór bohaterów do zapasów w szrankach. Dyskusja o realizmie, typowa zresztą dyskusja prowadzona „na wyrost”, w której jak słusznie pisał Kałużyński pomieszały się języki moralistów, ideologów, teoretyków literatury i społeczników, zagasła z powodu braku bohaterów. Materiał, który dała współczesna twórczość literacka, okazał się za kusy. Lękałem się, aby podobny los nie spotkał i dyskusji o humanizmie. Jakżeby ją wzbogaciły, zaostrzyły i skonkretyzowały nowe portre-

ty Rabelaisa, Erazma z Rotterdamu czy Bayle'a.

I dlatego cieszę się, że bohaterem dyskusji literackich stał się nareszcie Prus. Właśnie Prus, a nie Sienkiewicz, Żeromski czy Brzozowski. Nad tymi trzema pisarzami myślę, że dyskusja jest zamknięta i jeżeli zostały w niej nawet jakieś puste karty, za leniwych krytyków dopisała je historia. Dlatego może tak sprawiedliwe a jednocześnie bezsporne wydały mi się ostatnie prace: Stawara o Sienkiewiczu, Wyki o Żeromskim, Hoffmana o Brzozowskim.

Z Prusem jest inaczej. Spór o Prusa dopiero się zaczyna, wiąże z niedawno przeprowadzoną dyskusją o genealogii inteligencji, prowadzi do zasadniczego sporu o przejęcie dziedzictwa pozytywizmu i nawet dalej — do nowej rozprawy z krakowską szkołą historyczną, której świetną, przyznajmy to, apologię ogłosił ostatnio Aleksander Bocheński w „Dziejach głupoty w Polsce”.

Konieczne jest nowe spojrzenie na Orzeszkową, z tej pasjonującej i namiętej pisarki zrobiono pocziwą, starą ciotkę polskiej literatury. Kto nam pokaże Orzeszkową? A Witkiewicz, Nałkowski i całe dzieje polskiej krytyki literackiej, nieruszone badaje od czasów Chmielowskiego? Kto wreszcie spośród setek naszych corocznych absolwentów polonistyki, roniących czwarto-

rzędne przyczynki, ogłosi jakąś przytomną pracę, choćby nawet tylko referującą o „Alchadardzie” Chojeckiego, tej najbardziej balzakowskiej ze wszystkich polskich powieści, najbogatszej w realia obyczajowe, buntowniczej, drapieżnej, gniewnej i co tu dużo gadać, najlepszej aż do czasów „Lalki”. Jeżeli mi nie wierzycie, klnę się na zdanie Wyki i Andrzejewskiego: poza nami trzema nikt zdaje się od trzydziestu lat „Alchadaru” nie czytał.

Czeka cierpliwie na swojego autora ważna i potrzebna książka o poezji Stanisławowskiej i pseudo-klasykach, która by zagaiła dyskusję nad Trembeckim, Węgieńskim, Koźmianem. Zacząć się musi walka o nowe wzory poetyckie. Doboru patronów dokonali no raz ostatni krytycy Młodej Polski. Dotąd po podręcznikach historii literatury pokutują ich gusta i oceny. Dwudziestolecie przyniosło tylko spór o Norwida. I może jeszcze rehabilitację baroku. Kto po dejmie się nowej obrony kanonu pseudo-klasyków?

I wreszcie Mickiewicz. Może rozpisanie nagród przez Akademię Umiejętności zachęci któregoś z młodych historyków do napisania trzeźwej pracy o związkach, łączących Mickiewicza z utopijnymi socjalistami, kamarylją Ludwika Bonaparte i Młodą Europą. Kto nam pokaże Mickiewicza na tle Francji a nie tylko w kole emigrantów?

Przecież na dobrą sprawę nie mamy ani jednej uczciwej historycznej rozprawy o „Trybunie Ludów”? Henryk Szyper pokazał drogę, ale to jeszcze wszystko za mało. To są dyskusje przyszłości! Wracajmy do tej, która się zaczęła. Wróćmy do „Lalki”.

### SPÓR O METODĘ

Janina Kulczycka - Saloni w swej „Nicoo innej przedmowie do „Lalki” stwierdza, że „ani współcześni nie uważali Prusa za pozytywistę, ani też Prus sam siebie za pozytywistę nie uważał. Dopiero potem wyrósł w świadomości ogółu na reprezentanta całego okresu i co więcej kierunku, z którym był wyraźnie skłócony”. Słusznie! ale z jednym zastrzeżeniem... Zastrzeżenie to formuluje zresztą sama Kulczycka. Pisze: „Zgodnie więc z informacjami bojownika i historyka ruchu, zwanego pozytywizmem, tj. Chmielowskiego oraz jego antagonisty Jeske-Chońskiego, zacieśnijmy pojęcie pozytywizmu do grupy skupionej koło dwóch czasopism: „Przeglądu Tygodniowego” i „Niwy”... Bagatela! W tym cała rzecz. Tutaj zaczyna się spór.

Wbrew bowiem pozorom spór mój z autorką „Nicoo innej przedmowy” nie ogranicza się do samej interpretacji „Lalki” i miejsca Prusa w ruchu pozytywistycznym — sięga on znacznie głębiej, dzieli nas różnica metod badania: ja piszę o nowych liniach kolejowych i rozwoju Łodzi a Kulczycka pozostawia te sprawy kompetentniejszemu od nas obojga historykowi gospodarczemu. Niewątpliwie można pisać o „Lalce”, nie zająkawszy się nawet o cenach zboża i perkalkach. Historia gospodarcza nie jest historią literatury, ale historia literatury nie może ograniczać się do filologicznej egzegzy tekstów.

Kulczycka stwierdza — Prus był tu, B. Świętochowski tam, Prus zwalczał w swojej publicystyce „Młodą Pragę”, „Przegląd Tygodniowy”, atakował „Nowiny” i konkluduje: „I dlatego wydaje mi się bardzo zasadniczym nieporozumieniem traktowanie „Lalki” jako wyrazu pozytywistycznego programu, szukanie w niej jakichkolwiek ideologicznych tendencji”.

Zasadnicze nieporozumienie wydaje mi się, że leży gdzieś indziej. Jest to zresztą zasadnicze nieporozumienie prawie całej naszej polonistyki. Włącza się w krąg badań nad dziełem topografię historyczno-literacką okresu. Właśnie topografię i tylko topografię. Nie więcej! Buduje się jakąś sztuczną wyizolowaną z całości kultury rzeczywistość literacką, na którą składają się: biografia pisarzy, książki, które napisali, dzieła, które przeczytali albo mogli przeczytać,

### NOWY NUMER PRZEGLĄDU SOCJALISTYCZNEGO

Już ukazał się grudniowy numer „Przeglądu Socjalistycznego” o następującej treści:

- J. Cyrankiewicz — Polityka Polski Ludowej.
- St. Szwalbe — Przed XXVII Kongresem Partyjnym.
- J. Hochfeld — Od XXVI do XXVII Kongresu PPS.
- W. Reczek — Zasady nowego statutu PPS.
- J. Topiński — Dorobek teoretyczny na którym budujemy.
- J. Rosner — Aktualne problemy międzynarodowego ruchu socjalistycznego.
- W. Domino — PPS w ruchu zawodowym.
- L. Motyka — Młodzież socjalistyczna.
- J. Mula — Szkolenie socjalistyczne.
- T. Owik — Propaganda partyjna.
- A. Kaduszkiewicz — Zagadnienie odbudowy gospodarczej Niemiec.

#### Kartki z historii socjalizmu

- M. Zawadzka — Pierwszy zjazd PPS.
- A. Munk — Proces Mierosławskiego.

#### Na horyzoncie

W Polsce — W ZSRR — W Europie — Za morzami.

#### Idee — Myśli — Zagadnienia

- J. Strzelecki — O niektórych źródłach uproszczeń marksizmu.
- J. N. Miller — Klasa i naród w kleszczach imperializmu.
- A. Pokorski — Postawa kościoła katolickiego wobec przemian ustrojowych w Polsce.
- B. Winkler — Polskie malarstwo nowoczesne.
- J. H. — Adama Schaffa „Wstęp do teorii marksizmu”.
- Z życia partii.
- Listy do redakcji.
- Książki i czasopiśma nadesłane.
- Notatnik referenta.

Cena numeru 40 złotych.

\*) Porównaj: Jan Kott: Przedmowa do „Lalki” („Kuźnica” Nr 13—16); Zygmunt Kałużyński — Czy „Lalka” jest powieścią o „zniechęconym miészczuchu” („Kuźnica”); Janina Kulczycka-Saloni — Nicco inna przedmowa do „Lalki” („Kuźnica”); Kazimierz Budzyk: Jeszcze dyskusja nad przedmową do „Lalki” („Kuźnica” Nr 50).



listy, które wymieniali ze sobą, kobiety, w których się kochali, czasem jeszcze powstania, w których brali udział lub nie brali udziału, i do tego dołącza się parę dosyć dowolnie wybranych reguł poetyki. Cały ten dziwny zlepek różnego rodzaju faktów kulturowych interpretuje się, zależnie od nowej czy starej szkoły, przy pomocy prawidłowości lub typów psychicznych (miłość, zazdrość, ambicja, egoizm, uczuciowość itd.) lub schematów estetycznych (tragizm, niedoskonałość świata, samotność artysty, pełnia życia itp.). Z tego wszystkiego konstruuje się znowu zależnie od szkoły albo „osobowość”, albo „ideologię” pisarza. Przy tym owa ideologia jest oczywiście jedynie zbiorem złotych myśli, mniej lub bardziej składnie ułożonych i zaczerpniętych z korespondencji pisarza, jego publicystyki lub wypowiedzi bohaterów książki.

Nie chcę być niesprawiedliwy i nie zamierzam ani obarczać Kulczyckiej hurtem wszystkimi grzechami naszej polonistyki, ani też porównywać jej ostrożnej i pełnej trafnych zastrzeżeń „Nico innej przedmowy” z zupełną nicością świeżo ogłoszonej książki prof. Szweykowskiego o Prusie. Tym niemniej tylko śmiertelnemu grzechowi metody przypisać mogę ostateczną konkluzję Kulczyckiej, stwierdzającą, że nie należy szukać w „Lalce” wyrazu pozytywistycznego programu i jakichkolwiek ideologicznych tendencji.

Nie znaczy to wcale, abym bagatelizował doniosłość sporu Prusa z obozem „Młodej Prasy” i topografię warszawskiego pozytywizmu. Ale właśnie spór ten wymaga interpretacji, i to pełnej interpretacji, historycznej i społecznej. Inaczej mówiąc, trzeba na przód wiedzieć, czym był pozytywizm a dopiero potem można odpowiedzieć na pytanie, czy Prus był pozytywistą.

Ale właściwie nie chodzi tu nawet o metodologię, naszej polonistyce brak jest przede wszystkim zdrowego rozsądku. To ją właśnie przede wszystkim odróżnia od prac francuskich krytyków, czy historyków literatury, którzy o poprawność metodologiczną także niewiele dbają. Nie należy lekceważyć zdrowego rozsądku, nawet jeżeli się jest polonistą. Bo przecież wydawałoby się, że jest rzeczą zupełnie jasną, że nie można nic rozsądnego powiedzieć o „Lalce”, właśnie o „Lalce”, a więc o powieści realistycznej, obyczajowej, tendencyjnej, jeżeli się nie wie, jak było naprawdę. Jak było naprawdę oczywiście nie z Prusami, ale z mieszczaństwem, inteligencją, arystokracją, handlem z Rosją, Warszawą itd. Nikomu to dotychczas z komentatorów „Lalki” nie wpadło jednak do głowy. Wszyscy uważają, że wystarczy znać Milla, Spencera, publicystykę okresu i może jeszcze Dickensa.

Upraszczam. Ale upraszczam świadomie. Powieść nie jest fotografią rzeczywistości. Ale właśnie dlatego krytyk chwytając ideologię pisarza w miejscu pęknięć, rys i skrzywień, zakłamań i fałszu, przekłada na język społecznych ideologii kompozycje, konstruuje losu ludzkiego, wybrany model człowieka i typ konfliktu, a nie tylko wypowiedzi postaci czy złote myśli pisarza.

Cała moja przedmowa do „Lalki” zrodziła się z niepokojącego pytania, na które długo nie mogłem znaleźć odpowiedzi: dlaczego Wokulski sprowadza perkalki z Cesarstwa, zamiast kupować je w Łodzi i wysłać do Rosji? Czy odpowiedź na to pytanie jest niezbędna dla zrozumienia „Lalki”? Nie wiem. Myślę jednak, że tak, ponieważ właśnie owe perkalki tłumaczą krótkotrwałość i załamanie się ideologii postępu cywilizacyjnego, jaką głosili współpracownicy „Niw”, „Przeglądu Tygodniowego”. Co właściwie znaczyła ta ideologia?

P. Kulczycka przytacza w swoim artykule (uznając je zresztą za niesłuszne) zdanie z książki Aurelega Drogoszewskiego, że „pozytywizm na gruncie zachodnio-europejskim był kierunkiem filozoficznym, na gruncie polskim zaś tylko programem praktyki społecznej”. Oto typowy i niezmiernie charakterystyczny przykład fałszywej tezy metodologicznej. Zarówno bowiem na Zachodzie jak i w Królestwie pozytywizm był i kierunkiem filozoficznym i programem praktyki społecznej, i samą praktyką społeczną. Stąd podstawowym zagadnieniem dla oceny pozytywizmu pozostaje zbadanie, w jakiej mierze owa zapożyczona ideologia z Zachodu odpowiadała praktyce społecznej mieszczaństwa i inteligencji w Królestwie? Co ona na gruncie polskim znaczyła? Jakich sił społecznych była wyrazem?

P. Kulczycka zadawała się stwierdzeniem, że pozytywizm był wyrazem poglądu liberalnego mieszczaństwa. Niewątpliwie, był to liberalizm, ale czy i jaki?

#### LIBERALIZM, ALE CZYJ I JAKI?

Obiema rękami podpisałbym się pod atakiem prof. Chałasińskiego na metodę kaligraficzną. „Tak tę metodę nazywam — pisze w szkicu „Zagadnienie historyczno-socjologiczne samowiedzy inteligencji polskiej” („Myśli Współczesna”, Nr 12) — ze względu na jej najbliższe podobieństwo do kaligrafii, w której stosuje się w obrębie

ograniczonej liczby wyrazów jedyne kryterium — kaligraficznego podobieństwa. Uczony kaligraf bierze dwie książki, wyciąga z nich teksty i stwierdza podobne — niepodobne, nie licząc się ani z historyczno-socjologicznym sensem tych tekstów, ani z ogólnymi zadaniami poznawczymi, jakie ma do spełnienia w stosunku do naukowego problemu”.

Niewątpliwie polski liberalizm jest tylko kaligraficznie podobny do liberalizmu zachodnio-europejskiego. Z faktu, że pozytywści warszawscy byli ideologami kapitalizmu, nie wynika jeszcze, aby było wolno automatycznie zestawiać dwie różne formacje historyczne. Filozofia Spencera, Comte'a i Milla co innego znaczyła nad Tamizą i Sekwaną, co innego nad Wisłą.

Na Zachodzie liberalizm wiązał się z potężnym stanem mieszczańskim, wyrastał z dokonanej rewolucji techniczno-przemysłowej, a w Polsce? W Polsce — odpowiada prof. Chałasiński — był ideologią postępowej inteligencji szlacheckiej, która dążyła do stworzenia nieistniejącego stanu mieszczańskiego”. I na poparcie swojej tezy cytuje dalej prof. Chałasiński niezmiernie interesujące fragmenty przedwojennej pracy St. Rychlińskiego. Przytoczmy: „Liberalizm polski nie był więc podobnie jak ideologia pracy organicznej wyrazem dążeń jakiejś klasy społecznej, walczącej z innymi ugrupowaniami o udział w podziale dochodu narodowego, ale stanowił objaw poszukiwania podstaw gospodarczych bytu warstwy kierującej społeczeństwem, inteligencji szlacheckiego pochodzenia, przeżywającej silne przesilenie w związku z utratą dotychczasowych warsztatów pracy... Liberalizm polski był kierunkiem pozornie mieszczańskim. Nie bronił on bynajmniej interesów klasowych mieszczaństwa, był kierunkiem równie obcym właściwemu liberalizmowi, jak np. anarchizm socjalizmowi”.

I ostatecznie konkluduje prof. Chałasiński: „Wszystkie prądy umysłowe i społeczne, które potężnym nurtem masowych ruchów przeorywały nowoczesną Europę, u nas wiodły suchotniczy żywot kameralnych zagadnień inteligencji”. Nie mogę zgodzić się na te tezy, wydają mi się one daleko idącym uproszczeniem rzeczywistego charakteru ruchów ideowych i społecznych w Królestwie. (Jeśli chodzi bowiem o zabór austriacki i pruski twierdzenia te są oczywiście fałszywe). Prof. Chałasiński wszystkie ruchy ideowe pakuje hurtem do inteligentckiego ghetta: od pierwszego bojowego okresu warszawskiego pozytywizmu z jego apologią cywilizacji i postępu po anielski liberalizm szlachetnych demokratów w latach międzywojennych, od „Młodej Prasy” po Ligę Polską i endecję, od ludomanów po „Piast” i „Wyzwolenie”, od ideologów walki wyzwolenczej po POW i sanację. Jedynym wyjątkiem, opatrzonym zresztą subtymi zastrzeżeniami, jest ruch socjalistyczny.

W ten sposób cała stuletnia historia ruchów społecznych i prądów ideowych sprowadzona została do rozmowy rozbitków z dworku szlacheckiego o przeczytanych książkach francuskich, niemieckich i rosyjskich, do robaczywych ruchów wewnątrz inteligentckiego ghetta. Konstrukcji tej przeczą nie tylko fakty historyczne, uniemożliwia ona całkowicie jakąkolwiek próbę zrozumienia i wyjaśnienia genezy, dynamiki i klasowej funkcji prądów ideowych. Genealogia inteligencji polskiej, pięknie i trafnie wyprowadzona przez prof. Chałasińskiego z procesu ekonomicznej degradacji pańszczyźnianego dworu, wyjaśnia nam społeczną strukturę inteligencji, jej obyczajowość, ale nie tłumaczy zupełnie klasowego charakteru ideologii, co najwyżej potrafi wykryć pewne typowe skażenia i rysy. I tutaj widzę pierwszy błąd prof. Chałasińskiego. Z uprzedzonego trzymania się refleksów obyczajowości szlacheckiej, z ciężenia inteligencji polskiej do arystokracji, prof. Chałasiński wyciąga wniosek, że ghetto inteligentckie żyło w historycznej i klasowej próżni, że ruchy i prądy ideowe nie były związane z rozwojem kapitalizmu.

Inteligencja polska była warstwą społeczną zupełnie inną niż inteligencja zachodnio-europejska, zgoda! Struktura mieszczańska była inna niż na Zachodzie, święta racja! Ale nie wynika jeszcze z tego, że w Polsce nie było mieszczaństwa, że w Polsce nie było kapitalizmu. Analiza specyficznych form kapitalizmu w Królestwie przeciekła prof. Chałasińskiemu między palcami.

A to jest właśnie zagadnienie kluczowe; nie mieszczaństwo, i nie inteligencja, a właśnie, inny, niż na Zachodzie Europy, rozwój kapitalizmu w Królestwie. Jedynie bowiem prawidłowa i zgodna z faktami konstrukcja rozwoju kapitalizmu w Królestwie pozwoli nam wyjaśnić i zrozumieć genezę i dynamikę prądów ideowych i ruchów społecznych w drugiej połowie XIX wieku, a przede wszystkim powstanie, rozwój i przemiany warszawskiego pozytywizmu.

(dok. nastąpi)

Jan Kott

## PODARKI NA GWIAZDKĘ



## DLA OPOZYCJI



Matuszewski, Jastrun, Ważyk, Rudnicki, Żuławski  
Brandys, Hertz, Zółkiewski, Kott

## DLA ZESPOŁU „KUŹNICY”

rys. Mieczysław Piotrowski



ALFRED GRADSTEIN

# Po radiowym festiwalu muzyki słowiańskiej

**D**OPIERO TERAZ, kiedy przebrzmiały ostatnie echa Festiwalu Radiowego, który przez osiem dni z okładem nadawał niemal bez przerwy audycje muzyki słowiańskiej pod najrozmaitszymi postaciami, możemy się pokusić o ogarnięcie całości i o bezstronną ocenę wartości tej jedynej w swoim rodzaju manifestacji oraz o podsumowanie wszystkich jej plusów i minusów.

Sprawa jest dość ważna, ażeby warto było ten trud sobie zadać. Z perspektywy kilku dni przedstawia się ona nieco inaczej, niż w czasie festiwalu, kiedy nie było czasu na skupienie myśli, ani na spokojne rozeznanie się w doznawanych wrażeniach. Bo — proszę pomyśleć: na przestrzeni przeszło tygodnia 56 audycji festiwalowych i 28 audycji poza-festiwalowych, poświęconych również muzyce słowiańskiej. Jest to wycieczka, którą w każdym słuchacz, zdając sobie sprawę z nieprzebranych trudności tego rodzaju kolosalnej imprezy, musi budzić najszerszy podziw dla jej organizatorów i realizatorów, którzy energią, wytrwałość i często — poświęcenie, zasługują w tym miejscu na jak najdobitniejsze podkreślenie.

Albo czy wycieczka ta miała uzasadnienie z punktu widzenia założeń i zamierzeń samego Festiwalu i czy zamierzenia te zostały osiągnięte?

Nad tym właśnie pragniemy się zastanowić.

Zacznijmy od rozpatrzenia istotnego znaczenia i pozytywnych osiągnięć tego Festiwalu.

Radiowy Festiwal Muzyki Słowiańskiej był pierwszą tego rodzaju imprezą w dziejach radioradii światowej.

Jako przykład rzucony światu, znaczenie tego Festiwalu wykracza z ram muzycznych czy nawet kulturalnych; z tego punktu widzenia można uważać realizację tego Festiwalu, bez względu na jego błędy lub braki, za niewątpliwie i doniosły sukces międzynarodowy!

Inny sukces, to zacienienie stosunków kulturalnych między narodami słowiańskimi, co było zasadniczym celem tego Festiwalu.

Festiwal pozwolił na wykonanie licznych współczesnych kompozycji polskich oraz na zapoznanie się z wieloma dziełami i artystami radzieckimi, czeskimi, jugosłowiańskimi i bułgarskimi, których dotąd nigdy nie mieliśmy okazji usłyszeć.

Jeśli przechodzimy obecnie do krytyki, jakiej musimy poddać realizację całego Festiwalu, czynimy to w przeświadczeniu, iż krytyka ta będzie mogła posłużyć do uniknięcia wielu błędów przy organizowaniu w przyszłości podobnych imprez i że — z tego tytułu — będzie ona przede wszystkim konstruktywna.

Nie będziemy w niej poruszali usterek czyśto organizacyjnych. Zajmiemy się natomiast omówieniem programów, ich zestawieniami i ich rozmieszczeniem w ramach planu ogólnego.

Zacznijmy od pytania, postawionego już na wstępie niniejszego omówienia: czy potrzeba było aż tak wielkiej ilości najprzeróżniejszych audycji, aby osiągnąć cele, które omówiliśmy i pochwaliliśmy powyżej?

Niewątpliwie nie! — Nietylko nie było to potrzebne, ale pod wieloma względami zmniejszyło zamierzony efekt. Mniejsza już o zagranicę. — Tam można było słuchać tych audycji festiwalowych, które wzbudzały szczególne zainteresowanie. Ale Festiwal ten, transmitowany przez wszystkie rozgłośnie polskie, był również przeznaczony dla milionów słuchaczy polskich, przeważnie posiadających aparaty przystosowane wyłącznie do chwywania audycji krajowych. Słuchacze ci albo musieli w dużej mierze zrezygnować ze słuchania radia w okresie festiwalowym, albo byli skazani na wysłuchanie przez 8 dni, od rana do wieczora, muzyki słowiańskiej, z nieodzownym sygnałem festiwalowym, poprzedzającym każdą audycję. Już sam sygnał, składający zupełnie do bry, acz nieco przydługi, wystuchiwany po raz 50, mógł zniercierpliwie najbardziej odpornych. Cóż dopiero same audycje, które dla przeciętnego słuchacza musiały być, w takim zagęszczeniu, i nudne i nużące, a przede wszystkim irytujące swą ciągłością.

Na szczęście nikt nie wysłuchiwał pięćdziesięciu, ani nawet trzydziestu audycji. Już od trzeciego dnia wielu radiosłuchaczy, zaraz po wysłuchaniu zapowiedzi, zamykało z niecierpliwością głośnik i w rezultacie nie wysłuchiwało nawet tych audycji, które były znakomite i wybitnie interesujące.

Dlatego z punktu widzenia propagandy muzyki słowiańskiej, propagandy muzyki poważnej, czy nawet propagandy samego radia, efekt tej rekordowej ilości 84 audycji festiwalowych w ciągu tygodnia był, jeśli chodzi o słuchaczy polskich, raczej chybiony.

Składną nagromadzenie tak wielkiej ilości audycji, w najrozmaitszych kombinacjach programowo — zespołowych, uniemożliwilo słuchaczom zorientowanie się w nich, podobnie, jak i samym organizatorom. Nie też dziwnego, że nie potrafiono dobrać tych audycji według jakiejś, zgóry pomyślanej linii wytycznej, że kładąc główny nacisk na ilość a nie na jakość i celowość, dobiegano gorączkowo co tylko dało się umieścić, bez ładu i składu, byle więcej i że w rezultacie program radiowy całego Festiwalu zrobiony był

chaotycznie, bardziej w zależności od przypadkowych możliwości organizacyjnych, niż w zależności od jakiejś naczelnej myśli przewodniej, której brak dawał się wyczuwać na każdym kroku.

Sądząc, iż byłoby daleko lepiej, gdyby ograniczono się do kilku koncertów symfonicznych, (żywych), z programami, dającymi najciekawsze i najcharakterystyczniejsze utwory każdego narodu biorącego udział w Festiwalu; do kilku koncertów muzyki ludowej oraz ewent. jeszcze do kilku audycji dodatkowych, ale nie przekraczających łącznie liczby 15. Wtedy można byłoby większy nacisk położyć na ich zestawienie programowe oraz na ich racjonalne rozmieszczenie w programie ogólnym, a słuchacze, mając przed oczyma wyraźny obraz tego programu, niewątpliwie wysłuchaliby go w całości z przyjemnością i zainteresowaniem. Przy takim ujęciu całości wszystko odbyłoby się bez niebezpieczeństwa znudzenia czy zniechęcenia słuchaczy i w rezultacie osiągnięty efekt byłby daleko większy.

Zanim przystąpimy do szczegółowego omówienia programów polskich, powiedzmy pokrótce jak się przedstawiał wkład innych do Festiwalu. (Chodzi nam tutaj o linie ogólne, a nie o szczegóły, które już w wielu recenzjach zostały dokładnie omówione).

Najracjonalniejszym wydał nam się program Czechosłowacji: dzieła najlepsze z klasycznego repertuaru czeskiego (opera Dworzaka, koncert symfoniczny z solistą, utwory chóralne, muzyka kameralna, muzyka lu-

dowa — wszystko, poza Nonetem Czeskim, który wystąpił w Warszawie, transmitowane z Czechosłowacji). Utwory modernistyczne, trudniejsze do wysłuchania dla przeciętnego słuchacza, w ilości bardzo umiarkowanej. Znakomite wykonania.

Żałować tylko należy, iż występ w Warszawie Filharmonii Czeskiej, pod znakomitą dyрекcją Rafaela Kubelika, który miał miejsce na kilka dni przed rozpoczęciem Festiwalu, nie mógł się odbyć w ramach samego Festiwalu, którego powinien był być jednym z najważniejszych punktów.

Program muzyki jugosłowiańskiej ułożony był interesująco. Pozwolił on nam zapoznać się z dziełami współczesnych kompozytorów jugosłowiańskich, których dotąd wcale nie znaliśmy; pod tym względem koncert Filharmonii Warszawskiej pod dyрекcją młodszego, wybitnie uzdolnionego dyrygenta jugosłowiańskiego Miliana Horwata, ze współudziałem świetnej śpiewaczki jugosłowiańskiej Anity Meze, wypadł bardzo ciekawie. Poza tym usłyszeliśmy dobre chóry oraz audycje z tańm, bardziej zresztą interesujące jako wykonanie niż jako kompozycje.

Programy radzieckie były może mniej szczęśliwie dobrane w układzie zasadniczym. Np. za duży Czajkowski, którego wszystkie utwory są u nas dobrze znane i często grywane; natomiast za mało „żywej” muzyki radzieckiej, t. zn. za mało „żywych” wykonań dzieł współczesnych kompozytorów radzieckich. Tym bardziej należy żałować, iż znakomity kapelmistrz radziecki Konstanty

Iwanow dyrygował w Krakowie, w ramach festiwalowych, koncertem złożonym wyłącznie z utworów Czajkowskiego, a nie np. VII Symfonią Szostakowicza, którą poprowadził w Katowicach w kilka dni po zakończeniu Festiwalu. Występ Chóru Świesznikowa był niewątpliwie jedną z najbardziej udanych pozycji całego Festiwalu.

Bułgaria dała dwa koncerty: jeden — zespołu wokalnol — instrumentalnego „Kosna Kitka” z Sofii, drugi — symfoniczny, na którym orkiestra Polskiego Radia w Katowicach wykonała kompozycje bułgarskie pod dyрекcją Saszy Popowa i z udziałem prof. Pancho Wladigeroffa (fortepian). Dzięki dobranej dobranej programowi i świetnemu wykonaniu, koncerty te były interesujące i, mimo tak skromnej ilości, wcale niezgorzej reprezentowały muzykę bułgarską.

Audycje polskie były liczne, urozmaicone i ciekawe. Programy koncertów symfonicznych dawały interesujący i dość wyczerpujący przegląd kompozycji polskich doby ostatniej. Brak miejsca nie pozwalał mi na szersze omówienie każdej z nich. Utworem najbardziej dojrzałym i o najlepszym brzmieniu orkiestrowym, wydał mi się koncert skrzypcowy Romana Palestra w znakomitym wykonaniu Eugenii Umińskiej oraz Katowickiej Orkiestry Polskiego Radia pod dyрекcją Grzegorza Fitelberga. Na podkreślenie zasługuje staranność, z jaką te koncerty zostały przygotowane.

Mimo, iż polskie programy miały wiele pozycji doskonałych, interesujących i dla polskiego słuchacza i dla zagranicy, w ogólnym ich układzie oraz w programach poszczególnych koncertów, dawał się wyczuwać brak przemyślenia i koordynacji, o czym nie sposób zamilczeć. Już samo rozmieszczenie koncertów: na 4 koncerty „żywe”, poświęcone symfonicznej muzyce polskiej, trzy miały miejsce... w ciągu pierwszych 24 godzin. Co do doboru i układu wykonywanych na nich utworów również można byłoby podyskutować. Trzeba było przecież wykonać najlepsze kompozycje polskie, a między nimi dać pierwszeństwo kompozycjom o wybitnie polskim charakterze. Tymczasem z utworów Szymanowskiego, który jest największym polskim kompozytorem doby współczesnej, wykonano tylko III Symfonię.

Czyż fragmenty z Harnasiów, oparte na folklorze góralskim, lub choćby Koncert Fortepianowy (IV Symfonia), zasobny w tematykę polską, nie nadawały się bardziej do wykonania na tym Festiwalu?

Poza tym zbyt wiele utworów „modernistycznych”, trudnych do wysłuchania dla szerszego ogółu i nie tak znów wartościowych, aby się z tą trudnością nie liczyć. Owszem, można było, należało nawet dać dwa lub trzy utwory o fakturze nowoczesnej, wybierając najbardziej wartościowe, ale nie trzeba było ich dawać ani pod rząd, ani w ramach koncertu finałowego, przeznaczonego dla jak najbliższych rzesz niewyrobionych muzycznie słuchaczy.

W ogólnym układzie programów polskich brak było współczesnej polskiej muzyki solowej, brak pieśni solowo — estradowych, a przede wszystkim pieśni Szymanowskiego; poza tym niedostatecznie pokazano starą muzykę polską, z której możemy być dumni, i która jest bardzo mało znana; niedostatecznie pokazano przepiękną polską muzykę ludową w jej najczystszej formie, nieskażonej jakimiś niefortunnymi opracowaniami, których musieliśmy wysłuchać na dwóch koncertach krakowskich pod dyрекcją Jerzego Gerta. (Nawiasem mówiąc, koncerty tej, zupełnie nie na poziomie, nowopowstałej orkiestry „rozrywkowej” Polskiego Radia, nie powinny się być znaleźć w programie festiwalowym. A już w żadnym razie nie powinny być być transmitowane na Pragę i Paryż).

Za dużo było „symfonicznych” wykonań Moniuszki, (koncerty i płyty), który nie jest symfonistą, i którego nie starano się wcale pokazać pod właściwą postacią kompozytora operowego. Trzeba było dać choćby kilka fragmentów z jego oper, które przeciętne są z tego, co Moniuszko wniósł do muzyki polskiej najcenniejsze.

Takie były główne braki i usterek programów polskich. Jako najbardziej nas obchodzące omówiliśmy je szczegółowiej; nie znaczy to jednak, iż były one większe lub liczniejsze niż niedociągnięcia programów innych narodowości, oglądanych z tej samej perspektywy. Wprost przeciwnie — w całości programu festiwalowego Polska była godnie reprezentowana.

Na zakończenie musimy jeszcze raz powtórzyć i podkreślić, iż, mimo wszystkich braków i usterek, Festiwal ten był dużym sukcesem artystycznym, ideowym i propagandowym. Nie mówiąc o radiofonach krajów słowiańskich, które odtąd nie jeżdżą już z drogi wzajemnego zacieniania kontaktów i wymian kulturalnych, dowiadujemy się, iż angielskie radio (BBC), które zainteresowało się żywo tym Festiwalem, pragnie transmitować regularnie dwie muzyczne audycje polskie miesięcznie. Podobnie Radio francuskie, które, już w czasie Festiwalu transmitowało kilka audycji. Przed kilku zaś dniami mogliśmy usłyszeć wspaniały koncert węgierski, transmitowany przez Polskie Radio z Budapesztu.

Stanisław Dygat

Alfred Gradstein

## PRZYGODY PUSTEJ GŁOWY

Miałem napisać do świątecznego numeru „Kuźnicy” felieton. Napisałem, ale felieton ów, który rościł sobie pretensje do zjadliwej satyry okazał się zgola niedowcipny, choć za to wysoce pretensjonalny, nie zanosiłem więc go nawet do redakcji, zamiast, wyrzuciłem przez okno, teraz widzę jakiś chłopak na ulicy zrobił sobie z niego gołębia i bawi się; mój felieton wzbija się w górę i opada nagle, zatacza piękne koła, dumnie i z godnością łąduje na chodniku, nie jako pogardzony, zmity, kawałek papieru, ale jako piękny i zwiny gołąb. O! kariera, ot awans!

Tymczasem jednak trzeba napisać nowy felieton i tu zaczyna się bieda: o czym? Tak nagłe, przez północnie z tym gołębiem, raz jeszcze trzeba pisać, a tu głowa pusta, zmęczona tamtym głupstwem, a czas ucieka, o czym do stu piorunów, jak powiada naczelny redaktor, o czym? Pusta głowa, odezwij się, jęknij chociaż, piśnij! Milczy. O pusta głowo, przeklęta bodajby cię kat raczej od-rabiał!



Czyż istotnie taka pusta? Obok beznadziejnej pustki, panicznego wysiłku znalezienia konkretnego tematu, coś tam się po niej leniwie, spokojnie bez wysiłku wałęsa, błąka się i czapie jak tydzień cały pochłonięty pracą człowiek, po domu w niedzielny poranek.

Oh, jak dobrze, jak przyjemnie! Głowa przeczyla się ku oknu, opada bezwładnie na rękę. Jest piękny, jasny wiosenny dzień tej grudniowej soboty. Cóż do diabła, pomyliły się pory roku? A niechżeż się pomyła, niech w naszym kraju zapanuje przez rok cały piękna, jasna wiosna. Wyobraźmy sobie co zaszłyby wtedy Kisiel wypisywać: „Oto do czego doprowadziło bujanie marksistów z „Kuźnicy”! Wiosna i tylko wiosna do znużenia. My z księdzem Piwowarczykiem, który za dobrych zimowych czasów chodziłszy z robotnikami na ślizgawkę, wiemy lepiej od bańdurzących o wiecznej wiosnie marksistów, którzy separują się od społeczeństwa i nawet zdaleka nie widzieli robotnika na łyżwach, wiemy lepiej, że lud potrzebuje łyż do ślizgania się po powierzchni życia, jak niektórzy felietoniści do ślizgania się po powierzchni głębockich problemów. Cóż z tego, że zmarznie i zniechęci. Urządźmy wspaniałą „Pomoc zimową”, a księża na ambonach obiecują każdemu, kto złoży datek, wygodne i luksusowe miejsce w królestwie niebieskim. Ot proszę jaka korzyść: lud dostanie po kilo kotuski i ciepłe skarpetki, a szlachetni mieszczanie wstęp do królestwa niebieskiego. Patrząc, jakie piękne holendry, piruety i trójki skakane wykonujemy na powierzchni spraw życia i śmierci. Precz z wieczną wiosną marksistów!”

Osobiście taki miły chłopak ten Kisiel. Szkoda, że zamknął się w wieży z kości niezgody i strzela z niej w marksistów, naoslep i naopak, tylko ploty sąsiednie dziurawiąc.

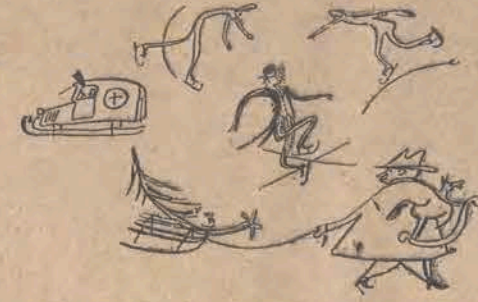


Jest tak ciepło, że warto okna naoszczędzić otworzyć. Idą ulicą roześmiani uczniowie, rozmawiają o twierdzeniu Pitagorasa.

— Suma kątów... w trójkącie prostokątnym...

Jakież to było? Ba, piętnaście lat temu. Nie pamiętam. Wstyd. Trzeba zajrzeć do podręcznika geometrii.

Zachmurzyło się. Nie, to tylko dym z komin przeciwległej fabryki skłębł się i przestonił na moment słońce. Zbliżają się święta. Ludzie już są podnieceni i ruchliwsi niż zazwyczaj. Cień naszego domu rysuje się kształtem okrętu na ślepiu; ścianie budynku fabrycznego. Ktoś wczoraj powiedział coś mądrego i szlachetnego, nie pamiętam, kto, ani nie pamiętam co. Jaka powinna być literatura? Optymistyczna. W przyszłym tygodniu ludzie zaczną chodzić z paczkami, zapamiętali w domowym skupieniu świątecznym, zapatrzeni w jarzące się świeczkami, iskrzące się szklanymi kulami i włosami anielskimi, choinki. Pierwsza gwiazda na ciemniejącym granatem niebie, rodnym caują się, siadają do stołu, milkną na moment swary i niesnaski, które, po zmeczeniu nabytym długim świątecznym zawieszeniem broni wybuchną potem ze zdwojoną siłą. Najbardziej wrzuszający są ci do-rośli ludzie, którzy niosą paczki rysujące się kształtem koni na biegunach, lalek, piątek, niosące lub ciągnące choinki. Dwa lata temu miałem popsute święta: Człowiek z choinką wpadł pod tramwaj. Przez całe święta myślałem o nim. To nie było w porządku. Ludzie z choinkami nie powinni wpadać pod tramwaj.



Jaka ma być literatura? Dobra. Wydaje mi się, że u nas w Polsce literatura jest dobra. Mimo to żyćce Kottowi wesolych świąt. Wszystkim życząc dobrych, optymistycznych świąt. I teatry są dobre i „Film Polski” będzie kiedyś dobry i muzyka jest dobra i malarstwo jest dobre, pozdrawiam wszystkich przyjaciół malarzy z Sopotu. Wierzę w literaturę optymistyczną. Optymizm: wiara, że wszystko co nie jest dobre, nadaje się do naprawienia. Oprócz mojej zapalniczki. Nieszczęście! Jest pierwsza godzina. Przebataganielem czas, już nie zdążę napisać felietonu. Trudno. W grudniu wałęsa się ulicami wiosna, pięknie, dobrze i optymistycznie na świecie. Kisiel zlamie na ślizgawce nogę. Wesolych świąt.



STEFAN ŻÓLKIEWSKI

## „Najlepsza droga nie jest równoznaczna z najłatwiejszą drogą”

**N**ALEŻY oczekiwać, że ta niepowiedziona książka będzie wielokrotnie omawiana w naszej prasie. Jej wielorakiej i bogatej treści, odzwierciedlającej historię politycznej i ideologicznej walki o demokrację ludową w ciągu ostatnich pięciu lat, nie zdoła wyczerpać jedna recenzja. Z konieczności poszczególne omówienia muszą się wzajemnie uzupełniać.

Książka tow. Wiesława to książka wielkiego świadka polskich współczesnych dziejów, „...quorum pars magna fuit.” trzeba dodać parafrazując nieco znany zwrot z Eneidy.

Osobny rozdział tej historii współczesnej, to dzieje inteligencji polskiej.

Będzie chyba rzeczą zupełnie naturalną, że recenzent „Kuźnicy” zreferuje szerzej co książka Władysława Gomułka przynosi w tej sprawie.

„Obserwując uważnie, pisze autor, rozwój i kształtowanie się sytuacji politycznej w Polsce od pierwszych chwil naszego wyzwolenia aż po dzień dzisiejszy, nie trudno jest stwierdzić że przez cały ten okres trwa w Polsce bez przerwy zafarta, ostra walka pomiędzy zjednoczoną demokracją polską a różnobarwną reakcją. Walka twórczych postępowych i rozwojowych, czyli demokratycznych sił społecznych z siłami wstępnymi, czyli reakcyjnymi nie jest walką nową. Walka ta była i jest walką klasową, walką o przemiany i reformy społeczne, walką o władzę. Świat pracy, a szczególnie świat pracy na, emne jest tym czynnikiem społecznym, który przez walkę swoją ze światem wielkich posiadaczy wnosi do życia społecznego twórcze pierwiastki postępu” (str. 189. I).

Na tym tle przede wszystkim rozważa autor problem inteligencji polskiej. Problem jej stosunku do sił postępu i sił zacofania. Sprawą przyszłości Polski i przyszłości inteligencji jest, aby ta ostatnia znalazła się w obozie demokracji: „Nasza polska demokracja — jest demokracją dynamizmu ludowego i radykalizmu społecznego; jest demokracją wyzwolenia wielkiego potencjału twórczego i postępowego mas ludowych w mieście i na wsi; jest demokracją, która zrodzona została w krwawej walce z niemieckim najeźdźcą prowadzonej wbrew stanowisku reakcji i współpracujących z nią „londyńczyków”, jest demokracją, która wyrosła i zahartowała się w walce z reakcją i na swych szczytach, na białoczerwonym sztandarze wyzwolonej Polski wypisała hasło: „Prawa i swobody demokratyczne dla wszystkich prócz wrogów demokracji” (s. 188. I).

Spółeczną podstawą tak pojętej demokracji jest sojusz robotników chłopów i pracowników umysłowych. (s. 200. I).

Rola inteligencji w tym sojuszu jest szczególnie ważna. Grupa ta bowiem z racji swych kwalifikacji spełnia funkcje właściwego twórcy wartości kulturalnych, zadaniem jej jest także formułowanie dążeń ideologicznych społeczeństwa. To też już w grudniu 1943 w historycznym „Manifestie demokratycznych organizacji społeczno-politycznych i wojskowych w Polsce”, który przygotował stworzenie KRN pisał Władysław Gomułka: „Uczni! Na Was więcej aniżeli na kim innym ciąży obowiązek wskazania drogi narodowi. Wy dalej i głębiej możecie widzieć to, co lud tylko wyczuwa. Bądźcie dobrymi i szczerymi przewodnikami ludu w tej jego drodze ku przyszłej Polsce, gdyż droga ludu winna być Waszą drogą” (s. 53. I).

Inteligencja ekonomicznie należąca do świata pracy, była często związana z kapitalizmem ideologicznie. Dlatego też jej jedyna, najlepsza droga, droga do demokracji nie była i nie jest najłatwiejsza. Autor to dostrzega. Wiosną 1946 r. pisał: „Ten stałe wzrastający w szeregach inteligencji proces zrywania ze starą reakcyjną ideologią i odchodzenia od niej w momencie, kiedy reakcja i jej organizacje doprowadziły do zenitu propagandę przeciwko idei Polski Ludowej, kiedy bandyckim i kaimowym mordem chcieliby zawrócić Polskę wstecz — jest dobitnym dowodem siły, prężności i słuszności naszej idei. Dlatego do naszych szeregów stale przybywają uczeni pisarze, inżynierowie i ekonomiści, architekci i nauczyciele, aby swoim talentem, myślą badawczą i rzetelnym wysiłkiem wzmocnić twórczy ruch demokracji ludowej”.

Tym niemniej pozostaje dzisiaj jeszcze faktem, że nie mało ludzi z szeregów inteligencji, niemało tych, którzy ideologicznie i materialnie związani byli ze starym aparatem władzy reakcyjnej, podjęło walkę z Rządem i demokracją polską podburzając inne elementy w narodzie. Ci, którzy pozostają jeszcze poza procesem ideologicznego zrywania z reakcją, czują się w Polsce demokratycznej wyłączeni tak samo jak obszarnicy i kapitaliści.” (s. 49. I).

Ukazuje nam więc autor los i drogę inteligencji polskiej z jednej strony na tle współczesnej walki, klasowej, z drugiej na tle współczesnej polskiej sytuacji ideologicznej. To ostre widzenie trudnej prawdy socjologicznej pozwala autorowi przekonywująco i stanowczo wytknąć drogę inteligencji, jak mówiłem najlepszą — nie najłatwiejszą.

\*) Władysław Gomułka (Wiesław): W walce o demokrację ludową. (Artykuły i przemówienia) „Książka” 1947, 2 tomy str. 332+269.



Władysław Gomułka

Fot. J. Korecki

Właściwym przewodnikiem inteligencji będą tu produkujące oddziały klasy robotniczej, najbardziej świadome. To znaczy partie polityczne. Poddanie się ogólnemu, politycznemu i ideowemu przewodnictwu partii — nie jest oczywiście jednoznaczne z należeniem do partii. Po strasnym doświadczeniu faszystowskim inteligencja wszystkich krajów Europy wyraźniej i bardziej masowo niż kiedykolwiek poczęła się skupiać wokół partii robotniczych. Komunistyczna Partia Francji organizacja milionowych w tym kraju mas robotniczych, szczyt się świętymi nazwiskami uczonych i pisarzy, którzy są jej członkami, nie bez racji nazywana jest często także partią inteligencji francuskiej. Ruch robotniczy i jego organizacje przyniosły po wojnie inteligencji, pisarzom, uczonym i artystom ratunek przed samotnością, rozpaczą i niewiedzą. Dekadentka kultura ginącego kapitalizmu zerwała związki między twórczą jednostką a społeczeństwem, narzucała jej filozofię zmierzchu wszystkich wartości, katastrofy cywilizacji, podważała zaufanie do twórczych sił rozumu ludzkiego. To ruch robotniczy i jego ideologia marksistowska przeciwstawiła się tym wszystkim tendencjom. Inteligent w związku z ruchem robotniczym odnajduje swój związek z masami, odnajduje perspektywę obrony kultury przed antyhumanistycznymi siłami odnajduje prawdziwie nowoczesny naukowy pogląd na świat, wyrastający z najbardziej postępowych tradycji myśli ludzkiej, Polska Partia Robotnicza, której ideologie reprezentuje w swej książce Władysław Gomułka, od chwili powstania uważała się także za partię inteligencji polskiej. W przemówieniu kończącym I Zjazd Partii w 1945 roku Władysław Gomułka mówił wyraźnie: „Zależy nam na tym, aby zdobyć inteligencję” (s. 320. I).

A dalej mówił w tym samym przemówieniu: „...jest wśród inteligencji grupa czy warstwa, część inteligencji, na którą — rzecz jasna — liczyć nie można, która jest związana z reakcją, ze starym światem, który jest jej mózgiem ideologicznym. Tej części my zdobyć nie chcemy i nie zdobędziemy. Ale jest wśród szerokiej mas inteligencji grupa najszerza, która nie jest zdecydowana, która jest niezadowolona, ale nie jest w gruncie rzeczy reakcyjna. My, jako partia robotnicza, jako partia produkująca, musimy pomóc tej inteligencji w przezwyciężeniu jej wahań” (s. 319—20. I).

Warunki historyczne sprzyjają temu sojuszu, tej współpracy. „Jesteśmy świadkami wspaniałego rozwoju, demokratyczno-rewolucyjnego ruchów społecznych w Europie i wzrostu siły partii politycznych stojących na ich czele. W kilku krajach, w których do niedawna partie komunistyczne były nielegalne i działały w podziemiu bądź też działając legalnie, nie znajdowały szerszego poparcia i posłuchu wśród narodu, wrosły dzisiaj do potężnej siły, stały się pierwszymi partiami w narodzie. Niedawno jeszcze partie te nie miały żadnego wpływu na politykę państwową, a dzisiaj w wielu krajach nie podobna jest rzadzić bez ich udziału.

Jakże wytłumaczyć sobie to zjawisko? Dlaczego w szeregi tych partii wstępują miliony robotników i chłopów, garnie się masowo inteligencja pracująca, śpieszą gromadnie pod ich sztandary profesorowie, inżynierowie, lekarze, literaci, artyści. Dlaczego idą ludzie wiedzy i nauki?

Nie trudno jest znaleźć wytłumaczenie tych faktów.

Coraz więcej ludzi na świecie nie chce już dłużej żyć po staremu. Pragnie tworzyć nowe życie. Masy ludowe i całe narody mają

wiele powodów do niezadowolenia ze starego świata, ze starych stosunków społecznych. Świat stanął na przelomie swego dziejowego rozwoju.

Nie podoba się coraz większej masie szarych ludzi pracy, coraz większej liczbie narodów to, że siły starego świata rzucają ich na rzeźnię wojenne, na śmierć i cierpienia.

Nie podoba im się to, że dorobek ich pracy i dorobek pracy całych pokoleń zamieniony jest w zgłiszczą i gruzy, że muszą wskutek tego cierpieć niedostatek, brak żywności, odzieży, obuwia i mieszkań.

Nie podoba im się to, że lwia część ich pracy, zamiast służyć dobru ludzkości, przeznaczona jest na produkcję środków mordu i zniszczenia, że owoce ich pracy przyswajają sobie właściciele narzędzi produkcji, że eksploatują ich siłę roboczą, że nigdy nie mają pewności, czy jutro nie zostaną wyrzuceni na bruk ze swoich warsztatów pracy jako ofiary kryzysów gospodarczych.

Nie podoba im się to, że będąc twórcami wszelkich dóbr materialnych, będąc wszystkim w znaczeniu siły poruszającej całe życie gospodarcze, które umożliwia funkcjonowanie wszystkich innych dziedzin życia — byli dotychczas niczym, gdy stawała sprawa decydowania o biegu i rozwoju tego życia, o polityce państwowej, o rządach w kraju.

Nie podobają im się stosunki klasowe, na gruncie których to wszystko wyrasta, nie podoba im się taki system społeczny.

To niezadowolenie ze starych porządków społecznych ogarnia nie tylko klasę robotniczą świata, lecz również coraz szersze masy pracujące w mieście i na wsi.

W szeregach niezadowolonych staje obok robotnika urzędnik, chłop i rzemieślnik, naukowiec i publicysta. W szeregach tych znikają różnice wyznań religijnych, stają obok siebie wierzący i bezwyznaniowci, materialiści i idealisci.

Wysoko zbiera fala niezadowolenia ze starego świata i coraz donioślejszego się protest milionów przeciwko usłudze zbrodniom, przeciwko krzywdzie i niesprawiedliwości społecznej.

Świat cały stanął na przelomie swego dziejowego rozwoju. W czerwieni wielkiego morza krwi narodów, przelanej w drugiej wojnie światowej, zakwitła i purpurowieje wiosna nowego świata i nowego życia rodzącego się w bólu i w męce.

Pod wpływem straszliwych skutków wojny światowej nastąpił głęboki przełom w ustosunkowaniu się narodów do rządzących nimi systemów społecznych. Dwie wojny światowe, dwa straszliwe kataklizmy dziejowe, które przypadły na jedno pokolenie narodów świata, nie mogły przeżyć bezkarnie dla tych, którzy je spowodowali i ponoszą za nie odpowiedzialność.

Narody uświadamiają sobie przy tym coraz głębiej, że nie tylko pojedynczy ludzie, stojący na czele rządów i państw, są winni wojen. Winien jest bowiem cały system społeczny, który ludzie ci reprezentują i w imieniu którego podejmują decyzje wojen.

Pojedyncze jednostki mogą mieć i mają nieraz wielki wpływ na bieg wypadków dziejowych, lecz nie mogą ich przesądzać. Jednostki takie nie mogą działać za system społeczny, nie mogą stać ponad tym systemem, nie mogą zastępować tego, co składa się na pojęcie stosunków społecznych między ludźmi.

Wojny wybuchają nie dlatego, że ludzie są źli, że są zbrodniarzami ze swej natury, lecz dlatego, że system społeczny jest zły, że zły są kapitalistyczne stosunki produkcyjne, że w naturze takich stosunków tkwi zbrodniczy pierwiastek wojny, przy stosunkach społecznych,

opartych na społecznej, unarodowionej własności narzędzi i środków produkcji, wojny stają się niemożliwe. Nie leżą one bowiem w naturze, w charakterze takich stosunków.

Świadomość tego faktu, że system wielkokapitalistyczny, że dyktatura kapitału monopolistycznego — który przecież jest ojcem faszyzmu — wypycha narody na drogę wojen, sprowadza wielomilionowe masy pod sztandary partii komunistycznych i socjalistycznych.

Siła, zorganizowana pod tymi sztandarami, jest najlepszą gwarancją uniemożliwienia nowej wojny i zabezpieczenia się przed nią na przyszłość.” (s. 183-195 II).

Tylko zorganizowany ruch masowy zmienia system, który zagraża pokojowi, pracy, kulturze. Twórcą kultury najdroższą jest sprawa obrony zagrożonej kultury. Nie trzeba nic już dodawać do cytowanych wyżej słów autora, by jasno pojąć, że miejsce inteligencji jest po stronie partii robotniczych i ich polityki.

Polityka ta jest polityką szerokiego frontu demokratycznego. Podwaliny tego frontu położone zostały jeszcze w czasie okupacji. Władysław Gomułka pisał w 1944 „Demokratyczny Front Narodowy, o który walczą nasze partie nie oznacza jakiegos zniżonego kompromisu klasowego. Wprost przeciwnie — wyklucza taki kompromis, zastępuje go jednością działania przeciwko reakcji wszystkich robotników, chłopów, inteligentów, wszystkich warstw pracujących miast i wsi. Interesy tych warstw, ich dążenia społeczne są zasadniczo zbliżone, zatem i wysiłki ich winny być wspólne. Treścią demokratycznego frontu narodowego jest więc jedność działania, jedność wysiłku wszystkich zbliżonych do siebie warstw i klas społecznych, tak w walce z hitleryzmem a wyzwolenie Polski, jak też w walce z rodzimą reakcją o silną demokratyczną Polskę” (s. 117. I).

Troska o interesy inteligencji przebiega i wielu stron książki. Najpełniejszy jej wyraz mamy w programowym przemówieniu z 1943 r.: „Chcemy budować i budujemy dom dla wszystkich ludzi pracy umysłowej, dla całej inteligencji, w którym nikt nie będzie wyzyskiwał ich pracy ani też spaczał wiedzy i nauki. Chcemy, by w tym domu, którego budowniczym jest dzisiaj również produkująca część inteligencji i naukowców, związać i scalić raz na zawsze świat nauki i pracy umysłowej ze światem pracy fizycznej, by wiedza i nauka stały się potężną dźwignią rozwoju społecznego, by służyły tylko interesom ludu pracującego. Tylko w takim domu może rozkwitnąć nauka i postęp, może rozwijać się inteligencja i może w nim być rzeczywistym współgospodarzem” (s. 326. I).

Gdy uprzytomimy sobie to wszystko co historycy i socjologowie pisali o przeszłości dalszej i bliższej naszej inteligencji, zrozumiemy, iż droga, którą wskazuje Władysław Gomułka nie jest najłatwiejszą. Przeciwnie, wymaga ona radykalnego zerwania z dotychczasową separacją społeczną i kulturalną naszej inteligencji od mas ludowych, wymaga zerwania z wieloma zakorzenionymi nawykami inteligencji obyczajowości i inteligentckiego stylu życia.

Ale ten przełom jest konieczny, inteligencja musi wejść na nową drogę.

Wymaga tego odnowa, odrodzenie, przeobrażenie kultury polskiej. To jest zadanie inteligencji. Kulturę kształtują stosunki społeczne, ale i odwrotnie — kultura wyciska swe piętno na stosunkach społecznych narodu” (s. 65. II). Zmienione stosunki społeczne w Polsce wymagają przeobrażenia stosunków kulturalnych, aby istotnie urzeczywistnił się wypracowywany przez społeczeństwo nowy, demokratyczny styl życia.

Polska przesunięta na Zachód musi w swych nowych granicach stać się organiczną całością. „Bez odnowienia kultury polskiej, mówi autor, zadania tego nie wykonamy” (s. 64. II).

W książce Gomułka znajdziemy w zasadniczych rysach program odnowy kulturalnej.

„Tak jak człowiek może znaleźć sens swego życia tylko w społeczeństwie i dla społeczeństwa, tak samo kultura żyje i rozwija się jako wykwit życia narodu i przez swoją służbę dla narodu...”

„...Może być dźwignią jego rozwoju, wzmocnić jego żywotność i dynamikę lub też, gdy sama zastyga w rozwoju, gdy pewne jej substancje przestają się regenerować, zastyga rozwój narodu...”

Twórcza istota kultury wyraża się w takim kształtowaniu oblicza duchowego narodu, które daje przewagę młodym twórczym pędem” (s. 66-7. II).

Konkretnie: należy szarmonizować treści kulturalne z nowymi dążeniami politycznymi i społecznymi Polski.

Aby zrealizować te wskazania wystarczy uczciwe zrozumienie sensu współczesnego życia polskiego. Słusznym jednak będzie sięgnięcie po twórcze idee podniety do filozofii marksistowskiej: „...marksizm przestał być... ideologią przeznaczoną tylko dla robotników i wszystkich najemnie pracujących, a stał się ideologią narodową, ideologią wyrażającą interesy i dążenia olbrzymiej większości narodu” (255. II).

Treść rozważań Władysława Gomułka nad problemem inteligentkim jest daleka od tego wszystkiego co mówili mieszczańscy pisarze. Droga, którą wskazuje jest nowa. Dlatego nie jest najłatwiejsza. Trzeba jednak, by wszyscy dobrze przemyśleli jego książkę i zrozumieli, że jest to droga najlepsza.

Stefan Żółkiewski



RYSZARD MATUSZEWSKI

## POEZJA OPTYMISTYCZNA \*)

SZKODA, że świetne wiersze Jerzego Zagórskiego nie ukazały się w zbiorze czy też w wyborze równie pełnym, co poezje większości wybitnych naszych liryków współczesnych: tomik wydany przez Sp. Wyd. „Książka” p. t. „Wieczór w Wieliszewie” jest szczupły i przypomina w nim garść utworów przedwojennych poety, rozbitych burzącym chronologię i nie bardzo zrozumiałym układem między trzy części zbioru, nie pozwala odtworzyć sobie drogi twórczej Zagórskiego tak, jak to uczynić mogliśmy przy lekturze „Ocalenia” Miłosza, wierszy wybranych Jastruna czy Ważyka. — Ułatwiający wprawdzie to zadanie umieszczone przy każdym wierszu daty, wystarczy jednak wziąć dwa przedwojenne zbiorki poety: „Przyjście wroga” (1934 r.) i „Wyprawy” (1937 r., pierwszego „Ostrza mostu” z r. 1933 niestety nie posiadam pod ręką), aby stwierdzić, jak mało zechciał ze swej dawnej twórczości ocalić sam autor. Mamy tu ogółem siedem utworów z epoki zamkniętej wydaniem „Wypraw”: cztery z nich reprezentują ów ostatni, najdoskonalszy z przedwojennych tomów poety, trzy — to epoka najdawniejsza, lata 1929 — 1931. Okres „Przyjścia wroga” został całkowicie pominięty.

Nie tylko na tle pokolenia swych rówieśników, ale na tle całej współczesnej literatury polskiej, Zagórski wydaje się jedną z najbardziej niezwykłych indywidualności poetyckich. Nawet tam, gdzie wraz z owymi rówieśnikami wyraża w sposób jeszcze młodzieńczy bardziej głos pokolenia, niż nierozwinięte narazie własne możliwości, jest od swych towarzyszy dość zdecydowanie różny, a jego niepokojąca wyobraźnia błędną częścią odmiennymi szlakami niż te, które toruje wspólna estetyka pokolenia. Można by ograniczyć się do stwierdzenia, że z tych wszystkich uchodźców w krainie nieokreślonej fantazji ma on nogi najdłuższe, po prostu buty siedmiomilowe. Szybko dochodzi do granic, poza które przekroczyć już nie można — granic fantastyki absolutnej. „Przyjście wroga” mógłby z powodzeniem uznać za własny utwór St. Ign. Witkiewicza. Nie tylko on jednak jest patronem dawnego Zagórskiego. Kiedy przeglądam wiersze owego, skazanego dziś przez poetę na niepamięć tomu, uderza podobieństwo ich mistyfikatorskiej egzotyki do wcześniejszych o lat niepełna dziesięć utworów Ważyka z tym, że powódź wyobraźni zaatakowała tu jeszcze ostrzej rezerwy naszej wrażliwości. Sens tego zestawienia, które częściowo tłumaczy pewną wspólność źródeł poetyckiej inspiracji — te same związki z Apollinarem i nadrealistami — leży przede wszystkim w tym, że tak jak Ważyk w dzisiejszej swej poezji wyraźnie ustala swój stosunek do własnej przeszłości, podkreślając drwiąco-mistyfikatorski charakter przedwojennych wierszy, podobnie i Zagórski stoi wyraźnie na stanowisku, że akt tworzenia poetyckiego nie zawsze wynika z postawy zupełnej serio.

Jesteśmy tu u źródeł jednego z najcharakterystyczniejszych być może elementów poezji Zagórskiego: u źródeł dość niezwykłego rodzaju humoru poety, którego przejawy w niewielkiej zresztą dawce odnaleźć można na kartach wierszy ocalonych w obecnym wydaniu. Choć jednak ten humor, humor czystego nonsensu, łatwiej wytopić w utworach wyeliminowanych przez poetę z tomu, stanowiącego przede wszystkim dokument okresu wojny, nie wydaje mi się, aby bez podkreślenia tej cechy można było analizować twórczość poety.

Humor Zagórskiego jest naogół różny od humoru poetów, którzy lirykę łączą z akcentami satyry. Nie krywie zwierciadło rzeczywistości, ale całkowite znaczenie jej elementów, jak w celowo źle złożonej dziecinnej lamigłowie tworzy tu obraz, który poetę cieszy:

Lulaj dziecko, hulaj noga. Twój ojciec  
Właśnie jedzie na dzikim wielbiądzie.  
W kapeluszu płaskim panama  
Po płonącym afrykańskim ładzie.

Wnikliwie uwagi Irzykowskiego o związkach metafory i dowcipu znajdują w wierszach Zagórskiego doskonałą ilustrację. Humor przejawia się tu w grotesce, ale nieco inaczej niż np. u Gałczyńskiego. U Gałczyńskiego groteska rozbiła każdy atom sensu i właśnie rzeczy powiedziane z intencją serio stają się jakąś teatralizacją, nastrojową pozą aktora — dekadentą. Z groteski Zagórskiego wynika nagle i niespodziewanie obraz świata, który poeta wielbi i aprobuje. U podstaw całej twórczości autora „Wieczoru w Wieliszewie” leży bezwzględna afirmacja świata, głęboki optymizm, interpretowany przez Zagórskiego metafizycznie, co jednak nie odbiera jego widzeniu ani plastyki ani wyrazistości. Nie pierwszy raz przychodzi stwierdzić, że w liryce to, co mogliśmy rozumieć pod kategorią realizmu najdoskonalej godzi się z najskrajniejszą fantastyką. — Z najskrajniejszej fantastyki, z najodleglejszych metafor może wyrastać obraz prawdziwy, a ze strof najklasycystycznych i najkonsekwentniejszych — świat kłamliwej urody. Cały symbolizm Mallarmego i Valery’ego z ich aluzyjną poetyką jest takim zaprzeczeniem poetyckiego „realizmu”, który krzyczy z najdziwniejszych strof Rimbauda i Apollinaire’a. Dlatego nie dziwi

nas ani zwrot w poezji Ważyka, ani połączenie u Zagórskiego najskrajniejszych ekstrawagancji i dziwactw z najwyższą konkretyzacją realistycznej obrazowości w wierszach takich, jak przedwojenny „Zoliborz”, późniejsze — „Wieczór w Wieliszewie” czy „Psalm”.

Zagórski wydaje się z pośród poetów wieloletnich najmniej obciążony przez poetykę symbolizmu: i do rzeczywistości, i do fantastyki ma stosunek najbardziej bezpośredni, jednoznaczny, choć niewątpliwie metafizyczny pogład na świat, który wznaję, każe mu inaczej oceniać ich wzajemne proporcje niż np. Ważykowi.

Tom „Wieczór w Wieliszewie” zawiera dużo bardzo pięknych wierszy. Nie dziwię się, że autor nadał całemu zbiorowi tytuł utworu, którego treścią jest opis sosnowego lasu w małej podwarszawskiej miejscowości w okolicach Legionowa. W opisie tym jak kilka lat przedtem w opisie warszawskiego Zoliborza umiał poeta zamknąć zadziwiająco żywy i przestrzenny obraz przyrody, mistrzowsko łącząc skupienie uwagi na bardzo konkretnych i malarskich szczegółach, a jednocześnie na bardzo szerokiej, pełnej oddechu perspektywie. Przyroda z historią łączy się tu w jedną, humanistycznie przetworzoną całość. Te same walory mają piękne sonety o Bielanych, topolach nad Wisłą i o Warszawie, pisane w latach 1939 i 1945. Jako Zoliborzaninowi niech mi wolno będzie wyrazić poecie osobistą wdzięczność za uwiecznienie topoli na wysepce pośrodku jezdnicy Wybrzeża Gdynińskiego i za ów, widoczny z tramwaju, którym obaj jeździliśmy, strzęp atyki spalonego pałacyku na Młodowej, gdzie „pół trąby trzyma anioł” z wiersza „Psalm”.

Geografia odgrywa ważną rolę w twórczości Zagórskiego, zwłaszcza w okresie wojennym i powojennym, gdy dawna fantastyka astralno-kosmiczna ustępuje miejsca wzruszeniom o bardziej rzeczywistym podkładzie. Większa część wierszy związana jest z określonymi miejscowościami, co wpływa również na ogólne wrażenie konkretności obrazów i wzruszeń. Warszawa i jej okolice, Podkarpacie, Kraków, wreszcie miasta Belgii i Włoch (oglądane w powojennej już podróży — oto itinerarium poety. Ciekawe, że Zagórski odwrotnie niż Aleksander Rymkiewicz

najmniej miejsca poświęca okolicom swej młodości. Odnajduje je tylko wśród fantastycznych polarnych tun, jako „cudowny mił nad piękną rzeką Zejmianą”, opowieść z lat młodości, bajkę o podróży do bieguna („Jedna podróż”). Skądinąd wiem, że nie jest to ślad jedyny i żałuję, że poeta uznał za konieczne wylądować np. zachowany w mych rękach piękny wiersz o Wili, „błękitnej to siwej o brzegach wyciętych z ballad”, gdzie po mickiewiczowskich opisach zielonych wybrzeży

...nagle jak w mgłach jezioro, tak w  
puszczy błyska fabryka,  
terpentyniarnia jakaś — przemysł sadzo-  
ny od wieka,  
Jak ponad chwałą przyrody przelotny  
triumf człowieka  
co z nowym potykiem prądu za rzeki za-  
krętem znika”.

Zagórski umie pochwycić i poetycko umiejscowić motywy, dotąd nie wygrane, konwencjonalny opis przyrody ożywić elementem prawdy wynikającej z humanistycznej interpretacji rzeczywistości. Poezja jego nie ucieka od realiów, znajdujemy w niej nazwiska żyjących ludzi i aktualność bieżących wydarzeń, nie w tym stopniu może, co niegdyś u Majakowskiego, ale w stopniu większym, niż to zazwyczaj czynią nasi poeci. Jest w tym śmiałość wprowadzania motywów nieosiłanych przez konwencję. Za przykład służyć mogą choćby strofy wiersza „Wiosna w Krakowie”. Subtelny humor, w tym wypadku nieco przypominający mi lebertowską „Piosenkę do Warszawy”, jest tutaj tarczą, chroniącą przed atakami dysonan-su, postrachu estetyów.

Poezja Zagórskiego jest zdobywczą i nowatorską gdyż mówi nam wiele o otaczającym nas świecie, o przyrodzie, historii, człowieku. Jest poezją pełną świeżości i siły, choć niekiedy wydaje się ekscentryczną i jak gdyby chropawą. Jest w niej szeroki oddech i prostota, nie ma manieri wywyższającej tak często pretensjonalnym poszukiwaniem nowych form poetyckiego wyrazu. Jest wreszcie wielką kulturą pozwalającą autorowi przetwarzać poetycko kruszec surowego tematu, żywo reagować na harmonię kształtów sztuki i skomplikowane zjawiska cywilizacji. Wystraszona wrażliwość



Jerzy Zagórski

i spostrzegawczość sprawia np., że w wierszu takim, jak „Dowidzenia Brugges” żyje stara Flandria, plótna Van Dycka, Memlinga i Rogera van der Weyden. Czytając „Postawie” poety, kłamrą zwycięskiej afirmacji świata i jego wartości zamykając tom, umiemy się z postawą jego zsolidaryzować, choć wysnuta jest z innych niż nasze przesłanki.

Komu ten czas spokojną mową  
pozwoli przeżyć w muzyki szum  
rozegrał życia już połowę  
i siwa skroń nie gorzka mu

Ale i ten, co z niepokojów  
nieuciszony dobył krzyk  
w radości pogoni uśmiech stroi  
i w śpiewie swym nie będzie milki

Tedy kochany czytelniku  
jak ciężkie hanfle światy dwa  
dźwignijmy w górę, dając przykład  
jak mimo trud się w pięknie trwa

Jest w tym pogodnym wezwaniu zamknięta bowiem również, oparta o trwale humanistyczne wartości, wiara w lepszą przyszłość świata.

Ryszard Matuszewski

EWA KORZENIEWSKA

## Nowa powieść Rembeka

STANISŁAW REMBEK w swej nowej powieści „Wyrok na Franciszka Kłosa” podjął ambitne i różnokierunkowe zamierzenia. Zainteresowała go psychika wykołajca i alkoholiaka, który jako granatowy policjant sprzeniewierza się swoim obowiązkom Polaka i z całym oddaniem służy Niemcom i rozmaitym Volksdeutschem. Obok tego, a właściwie gdzieś na drugim planie rozwija się problematyka innego typu — polityczna i społeczna. Autor zmierza do przedstawienia życia jeannego z matych miasteczek w okresie okupacji. Pragnie pokazać jednolitość opinii publicznej, potępiając zdradźców i dać obraz okrucieństw niemieckich i straszliwego nigdy niezapomnianego terroru. Zarysowuje się tu równocześnie zamiar przedstawienia tych wydarzeń i ich oceny, co jest zresztą nieodzownym warunkiem pisarskiej uczciwości wobec okresu okupacji.

Dotychczasowa twórczość autora „W polu” pozwalała spodziewać się, że Rembek podola tym ambitnym i śmiałym zamierzeniom. Stało się nieco inaczej i to z przyczyny dość dziwacznej. Oto po prostu Franciszek Kłosa nie dorósł, bo nie mógł dorósł do swej roli „bohatera” powieści z okresu okupacji, co stanowi jakąś wewnętrzną tragedię książki. Nie wystarczy bowiem mianować kogoś „bohaterem”, wysunąć go na czoło akcji i zainteresować czytelnika, aby stworzyć prawdziwego „bohatera” powieściowego. Problem jest o wiele bardziej skomplikowany i dotyczy nie tylko sposobów konstruowania postaci, ale ich „kwalifikacji wewnętrznych”. Centralna postać powieści musi odpowiadać jakimś kryteriom pozaliterackim (etycznym, społecznym itp.), aby zasługiwać na swą czołową rolę. Może być wysoce moralna, lub wyraźnie zbrodnica, może nawet być bardzo przeciętnym „szarym człowiekiem”, ale pod warunkiem, że ta przeciętność będzie sympatyczna i typowa.

W utworach o problematyce politycznej czy społecznej racjonalna motywacja wyboru „bohatera” jest sprawą niezmiernie doniosłą. Decyduje nie tylko o sensie problematyki, ale i o wartości artystycznej powieści. W wypadku powieści psychologicznej rzecz wygląda nieco inaczej, gdyż kryteria wyboru mogą być inne i często decydują tu będzie nie jakość charakteru, lecz tylko jego skomplikowanie czy niezwykłość. Rembek stosował tę drugą, właściwą powieści psychologicznej zasadę wyboru. Zainteresowała go postać Franka jako alkoholiaka i w pewnej mierze degenerata. Symptomatyczność Franka wkracza wyraźnie w dziedzinę psychopatologii, wynika z jego alkoholizmu, który doprowadza nieszczęsną ofiarę do chorobowych stanów zwidów, majaczeń i kom-

pletnej niepoczytalności. Oczywiście autor ma prawo tym się zajmować a oświelenie „zakamarków psychicznych” z tego punktu widzenia może być nawet bardzo pouczające. Prawdziwie niebezpieczeństwo dla powieści tego rodzaju jak „Wyrok na Franciszka Kłosa” stanowi dopiero fakt, że wszelkie czyny Franka są w ten sposób jakoś usprawiedliwione. Człowiek niepoczytalny nie odpowiada za swe czyny, więc może nie jego winą była zdrada. To jest niebezpieczeństwo, które godzi w istotny sens problematyki. Obok tego — co jest nie mniej ważne, — postać Franka rozbija konstrukcję powieści. Rembek nie pozostaje bowiem na problematyce psychologicznej czyniąc żalostnego wykołajca „bohaterem” powieści o ambi-cjach znacznie rozleglejszych. Książka Rembeka ma być przekrojem okresu okupacyjnego, chce pokazać okrucieństwo systemu niemieckiego, destrukcyjną rolę jednostek wykołajonych i szlachetną postawę społeczeństwa, której widomym znakiem są ciągłe wyroki śmierci na szpiegów i zdradźców. Autor nie może pokazywać tych spraw i życia okupacyjnego za pośrednictwem postaci takiej jak Franek. Groziłoby to bowiem straszliwym zniekształceniem i najzupełniej wadliwą oceną tamtej rzeczywistości. Musi jako autor i jako człowiek o wyraźnej postawie moralnej zająć inne stanowisko. Stąd wynika dziwna konstrukcja powieści. O przeżyciach Franka autor opowiada kryjąc się całkowicie w cieniu wszechwładcy pisarskiej. Przedstawia „od wewnątrz” niesamowite majaczenia swego bohatera, odsłania tajne sprężyny hańbiących czynów, których motywacją jest poczucie służbiwości i ciągłe narastający strach przed śmiercią; ten lęk, który każe Frankowi mordować i który doprowadza go skruszonego do stóp ołtarza, lęk, który niczemu nie jest w stanie zapobiec, a czyni zeń zdradę i jakoś zdaje się usprawiedliwiać korne czolganie się przed siłą.

Obok tego sposobu przedstawiania wydarzeń i przeżyć pojawia się i inny. Autor wprowadza postać narradora. Jest to ktoś, kto w formie własnych spostrzeżeń opowiada o tamtej rzeczywistości. Narrator jest postacią bardzo niepozorną i mało zorientowaną w skomplikowanych sprawach okresu okupacji. Ocena wprawdzie krytycznie postępowanie Kłosa, krytycyzmem t. zw. opinii publicznej, ale stoi na uboczu wszystkich istotnych spraw. Nie orientuje się w działalności „podziemi”, najwiecej obserwuje fakty, jest echem wszechwładzącej plottki. Postać ta, której nie chciałoby się uważać za głos przekonań Rembeka, nie jest ani rozbudowana ani ciekawa wewnętrznie. Jest pewnego rodzaju

„chwytem” kompozycyjnym, który ma umożliwić autorowi pokazanie problematyki politycznej i społecznej. W ten zupełnie nieharmonizowany sposób współistnieją w powieści dwie zasady kompozycyjne. Przejście od jednej do drugiej są całkowicie nieoczekiwane — nie wyznaczają ich uprawnień nawet ramy rozdziałów. Pojawianie się narradora często zaskakuje, a nawet niepokoi, dlaczego właśnie tu i teraz oddaje mu głos autor? Trzeba dopiero dłuższej chwili namysłu, aby skojarzyć to z jakimś przejściem do spraw ogólniejszych, wykraczających poza ciasne ramy przeżyć i tragedii Franka.

Drugim niepokojącym problemem jest sprawa oceny zjawisk, zresztą również ściśle związana z dziwnym wyborem „bohatera”. Wiadomo — i to jest jasne, — że autor nie solidaryzuje się z Frankiem, czemu dał wyraz w nieszczejliwej konstrukcyjnie budowie powieści. Ale czy solidaryzuje się z płytko plotkarską opinią narradora? Chciałoby się wierzyć, że nie, że umie patrzeć głębiej i odsłonić te zakulisowe wówczas, a przecież dziś domagające się jasnego światła dzienne sprawy. Czy jest to tylko jakaś subtelna dyskrekcja autora, który nie interesuje się takim np. kierownikiem Rządkiem, jak można się domyślać, miejscowym kierownikiem walki podziemnej, czy może w celu spłogowania zamierzonego efektu artystycznego pokazuje tak dyskretnie postacie bohaterów chłopców, porwujących się na szalenstwo śmiałe zamachy? Pytań nasuwa się wiele. Dlaczego na przykład nie przedstawia tajnych sprężyn akcji i nie interesuje się zlekka tylko dotkniętym problemem walki o wolność. Dlaczego, choćby tylko dla równowagi kompozycyjnej nie pokaże od wewnątrz ani jednej z postaci, które wydają wyrok na zbrodnicy policjanta? Pytania takie są w stosunku do powieści Rembeka najzupełniej usprawiedliwione, jest bowiem jakaś perspektywa, jakiś stabo zarysowany trzeci plan powieści, który każe przypuszczać, że autor mógłby głęboko i odkrywczo oświetlić ówczesną rzeczywistość. Jest wreszcie dawna ufność w autora „W polu”, usprawiedliwiająca żądanie nie tylko wysokiej klasy artystycznej, ale i głębokiej etycznej oceny opisywanych wydarzeń. Może dlatego, że stosuje się te wysokie normy powieści sprawia zawód.

Ewa Korzeniewska

\*) Jerzy Zagórski „Wieczór w Wieliszewie”, Sp. Wyd. „Książka”, r. 1947, str. 74.

\*) Stanisław Rembek „Wyrok na Franciszka Kłosa”, W-wa, Kraków 1947. Wydawnictwo Eugeniusza Kuthana.



K. W. ZAWODZIŃSKI

# Książki dla dzieci w dorosłych oczach

U TARŁO SIĘ pomijanie „książek dla dzieci” przez krytykę literacką — pozostawianie ich kompetencji wychowawców-pedagogów, którzy stosują do nich właściwe, ich zdaniem kryteria „wychowawcze”, wydedukowane na podstawie „najnowszych” (więc widąc dość zmiennych) zdobyczy w zakresie psychologii dziecka i na podstawie dość rozbieżnych, zależnie od światopoglądu ocenianego, postulatów etyki oraz sposobów pojmowania konkretnych celów, do jakich ma służyć wychowanie. Nie jest to zresztą dziedziną, w której bym śmiało miał swoje zdanie. Jako miłośnik literatury uważam tylko, że samo wydzielenie, jako odrębnego działu, zakazanego krytyce literackiej, „książek dla dzieci i młodzieży” — nie wytrzymuje sprawdzianów rzeczywistości.

Z jednej strony cały szereg utworów nie pisanych bynajmniej z myślą o młodocianym czytelniku, tradycyjnie i z najlepszym skutkiem oddawany jest w jego ręce; przykładem „Robinsona Kruzoa” czy „Księgi Puszcy”, a u nas bajki Krasickiego (jak gdzie indziej: Lafontaine’a i jego naśladowców) oraz „Trylogia” Sienkiewicza, którą za moich czasów poznawało się w wieku lat 10—12 z nienajgorszym dla wychowania narodowego i ogólnego wykształcenia skutkiem; nie mówię już o utworach wielkich poetów narodowych, które poznane i przyswojone pamięciowo (np. Mickiewicz u nas, Puszkina, Lermontowa, A. K. Tołstoja, Żukowskiego, przekłady z Schillera i Goethego w Rosji) w dzieciństwie, towarzyszą człowiekowi do grobu, kształtując uczuciowość i smak estetyczny.

Z drugiej strony, książka pisana dla dzieci, rzetelnie, przez prawdziwego artystę, może być zupełnie — estetycznie, przez swoje naznaczenie, usuwana z pola widzenia dorosłego miłośnika literatury, przykładem „Opowieści niezwykłej” Perzyskiego, których niepospolita wartością, jako dzieła literackiego, starałem się przed dwoma laty („Życie Literackie” Nr 12—13 r. 1945) zainteresować dorosłych; albo bardziej znane i uznane za najlepszą książkę tego autora „Miasto mojej matki” J. Kaden-Bandrowskiego.

Są to jednak dość rzadkie wyjątki; na ogół stwierdzić należy szalejącą pod egidą pedagogii, prawdopodobnie wszędzie ale chyba nigdzie w takim stopniu, jak w mojej biednej ojczyźnie — kakografia. Nietykany to temat, a jakże wspaniały i oczekujący na literaturoznawcę, który zrozumie jak ważną sprawą dla pojmowania i wartościowania dzieła literackiego jest zbudowanie jego patologii! W literaturze dla dzieci znajdzie jej najskrawsze i najbardziej dla poglądowego wy-



Dwa koguty

kładu pomocne przykłady; od przyrodniczych „opowiadań” poczytywych, naszych jeszcze w dzieciństwie (dłatego przemilczę ich nazwiska) wychowawczych-literackich, które tak daleko posuwają antropomorfizację swych zwierzęcych bohaterów, że stadia ptasie są dla nich okazją do napiętnowania egoistycznego nieróbstwa „pańów domu” ich epoki i plotkujących pań warszawskich, a lekkomyślna matka-myszka wraca do domu, ku zgorzeniu dzieci, podchmielona skonsumowanym gdzieś podczas eskapady likierkiem — wszystko to ujęte wytwornym, peryfrastycznym stylem naszych domorosłych emancypantek; poprzez, odpowiadając chronologicznie debiutem futurystycznym u nas, wysiłki ubawienia dzieci „beztroskimi” paradami „czystego nonsensu”; aż do dzieł J. Porazińskiej i do ostatniej próby „Robinsona”, nie mniej bzdurnej, poetycznej w najwulgarniejszym rodzaju, a zwłaszcza ciekawo-sentymentalnej.

Ten powojenny wyczyn odrodzonego „wydawstwa” polskiego, znamienny dokument do „dzieł głupoty w Polsce”, (w szerszym tu znaczeniu niż w tytule świeżej książki Bocheńskiego), obok obrażenia wywołuje jednocześnie żal za światem — jako wariant fabularny (na ogół trzymający się Campégo, lecz nie zapominający o rozsądku, choćby nie „pedagogicznym” i o artystycznych wartościach prawzorów Defoego) i jako oprawa stylistyczna — „Robinsonem” Anczyca, przyjaciele i nieodstępny towarzyszem, „władza marzeń” dzieciństwa tyłu pokoleń. Anczyca, ten w ogóle niedoceniony w dziejach naszej literatury pisarz (mimo żyweliwej prezentacji jaką mu zapewniło w „Bibliotece naro-

dowej” bystre pióro J. St. Bystronia), „doskonali literat” w całym słowa znaczeniu, świetnie wywiązujący się z każdego zadania, którego się podjął, czy jako poeta, autor nieśmiertelnych śpiewek żołnierskich i patriotycznych („Hej, strzelcy wraz, nad nami orzeł biały”), czy jako pisarz sceniczny, czy w jakimkolwiek dziale piśmiennictwa użytkowego, oddał też pierwszorzędne usługi literaturze pedagogicznej polskiej swymi „24 obrazkami z dziejów Polski” i do dziś chciwie czytany przez malców książkami dla dzieci! Obok „Robinsona” mamy jego „Duch puszczy”. Właśnie niedawno odświeżyłem go w pamięci,

wiać specjalny rodzaj — „wiersze dla dzieci” pisane dla zabawy dorosłych: („Pchła szachrajka”). Charakter persyflawy równocześnie z kontynuacją określonej linii genealogicznej w tradycji literackiej posiada i prze-zabawna „Baśń o Korsarzu Palemonie”. Pod względem formy, zarówno wiersza jak i sposobu narracji, z ciągłymi nawrotami rak ustalonych formuł opisu czy charakterystyki bohaterów, baśń ta wywodzi się z klechd ludowych, w tym ich artystycznym kształcie, jak i nadawał klechdom rosyjskim (również figlarnie) Puszkina, ale baśniowa fantastyka „jest u Brzechwy skontaminowana z elementami

## ILUSTRACJE DO BAJEK LA FONTAINE'A



Lis i bocian



Przepowiednia

czytając książkę tę dziecku; jak świetnie jest napisana i jak znać lwi pazur samodzielnego pisarza w społeczeństwie miernego prawdopodobnie oryginału amerykańskiego! Przypuszczam, że nie on jeden jest ceną pozycją w naszej dawniejszej literaturze dla młodocianych. Tym samym sposobem uważnie studiując ostatnio „Grom maciejowicki” W. Przyborowskiego, dochodzę do przekonania, że jest to powieść na najlepszym poziomie naszej — przecież nie najuboższej — powieści historycznej. Zwawość i realizm strony batalistycznej (którego by czasem i Sienkiewicz mógł pozazdrościć) każą podejrzewać w autorze dawnego powstańca; krajobrazowanie choć oszczędne, bardzo sugestywne; a co najbardziej uderza, na tle naszego ubożego psychologizmu — to świetna i pełna prawdy charakterystyka niektórych postaci działających jak np. ciemnego, zabitego umysłowo poddaństwem i nie orientującego się w swej nowej sytuacji parobka, wiejskiego — rekruta, lub przesadnej w manifestacjach rozpaczy, zanudzającej swymi łzami, swym nieśczęściem, swą naiwnością prób, obaw i nadziei paniusi z wiejskiego dworu. To są żywi ludzie, o intensywności życia nieczęstej wśród bohaterów powieści polskiej, a sama powieść — powieść z prawdziwego zdarzenia; nie mogą z nią iść w paragon martwe rekonstrukcje przeszłości, których jedynym celem jest pogłówna nauka historii, a które d: d: d: (i to czasem spod piór skądinąd znakomitych) pomnażają literaturę dla dzieci.

Ale i w najnowszej powojennej literaturze dla dzieci są utwory godne uwagi „poważnego” krytyka literackiego, bądź ze względu na ogólny poziom artystyczny, bądź jako swoiste a bardzo znamienne zastosowanie środków ekspresji, cennych w użyciu nie tylko w twórczości dla młodocianych. Są to z reguły utwory pisarzy, których stanowisko w literaturze utrwaliło się i poza pokojem dziecięcym, choć i w nim oddawna są znani. Mniej tu świadom powieści, z większą pewnością mogą mówić o poetach. Nie można pominąć zgrabnych, dowcipnych, przemawiających do dzieci wierszy Makuszyńskiego, zwłaszcza jego „poematów” z „legendarnych dziejów Polski”. Sam Tuwim uświecił swym autorytetem także użycie wielkiego talentu; ale jego świetne i głośne występy na tym polu wydają się tylko przygodnymi eskapadami. Byłoby może ciekawym i pouczającym dla badań nad najgłębszymi podstawami osobowości twórczej, tego poety stwierdzenie braku w jego utworach — pomimo pozorów — istotnej wesołości, nawet gdy występuje jako wesołek „na jarmarku rymów” oraz pewna „nieładność” (która już przed laty wykryłem w jego postawie; znów mimo pozorów „ładności” i prób zbliżenia do „prostego człowieka”. Jego krótkotrwałe przebywanie w pokoju dziecięcym wydaje się wymuszone. Inaczej świetny obok niego wiersyfikator Jan Brzechwa, którego przynajmniej jedną książeczkę, choćby „Kaczkę dziwaczkę” lub „Tańcowała igła z nitką”, zna na pamięć pewnie każde dziecko polskie, urodzone w przedostatnim dziesięciu lat, a efekty dowcipu i akrobacji wierszopiskiej w pełni dopiero dorosły (i odpowiednio przygotowany) czytelnik oceni. Rozumiejąc to, Brzechwa zaczął po wojnie wpra-

powieści awanturycznej, ze szlafarzem „korsarskim”, (spopularyzowanym przez filmy) i również parodystycznie potraktowanym. Oczywiście uroki tej książki oceni w pełni tylko dorosły i przygotowany odpowiednio czytelnik; dla jakiej zaś kategorii „młodocianych” jest ona przeznaczona jako „książka dla dzieci” — trudno określić; wszystkim na pewno będzie się podobała ze względu na potoczność wiersza i łatwość barwnego języka.

Zalety języka i wiersza posiadają również książki Hanny Mortkiewicz-Olczakowej. Z dodatkiem tego wdzięku, z którym tylko kobieta umie się zwracać do dziecka, a zwłaszcza do maleńkiego. Trudno o bardziej uroczą książeczkę, niż dawna, już z 1926 r. (debiut autorki na tym polu) plakietka, napisana i narysowana (dosłownie, w rotogravurowej, dwubarwnej reprodukcji własnoręcznego oryginału) przez poetkę-malarkę dla dzieci, które jeszcze same nie umieją czytać. „Dzień Krysi” ustala harmonię między swobodą a porządkiem, jak dzień grzecznej dziewczynki; na rysunkach — harmonię między pięknnością a wiernością konkretnej rzeczywistości, w formie wierszy — między melodią tradycyjnych zwrotek piosenkowych a swobodą wiersyfikacji nowoczesnej, w ich treści — między dydaktyką a naiwnością przeżyć dziecięcych.

O dwadzieścia lat później powieść wierszem „Jak się wszystko zmieniło”, jest przeznaczona dla starszych dzieci, dla „młodzieży”, jak to się dawniej na książkach pisało, rozumiejąc osobników 12—14-letnich (faktycznie już i młodszymi, lecz bardziej rozwiniętymi) choć chyba nie zostanie w pełni swych wartości przez czytelników oceniona. Dla nich będzie to powieść „bez przygód”, choć oczywiście, nie bez zdarzeń, zdarzeń historycznych, przeżywanych przez cały naród, więc odbijających się w doli jego członków. I w pewnym sensie czytelnicy będą mieli rację. Są to raczej „obrazy życia”, zarysy obyczajowe wewnętrznych dziejów warszawskiej rodziny inteligentnej — niż powieść w tym sensie, jak i temu pojęciu nadają niektórzy teoretycy literatury; w sensie wytrącenia postaci działających na „czas powieściowy” z norm ich bytowania, określanego ogólnymi warunkami społecznego i historycznego układu, którego są częścią. Tu właśnie — żadnych indywidualnych przygód, te tylko zmiany, które wynikają ze zmian warunków i to w sto sunku do komórek społecznej najlepiej jeszcze stosunkowo ostojonej zderzankami losu przed katastroficznymi wpływami historii: ojciec ocalał w Orla, matka z dziećmi „dają sobie jakoś radę” dzięki rezerwom teraz ujawniającym się działalności życiowej, nie deklasując się zbytnio w zmienionych warunkach, nie biorąc czynnego udziału — właśnie otwierającego „świat przygody” — w walce z okupantem. Używany najczęściej w narracji praesens historicum ma swój sens głęboki: bo nie poszczególne, choćby najskromniejsze wypadki „raz zdarzone”, są tematem, lecz „norma bytowania”, jego przeciwna, to co zwyczajnie bywało. I w tym właśnie, w reprezentacyjności dziejów przedstawionej w książce rodziny, leży niedostępny pewnie dla amatora „powieści z przygodami” walor utworu, pamiętnika tych czasów, ale pamiętnika ponad osobistego, pamiętnika, jaki mógłby

napisać każdy, choć nie każdy by potrafił. Ta przyziemna rzeczywistość, podana w całej konkretności, jest przesiąknięta liryzmem, uderza emocjonalnie, wzrusza; wiersz, którym „jest opowiedziana, nadaje jej pewne dosłowność zewnętrznie już przetrwała w coś godnego nieśmiertelności. Ta najogólniejsza funkcja estetyczna wiersza w epopei, wiersza użytego tu z tym samym dobroczynnym skutkiem co w „Panu Tadeuszu”, zbliża jeszcze bardziej poemat Hanny Mortkiewicz-Olczakowej do pierwowzoru arcydzieła Mickiewicza: do „Hermana i Dorotei”, bliższego i sielankowa poetyzacja mieszczańskiej przeciwności (również na tle wielkich zdarzeń) i niemością strony fabularnej (W Panu Tadeuszu jakże walterskotycznie wspaniałej) Nie wiem, czy można mówić o bezpośrednim wpływie, na który wskazywałoby pokrewieństwo wiersza: heksametr nowożytny Goethego w jego najnowszym polskim kształcie jest tym właśnie dwudzielnym wierszem od 14—16, wyjątkowo 17 sylab liczącym, parzystorimowanym, który w gruncie rzeczy stanowi podwojony „trójaktowiec” rozkwitającej za czasów „Skamandra” wiersyfikacji czysto tonicznej jak ją (niezbyt słusznie) dotychczas nazywamy. Raczej chyba należy przypisać szczęśliwy wybór poetki zaletom szerokości, swobody doskonale tu godzącej się z porządkiem, z potocznością, z harmonią, które posiada do metrum. Dla świetnej stylistyki taki wiersz istotnie w najmniejszym stopniu nie jest „wędzidłem”, jest tylko „ostrogą”.

W odradzaniu się książki polskiej, książka dla dzieci ze zrozumiałych powodów, czy to jako podręcznik, czy jako książka do czytania, miała pierwszeństwo. Wzmógł się popyt wywołał odpowiednią podaż i niektórzy pisarze oddali swój talent wyłącznie lub w przeważającej części na usługi dzieci. Znam aż sześć książek powojennych Witolda „e-chentera, każda w innym rodzaju, wszystkie zaaprobowane powrotem u mej progenitury. „Bajdy krasnoludkowe”, trochę zbyt sentymentalne, „Bajki o matce”, opowieść związana z historią najnowsza, — „Wilki z partyzantki”, obszerna, łącząca humor z przygodami jak w powieści awanturycznej czy kryminalnej, ale poruszająca i ważne zagadnienia etyczno-społeczne „powieść dla młodzieży”, „W Babieście domu”, „Podróże Guiwera”, dobrze wyszukujące w dziele Siffita, to co bawi i uderza młodocianą fantazję, wczesne antologie poetycka dla najmłodszych, „Kto ty jesteś? Polak mały”, w której, jak w każdej antologii można wytknąć dużo braków, pominąć rzadziej — niepotrzebne balasy. Żelazny kapitał tej poezji dla dzieci, która jest szczególną odmianą „poezji popularnej”



Konik polny i mrówka

jest zawsze — i tu najobficiej reprezentowana — Konopnicka, tak bardzo dziś pokrzywdzona w opinii literackiej (ujął się za nią ostatnio M. Jastrun w artykule o Kasprzyczu w „Kuźnicy”, może to początek bardzo potrzebnej rewizji). Dał się odczuć nieobecność utalentowanych poetek wileńskich: Haliny Zawadzkiej i Wandy Nowodworskiej-Achremowiczowej, które już w ciągu „dwudziestolecia” przeniosły się całkowicie na tę niwę, obfitując w zielsko, ale i w piękne kwiaty, i to nie od dzisiaj. Ten dział historii literatury polskiej, jakim są dzieła książki dla dzieci — odłonił nam niejako, gdy zostanie napisany.

K. W. Zawodziński

## TREŚĆ NR 50:

Stefan Żółkiewski — Przed nowym etapem w polityce kulturalnej; Andrzej Stawar — Z zagadnień prozy; Zygmunt Radek — Wiersze; Wacław Kubacki — Andrzej Strug po latach. — Kazimierz Budzyk — Jeszcze dyskusja nad przedmowa do „Lalki”; Paweł Hertz — Nagroda Nobla 1947; — Wiersze; Andrzej Braun, Krzysztof Gruszczyński, Anna Kamińska, Ewa Fiszer, Mieczysława Buczkówna, Jerzy Miller, Anna Pogonowska, Stanisław Pięta — Władza; Janusz Bogucki — W perspektywie pewnego doświadczenia; Ferdynand Goetel — „Do czego nadają się Polaacy”; Ryszard Matuszewski — Liryka wojny w dobrzyńskim zaścianiu; Wanda Grodzienka — Trzy przekłady książek dla dzieci; Maria Janion — Polonistyczne obrachunki; Przegląd prasy, Korespondencja, Noty,

\*) Szersze informacje w sprawie dziejów „Robinsona” i, niestety, zbyt łagodną i nie dość egzemplifikowaną przykładami recenzję utworu p. A. Bigaj-Mianowskiej, znajdują czytelnicy w moim artykule w „Odrodzeniu” (Nr 6 r. 46).



HELENA BOBIŃSKA

## DIALOG O CZARNYM WĘŻU

Emil: Zdaje mi się, że przyszedłem nie w porę. Krążysz po pokoju, jak lew w klatce. Piszesz artykuł?

Jan: Chciałbym pisać... pasja mię ponosi. Emil: Dobra to rzecz pasja. Zdaje się France powiedział: „La plus belle chose e'est la passion”.

Jan: Ja mówię o naszej zwykłej, szewskiej pasji.

Emil: Twoje najlepsze artykuły są pisane z szewską pasją. Zaczęłeś już?

Jan: Właśnie, że nie. Nie wiem, od czego zacząć.

Emil: Zaczynać należy zawsze od początku.

Jan: Nie zawsze. Czasem, jeżeli się zaczyna od początku, to czytelnik nie doczyta nawet do środka. Czasem trzeba zaczynać od razu od końca.

Emil: Więc zacznij od końca.

Jan: Tak zaczęło od razu od końca.

Emil: Ale... o czym ty właściwie chcesz pisać?

Jan: O czym? Spójrz tam na biurko.

Emil: Jakież pisma obrazkowe? Bil Tornado — Zwycięzca Czarnego Węża... Pogromcy Przestrzeni... Pikuś i Mikuś... Wesołe przygody... Cóż to takiego? „Świat przygód”?

Jan: „Warszawa — 1947 r.”

Emil: Dalej... Dalej...

Emil: Ach! są i powieści. — „Król Dzikiego Zachodu”. „W ostępach Dżungli”. „Zasadzka”. Cóż?, bardzo ciekawe piśmiśko, choć rysunki pod psem... gdybym miał 12 lat... czuję, żebym się palił do tego Czarnego Węża.

Jan: Mój syn też się do niego pali. Gdybyś widział, z jakim zachwytem wpatruje się w te okropne geby i z jakim przejęciem wczytuje się w idiotyczne napisy w rodzaju: „Bil chwytł powietrze w pełne płuca”. Jak sądzisz? czy to jest proza?

Emil: Nie rozumiem

Jan: Albo to: „Zbliżył się do lady i przed jej padł na nią niż oparł się lokciami. „Wielką szklaną wiskę” — rzekł dygocącym głosem do karczmarza. Pochłonął chciwie wódkę. Dodała mu widać sił, gdyż wyprostował się, odetchnął i t.d. Albo inny kawałek: „Obaj mężczyźni wyszli z baru: Ledwie jednak młodzieniec ukazał się na dworze, gdy podbiegł doń z ochryplym okrzykiem rudy Sampsars i zdmusił go pięścią w twarz. Z jego nosa popłynęła krew...”

Emil: Nie rozumiem, po co to czytasz...

Jan: Zaraz zrozumiesz. To są, widzisz, urywki z „Króla Dzikiego Zachodu”. A teraz jeszcze piękniejszy kwiatek. Już z naszej rodzinnej literatury. Opowiadanie „Zasadzka” Autor Wojciech Książ. Nie mam, niestety, początku. Ideologicznie rzecz dośroć mełna. A teraz posłuchaj tej prozy... bo to już bezsprzecznie jest proza.

„Jo, wicie, bez te demokracje, niby, że wszystkim wszystko wolno — zerechotał nieprzyjemnie Szczepan”. I nieco dalej: „Hanka szepiała: „pamiętaj dziś Aksel będzie w nocu tutaj. Przywiezie różne papiery, które Franek ma przewieźć do miasta. Tylko, żeby Franek nie był, jucha, znów pijany”... „Zarechotały się obie”. Cóż o tym sądzisz?

Emil: Sądzę, że za bardzo się tym wszystkim przejmujesz. Jest to ostatecznie piśmiśko dla 12-sto — latków, którego nikt nie traktuje poważnie.

Jan: Otóż to. A należy je traktować bardzo poważnie. Póki nie jest za późno. Póki ten bakcył nie wywołał epidemii.

Emil: Jaki znów bakcył?

Jan: Bakcył wulgaryzacji. Bo nie chodzi tu tylko o Czarnego Węża. Całe to piśmiśko jest szkołą trywialności. Spójrz na ten rysunek! dwaj typowi ulicznicy. Dżokejki zsunięte na tył głowy, ręce w kieszeniach, nogi rozkręczone, u dołu napis: „Nie masz siostry? A kogóż Ty bijesz w domu?” Budując co? Albo ten Pikuś i Mikuś wesołe przygody hultajskie pary bohaterów... Konieczne „hultajskie”. I uważasz, wszystko to w jednym numerze 65-tym: picie wielką szklaną wódkę dla odzyskania sił. Bicie po mordzie i znowu pijaństwo. A na dodatek: „Jeszcze o dju-djitsu”, dokładna recepta wykręcania rąk i policyjnych chwytów.

Emil: Bądźmy sprawiedliwi. W tym samym numerze masz tu „Na tropie harcerskim” — Gawędy starego Żubra — całą stronę poświęconą budowie szybowca, zagadki, rebusy. A tu patrz, cała strona: „Kącik dla dziewcząt”. „Uczesanie w koronę”. „Robimy w domu pantofle” i porady krawieckie. Tu już chyba nie jest morderstwo?

Jan: To jest właśnie bardzo charakterystyczne. Piśmiśko jest dla chłopców — dla śmiałych, wesołych hultajów — panów stworzenia. A dla dziewcząt: „kącik” o uczesaniu w koronę, robieniu pantofli i modnych sukienkach. Wracamy do czasów z Tańskich — Hoffmanowej. W literaturze. Bo w życiu... w czasie wojny i okupacji ko-

bieta polska zdała egzamin dojrzałości. Nie dała się wyprzedzić mężczyznom w bohaterstwie i wytrwałości. Wiemy o tym wszyscy. A w powstaniu? Kiedy 12-letnie harcerki pełniły służbę łączniczek i sanitariuszek? Ile ich zginęło bohaterską śmiercią? I po tym wszystkim, dziś w Polsce ludowej, kiedy przed dziewczyną stoją otworem wszystkie uczelnie i wszystkie stanowiska — zapędza się ją znowu do „kącika” dla dziewcząt. Nasze wydawnictwa wskrzeszają usilnie odwieczne powieści „dla panienek”. Redakcja „Świata Przygód”, również uważa, że dziewczyny w swoim kąciku mają specjalne zainteresowania i nawet w dziale „Książka dla Ciebie” — pisze: „a teraz coś specjalnie dla dziewcząt”. Dlaczego „Wiesze szczęśliwa”? Bujno - Artowej ma być specjalnie dla dziewcząt — a „Siostrzeńcy Ciotki Agaty Broniewskiej” i „Krzywe koło” Konarskiego mają interesować tylko chłopców pozostanie tajemnicą redakcji. Zresztą mam grube wątpliwości, czy gorliwi czytelnicy „Świata Przygód” będą czytali „Drugą bramę” Górskiej lub „Na koloniach letnich” Korczaka, „Czarne Węże” i „Krótkie Dzikiego Zachodu” zepsują im smak na zawsze.

Emil: Przesadzasz.

Jan: Nie przesadzam. Dość przeczytać listy czytelników do „Mickey Mouse” (i dlaczego o diabła „Mickey Mouse”, a nie np. Mądra myszka? Otóż dość przejrzeć te listy, aby przekonać się, jak dalece Czarny Wąż zapuścił już swój jad, w młodociane mózgi. Prawie wszyscy czytelnicy bez wyjątku (a i czytelniczki też), żądają obrazkowych powieści. Niektórzy pytają, czy nie możnaby całego piśmiśka zapełnić obrazkowymi powieściami. I jak ci się zdaje, jaką odpowiedź daje im „Mickey Mouse”?

Emil: Skądże mogę wiedzieć?

Jan: Otóż mądra myszka, odpowiada (cytuje dosłownie): „Powieści rysunkowe będą się stale ukazywać, ale nie można nimi zapełnić całego numeru, gdyż to podniosłoby znacznie koszty”. Gdzieś indziej znów obiecuje, że w przyszłości rysunki będą kolorowane. Więc przy dobrych obrotach handlowych, a „Świat Przygód” jest, niestety, bardzo poczytnym i dochodowym piśmiśkiem, za rok, lub dwa, będziemy mieli „Czarne Węże”, „Pikusów i Mikusów” i „Pogromców Przestrzeni” na 12-stu stronicach dużego formatu w kolorowych rysunkach.

Emil: W tym miejscu mógłbym coś powiedzieć w obronie „Czarnego Węża”...

Jan: Ciekawym...

Emil: Widziałem w Paryżu takie właśnie piśmiśko całe od początku do końca z kolorowanymi powieściami obrazkowymi... i wyobraź sobie — piśmiśko, wydawane przez Partię Komunistyczną. Nazywa się... poczekaj... przypomnę...

Jan: Nazywa się „Vaillant”.

Emil: Tak „Vaillant”. Więc skoro fran-

cuska Partia Komunistyczna nie uważa, aby te obrazkowe powieści zagrażały francuskiej kulturze...

Jan: We Francji powieści obrazkowe dla dzieci mają już swoją tradycję i zawsze stały na dość wysokim poziomie artystycznym. Redakcja „Vaillant” musiała przyjąć tę formę, aby móc konkurować z piśmiśkami burżuazyjnymi. Zresztą, o ile mi wiadomo, redakcja „Vaillant” stara się w te obrazkowe powieści wkładać pewną treść ideologiczną, np. walkę partyzancką za czasów okupacji — walkę z faszyzmem i t. d. Nasza rodzima redakcja „Świata Przygód” daje po prostu straszliwe szmery i jeszcze okropniejsze rysunki, nie troszcząc się bynajmniej o treść ideologiczną. Nie tłumaczy umieszczania i popularyzowania w naszych piśmiśkach tych Czarnych Wężów. Tak samo, jak nie tłumaczy typowego dla burżuazyjnych piśmiśk sposobu zdobywania młodocianych czytelników schlebaniem ich próżności. Naprzykład: „Szukaj siebie”. Pod takim nagłówkiem Redakcja zamieszcza na półtorej dużej stronie spis... uczestników konkursu geograficznego...

Emil: Chcesz powiedzieć: — nagrodzonych na konkursie?

Jan: Bynajmniej. Uczestników. Długo, niekończący się spis nazwisk, wśród których młodociany czytelnik, albo czytelniczka ma pilnie szukać siebie. I takie spisy, zajmujące całe wielkie strony ciągną się przez szereg numerów. A pisze się wciąż o braku papieru. Albo to masowe zamieszczenie fotografii „naszych miłych czytelników” — „Prześlij swoją fotografię — zamieścimy ją w naszym piśmiśku”, lub „W przyszłym tygodniu będą Cię oglądali wszyscy nasi czytelnicy”. Czyż to nie jest świadome rozwijanie snobizmu?

Emil: Uważam, że niepotrzebnie gorączkujesz się. Ostatecznie o ile piśmiśko dla młodzieży wykazuje szkodliwe tendencje, powinno się tym zająć Ministerstwo Oświaty.

Jan: Nie jest to taka prosta sprawa. Bo nie chodzi tu o jedno piśmiśko. Mamy tu do czynienia ze zjawiskiem, sięgającym o wiele głębiej, ze zjawiskiem bardzo groźnym dla naszej kultury. Te „Czarne Węże” kształtują smak artystyczny naszych przyszłych czytelników. Dzwoni się u nas bezustannie na alarm, że nie mamy jeszcze literatury, która by odtwarzała nowe formy społeczne naszego życia. Alarm, moim zdaniem, przedwczesny i zgoła niepotrzebny. Natomiast za pięć, sześć lat będziemy mieli tę nową literaturę i będziemy też mieli nowych czytelników. Tych właśnie, wychowanych na „Czarnych Wężach” i „Królach Dzikiego Zachodu”, nienawidzących wszelkiego wysiłku umysłowego, szukających sensacji i przede wszystkim sensacji. Jak ci się zdaje, czy zagustują oni w realistycznych powieściach, w których znajdzie wyraz nowy, twórczy stosunek do pracy, gdzie na pierwsze miej-

sce jako bohater, wysunie się chłop i robotnik?

Emil: Nie zapomnij, że nowe formy naszego życia wychowują nam nowych czytelników.

Jan: Obawiam się, że ci nowi czytelnicy trafią znowu do literatury, która kosztem najmniejszego wysiłku daje im maksimum sensacji. Ze, wyrosłszy z „Czarnych Wężów” sięgną po „Co tydzień powieść” i inną bulwarową literaturę.

W danej chwili głównym dostawcą tego towaru jest Ameryka, gdyż masowa produkcja „poczytnej” literatury jest takim samym biznesem jak wyrób konserw lub maszyn do golenia. A rezultat? Posłuchaj co o tym mówi Bednarczuk, autor artykułu „Kompleks zachodni i nożyce” w nr 41 „Kuźnicy”.

„Skutki takiej standaryzacji są przerażające” — wystarczy przyrzeć się z bliska jednemu czy dwóm pokoleniom, wychowanym na „klechdach” i przede wszystkim na Hollywoodzie. Ostateczna wytyczna takiego rozwoju kulturalnego zdaje się zmierzać do tej czy innej formy faszyzmu”.

Staramy się wychować nasze młode pokolenie również na „klechdach” i Hollywoodzie, nie zastanawiając się nad tym, że rozwój naszego społeczeństwa idzie w kierunku zupełnie innym i że skutkiem tego rozpiętość pomiędzy naszym życiem i literaturą będzie wzrastała coraz bardziej. Poczynając od „Czarnych Wężów” wpajamy naszej młodzieży przekonanie, że literatura nie ma nic wspólnego z życiem.

Emil: Pozwól, że ci przerwę i przypomnę nasze ulubione kiedyś książki, — owych Mayne Reidów, Cooperów i May’ów, które pochłaniał ukradkiem pod ławką, narażając się na dwoje. Ta literatura również nie miała nic wspólnego z naszym życiem? A jednakże ani „Duch Puszczy” ani „Lowcy z Texas”, ani „Jeździec bez głowy” nie przeszkodził nam później brać aktywnego udziału w życiu społeczeństwa.

Jan: Przede wszystkim muszę wystąpić w obronie Mayne Reida i Coopera. Ta awanturzysta literatura posiadała jednak swoje walory pedagogiczne, miała jakiś poziom etyczny.

My tymczasem patrzymy biernie, jak umysły naszej młodzieży kształtuje amerykańska tandeta, apoteozując brutalną siłę jako najwyższą cnotę i zdobywanie majątku — jako jedyny ideał. Najsmutniejsze jest, że nikt się tą sprawą nie interesuje. Ani Ministerstwo Oświaty, ani Ministerstwo Kultury. A najmniej — my, intelektualści.

Emil: My... dyskutujemy o prozie.

Jan: I zapominamy, że tworzyć tą przyszłą prozę i przyszłą kulturę polską, będzie to pokolenie, które dziś zaczytuje się w „Czarnych Wężach”.

Helena Bobińska

## Homer, Shakespeare i amerykańska pomoc gospodarcza

Felieton gospodarczy

Z YJEMY pad znakiem pomocy gospodarczej Stanów Zjednoczonych dla różnych krajów globu ziemskiego. Dnia 24 listopada br. prezydent Truman zakomunikował Kongresowi, że z 332 milionów dolarów, przeznaczonych na pomoc zagraniczną od 30 lipca br. do końca października br. przydzielono: Włochom 121 mil. dol., Austrii 89 milionów, Grecji 39 milionów, Chinom 28 milionów i miastu Triest 10 milionów dolarów.

Co można wyczytać z tych cyfr? Czy szeregując je w sposób mechaniczny da się wyciągnąć jakies wnioski o rozmiarze potrzeb i intensywności głodu w poszczególnych państwach, korzystających z dobrodziejstw tej pomocy?



Oto okazuje się, że dwa do niedawna nieprzyjacielskie kraje — Austria i Włochy — otrzymały pomoc siedmiokrotnie większą, aniżeli 400 milionów Chin, od kilkunastu lat bez przerwy toczące wojny zewnętrzne i wewnętrzne, odpowiednio też wygólowane. Chiny, sojusznik Stanów Zjednoczonych, oczko, w głowie wszystkich imperialistów amerykańskich, słodka nadzieja ich ksiąg handlowych i kont bankowych nie zasłużył sobie na wiele więcej, niż... Triest, o którym dziś jeszcze większość Amerykanów nie wie z pewnością czy to nazwisko malarza czy odmiana ostrzy. W Chinach bowiem zdarza się ostatnio — jak donosi o tem prasa amerykańska — że dywizje Czeng-Kai-Szeka,

wyekwipowane i wyćwiczone przez instruktorów amerykańskich, przy pierwszej okazji przechodzą na stronę wojsk demokratycznych. I nie zdarza się potem — jak to było w Chinach zwyczajem — żeby przy następnej okazji wracały spowrotem. Gdyby Eric Linclater, autor świetnej książki „Juan w Chinach” dał nam teraz następny tom swej powieści zobaczylibyśmy w niej grubego majora Flandersa na dnie nędzy i w ostatecznej rozpacz, gdyż mało miałby okazji do sprzedawania tych samych czoiów kilku odbiorcom równocześnie. Chyba że miałby do czynienia wyłącznie z administracją Czeng-Kai-Szeka, która tradycyjną cnotę przekupstwa starej administracji Chin cesarskich doprowadziła do doskonałości.

Inne jeszcze cyfry, dotyczące amerykańskiej pomocy, ogłoszono ostatnio. Zawiera je pierwszy Raport, złożony Kongresowi, bilansujący wyniki akcji amerykańskiej w Grecji i w Turcji.

Jak wiadomo wiosną br. Kongres uchwalił specjalne kredyty na akcję pomocy Grecji — 350 milionów dolarów i Turcji — 100 mil. dol. Wspomniany Raport omawia sposób ich użytkowania.

Na odbudowę dróg, linii kolejowych, portów i Kanalu Korynckiego wydatkowano do 30 września br. kwotę 23 mil. dol. Import dóbr konsumpcyjnych wyniósł 51 mil. dol., na odbudowę sieć telefoniczną i telegraficzną przeznaczono 1 milion na prace irygacyjne 3 mil., na zakup materiałów budowlanych 2 miliony dolarów. Import żywności i innych artykułów pierwszej potrzeby zamknął się kwotą 40 mil. dolarów.

Tak przedstawia się — w cyfrach — „cywilna” strona pomocy.

Jeśli chodzi o pomoc w dziedzinie wojskowej to Raport mówi, że „zadaniem Misji Wojskowej było ustalenie typów i ilości potrzebnej rządowi greckiemu broni i zapewnienie, że zastosowana ona zostanie w sposób

właściwy i skuteczny. „Misja amerykańska miała ponadto zaznajomić rządowe wojska greckie z nieznanymi im rodzajami broni”.

W cyfrach pomoc ta wygląda następująco: dla armii lądowej zarezerwowano materiałów wojennych na sumę 140 milionów dolarów, dla lotnictwa — 5 mil. dol., dla marynarki wojennej — 14 mil. dol. Poza tym z budżetu „cywilnego” musiano przerzucić 9 milionów dolarów do budżetu wojskowego, żeby podobać stale rosnącym wydatkom armii lądowej.



Raport wspomina że Grecja jest na dobrej drodze od odbudowy i jeśli nie uda się w bieżącym roku budżetowym, przeprowadzić całości planu to jedynie na skutek sasy i niechęci przedsiębiorców greckich do inwestowania pieniędzy w obecnych niestabilizowanych warunkach.

Na czele misji amerykańskiej w Grecji stoi mr. Dwight P. Griswold. Jego sztab — wg. danych Raportu — składał się do dnia 10.11. br. z 206 amerykańskich doradców, z których 78 to oficerowie armii i marynarki. Dnia 11 listopada br. mr. Kenneth Royall, amerykański minister marynarki podał do wiadomości, że „na prośbę rządu greckiego Amerykańska Doradca Misja Wojskowa będzie powiększona do 90 oficerów i 80 żołnierzy”. Amerykańscy saperzy nadzorują odbudowę mostów, dróg i portów, rozdzielają zamówienia firmom budowlanym. Korespondent angielski („The Economist” 29.11. br.) podaje, że dotychczas podpisano z amerykańskimi przed-









## GAULEITER BIAŁEGO DOMU

Osobistość z wąsikami, upatrzona przez anglosasów na wodza Francji, pojawiła się w Paryżu w momencie największego napięcia sytuacji strajkowej. De Gaulle, śladem swych kolegów, — z pojęcia narodu, którym lubi hojnie szafować, już zdążył wykluczyć klasę robotniczą. Jest to tym bardziej zrozumiałe, że ostatnie wypadki podzieliły Francję na obóz francuski i obóz amerykański; robotnicy stanowią trzon pierwszego, de Gaulle wziął pod swe skrzydła drugi — nie po raz pierwszy w historii Francji lud, broniący wolności, przeciwstawia się światemu przymierzowi eksploatacji przemocą.

Wybitny polityk i publicysta francuski, Joanny Berlioz poświęcił w „Democratice Nouvelle” de Gaulle’owi ciekawy rys monograficzny p. t. „Na jaką kartę stawia de Gaulle?” Szkielet ten rzuca interesujące światło na przebieg stosunków, jakie łączyły od początku wojny autora mowy z Epinal i jego anglosaskich mocodawców. Z początku (r. 1940) — według Berlioz — de Gaulle był milej widziany w Londynie niż w Waszyngtonie, a to ze względu na niechęć Roosevelta do jego dyktatorskich manier. „De Gaulle” miał się wyrazić Roosevelt „zamierza stworzyć we Francji rząd jednego człowieka. Nie mógłbym sobie wyobrazić nikogo, kto by wzbudzał we mnie większą nieufność”. Oczywiście, z drugiej strony — Biały Dom, który od czasu wyładowania wojsk amerykańskich w Afryce Północnej nie krył swego poparcia dla konkurencyjnego generała Giraud — również nie mógł wzbudzić w de Gaulle’u miłych uczuć. Te nieporozumienia potrafił wykorzystać Churchill, i — nie traktując serio wybuchów megalomanii francuskiego sztabowca — dbał, aby je skierować we właściwą stronę. W jaką — nietrudno odgadnąć. „Churchill” pisze Berlioz „wiedział, że od r. 1942, a zwłaszcza od Stalingradu, de Gaulle obawiał się tylko jednej rzeczy: aby prestiż Armii Czerwonej nie wzmożnił prestiżu komunistów we Francji. Dostrzegł, bez wahania, w de Gaulle’u zaciętego przeciwnika tego, co w Carlton Gardens nazywano „rusyfikacją Francji”. — widząc w nim wygodne narzędzie dla podstawowej polityki wielkiego kapitału brytyjskiego”. Kiedy Churchill 11 listopada 1944 roku przybył do Paryża, przemówił do Francuzów bardzo prostymi słowami: „Skupiajcie się wokół rządu generała de Gaulle’a... Puściecie w niepamięć wszystko, co was dzieli, idźcie za swoim nowym wodzem”.

Co Churchill miał na myśli, mówiąc o „puśczeniu w niepamięć” wszystkiego, co dzieli Francuzów — także nie trudno zgadnąć; można by to przetłumaczyć na język powszedni: „drodzy robotnicy, puściecie w niepamięć wszystko, co was dzieli od kapitalistów, bo wujaszkuwie z Downing Street bardzo się z tego ucieszą”.

Ale nie wszystko, jak wiadomo, poszło w niepamięć, i nie wszyscy, jak wiemy, skupili się wokół dobrego generała z wąsikami. Natomiast generał z wujaszkami z Downing Street zrobili Blok Zachodni. „Niech żyje nasz Zachód, dzięki któremu odrodzi się nasza Europa” — powiedział wówczas de Gaulle w swym wywiadzie dla „Timesa”. Istotnie, ktożby wątpił, że dzięki ich Zachodowi odrodzi się ich Europa! Tak więc dojrzał owoc zręcznych zabiegów starego wroga Sowietów. Winstona Churchilla: były premier résistant został agentem Bloku Zachodniego we Francji.

Cóż dalej? Franklin Roosevelt nie żyje już od kilku miesięcy. Dawne angielskie waśnie z Białym Domem odchodzi w cień, wobec ciężkich presji, w jakich się znalazł po wojnie kapitał wielkobrytyjski. „W marcu 1946” pisze Berlioz „Churchill wygłasza swą słynną mowę w Fulton. Ugina się stara pycha brytyjska: w bloku atomowym występuje na jaw konieczność fuzji Anglii z USA. Polityk, który od r. 1918 do 1920 organizował kampanię czternastu państw przeciwko Rosji Sowieckiej, na nowo ogłasza wojnę z krajem socjalizmu”.

W sierpniu tegoż roku przybywa do Ameryki — de Gaulle. Spotkanie w Białym Domu tym razem odbywa się bez dąsów. Tym razem bowiem przyjmują generała ktoś inny niż Franklin Roosevelt. Rozmowa z Tru-

manem daje lepsze wyniki: „Pokrewieństwa między tymi dwoma ludźmi były nieskończenie głębsze” — twierdzi Berlioz. Sytuacja była nieskończenie bardziej jednoznaczna — dodamy od siebie.

Odtąd dzieje gaulizmu związane są z inną potęgą obcego kapitału. Utrzymanka zmieniła „stajnię”. Gdy jeszcze pięć lat temu w swym przemówieniu w Oxfordzie de Gaulle krzyczał, że: „Wyzwolenie jest jednoznaczne ze zwycięstwem Anglii”, teraz w r. 1946, w mowie wygłoszonej w Bar-le-Duc pojawia się nowy akcent o „amerykańskim zwłocie wyzwoleniczym”. Zachowując natomiast lojalność wobec swych mocodawców, de Gaulle od tego czasu taktownie wykreśla z swych przemówień akcenty na temat granic francusko — niemieckich. Bo nowi wujaszkuwie — tym razem z Wall Street — dbają pilnie o przywrócenie potęgi przemysłowej Niemiec. Utrzymanki muszą być posłuszne, zwłaszcza te z wąsikami i w generalskiej czapce. Ale z tą nie będzie kłopotu: „Jeśli miałoby się zdarzyć, że nowa tyrania zagrozi światu lub jego części, jesteśmy z góry przekonani, że Stany Zjednoczone i Francja zgodnie się temu przeciwstawiają” — woła de Gaulle 7 kwietnia 1947 r. w Strasburgu. „Biały Dom” — pisze Berlioz — „pragnie mieć w de Gaulle’u swego gauleitera na Paryż...”

Karta angielska, karta amerykańska, karta antysowiecka — gdzie w tym wszystkim karta ludu francuskiego? „Nie ma jej w tej grze” — odpowiada Berlioz. „Są jedynie rozmaite atuty, rozgrywane przez odtamy lub ogół klas panujących, które, wabając się nieraz o do wyboru środków, zawsze są zgodne gdy chodzi o cel: zachowanie przestarzałej struktury społecznej, zabezpieczającej ich zyski i siłę polityczną... Dla de Gaulle’a Francja była jedynie stawka, której wartość rosła w miarę jak klasa robotnicza zaczęła zajmować w niej coraz szersze miejsce”.

Kandyd

## PRZEGLĄD PRASY

W okresie miesiąca wymiany kulturalnej polsko — sowieckiej większość pism periodycznych numerów specjalnych. Wśród tych publikacji monograficzny numer „Teatru” (zeszyt 10—11) wydaje mi się opracowany niemal wzorowo. Przeszło dziesięcioarkuszowy zeszyt, wydany pod redakcją Aleksandra Bałłuckiego i Józefa Słowickiego, przynosi czytelnikowi polskiemu pełny niemal komplet wiadomości, dotyczących dziejów teatru sowieckiego od dni rewolucji aż po czasy najnowsze. Teatr jest tą dziedziną, w której doświadczenie rosyjskie nie ma, jak myśleć, równego w Europie. Dobrze się więc stało, że redakcja pisma postarała się o artykuły, obrazujące i dawne i nowe osiągnięcia sceny rosyjskiej. Te interesujące i bardzo pouczające ewolucje, jaką teatr rosyjski przeszedł w ramach historycznych przemian obrazuje nam artykuł Wandy Padwy, omawiający działalność „Moskiewskiego Teatru Artystycznego”. Jarosław Iwaszkiewicz, omawiając „Repertuar teatrów moskiewskich” podkreśla, że grane są w nich przede wszystkim „sztuki klasycznego repertuaru zarówno rosyjskiego jak i europejskiego” przy jednoczesnym obfitym repertuarze współczesnym, sowieckim. Józef Maślowski dał ciekawą pracę „M. Gogol o sztuce aktora i reżysera”, cytując liczne wypowiedzi autora „Ożenku” na temat gry aktorskiej. Odnowicielski wpływ rewolucji na teatr rosyjski podkreśla Leon Kruczkowski w swojej krótkiej wypowiedzi „Teatr w promieniach rewolucji”. O wpływie teatru sowieckiego na ideowy teatr polski, o próbach jego stworzenia, pisze Leon Schiller. Artykuł ten jest cenny z uwagi na to, że jego autor był jednym z głównych przywódców uspołecznionego teatru w Polsce.

Z materiałów sowieckich, wykorzystanych przez redakcję pisma, należy wymienić obszerną pracę J. Warszawskiego „Realizm socjalistyczny jako twórcza metoda teatru radzieckiego” oraz poświęcony sprawom dekoracji teatralnej artykuł Bassechasa.

Pozycja oddzielną jest wspomnieniowy esay Henryka Szetyńskiego o teatrze Wachtangowa.

Sprawom baletu poświęcono dwa artykuły: polskiego autora, Pawell — Waszkiewicz oraz sowieckiego — Ulanowej. Artykuł polski jest obszerniejszy i bardziej wyczerpujący. Autor zgromadził sporo interesujących danych, dotyczących zarówno dziejów baletu dawnego, jak i nowego, porowolucyjnego.

Wreszcie o „Polskich widowiskach teatralnych w ZSRR” pisze Natalia Szydłowska. Z pracy tej dowiadujemy się, że teatry sowieckie wystawiły w ciągu dwu lat ostatnich: „Pannę Maliczewską”, „Damy i huzary”, „Moralność pani Dulskiej” oraz „Marie Stuart” Słowackiego. Praca przekładowa nad sztukami polskimi prowadzona jest bardziej planowo i drukiem ukazało się więcej pozycji niż zostało wystawionych w teatrze.

Numer sowiecki „Teatru” rehabilituje liczne dotychczasowe numery tego pisma, które

## KORESPONDENCJA

### W sprawie wydawnictw ekonomicznych

W 42 (III) nr „Kuźnicy” znalazłem w rubryce „Korespondencja” publikację listu, na którego podstawową tezę, jako student ekonomii nie mogę się zgodzić. Dlatego też pragnąłbym wyjaśnić pewną kwestię. Chodzi mi mianowicie o zdanie: „Jak Wam wiadomo w Polsce nigdy nie zbywało na wszechstronnych i dobrze opracowanych podręcznikach ekonomii polit., a po wojnie — niestety — światło nowej rzeczywistości ujrzało jedynie wzniesione wydanie Barona (nie mówię o pomniejszych opracowaniach)”

Jak wynika z powyższego zdania, autor tego nie śledzi z należytym zainteresowaniem ruchu wydawnictw prac ekonomicznych, lub też nie dotarł do niego powyższe publikacje.

Nie mogę w tym miejscu zająć się szczegółowym wymienieniem publikacji ekonomicznych. Wskażę jedynie, zdaniem moim, na najbardziej ważne

Zacznijmy od literatury marksistowskiej. Już przeszło rok temu ukazało się nowe wydanie pracy Karola Kautsky’ego: „Nauki Ekonomiczne Karola Marksa” („Książka” 1946). Poza tą pracą nie można zapominać o wydawanych przez Spółdz. Wyd. „Książka”, której członkiem jestem od lutego 1945 r., „Bibliotekach”... „Socjalizmu Naukowego” oraz „Klasyków Marksizmu”. Ostatnio wydała „Książka” pracę prof. Adama Schaffa: „Wstęp do teorii marksizmu”. Wszystkie powyższe pozycje (z wyjątkiem pierwszej) nie są ekonomiczne sensu stricto, ale wiążą się ściśle z tą dziedziną. Do omawianej grupy należy jeszcze zaliczyć pracę Maurycyego Anhalt’a: „Zródło postępu technicznego w kapitalizmie” („Wiedza” 1946). O pracy Seleny nie wspominał, gdyż wymienił ją autor listu.

Jeśli idzie o prace ekonomiczne niemarksistowskie, to ukazało ich się dość dużo i to niektóre z nich są b. cenne. Za najważniejszą pozycję wydaną już za „nowej rzeczywistości” (zgodnie z terminologią autora listu) zdaniem moim należy uznać prof. Edwarda Taylora: „Wstęp do Ekonomiki” (wyd. drugie — Zeglarz 1947). Zaczął już ukazywać się „Ekonomista” Wyszły dwa numery, za I i II

kwartał rb. Ukazały się pierwsze tomy „Biblioteki Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego”: Dr Józef Zagórski: „Ogólna Teoria Konkurencji” (Tom 2), Joan Robinson: „Walka z bezrobociem” (Tom 3). W druku znajdują się dalsze pozycje: E. Taylor: „Teoria Produkcji” (Tom 2), St. Rączkowski: „Teoria pieniądza Keynesa” (Tom 4). W przygotowaniu zaś jest szereg prac, których z braku miejsca tu nie wymieniam.

Wzmocniła swoje wydawnictwa Biblioteka Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie. Ważniejsze prace, które w jej ramach ukazały się, to: prof. Aleksy Wahar: „Teoria Handlu Zagranicznego” (Seria I Nr 2), Dr. Jan Drewnowski: „Próba ogólnej teorii gospodarki planowej (Seria I Nr 3) i in. Nakładem „Wiadomości Narodowego Banku Polskiego” ukazała się cała seria prac. Najważniejsze z nich to: Dr Józef Swidrowski: „Istota i sposoby dokonywania zapłat międzynarodowych” oraz prof. Kazimierz Secomski: „Podstawy Polityki Inwestycyjnej” (trzy części). Ukazały się 2 najważniejsze prace Feliksa Mynarskiego: „Pieniądz i Gospodarstwo Pieniężne” (Kamieński 1947) oraz „Odbudowa Gospodarstwa Światowego” (Biblioteka Studium Spółdzielczego U. J. Nr 2). Tyle co do publikacji książkowych.

Wiele ciekawych prac zawierają miesięczniki: „Państwo i Prawo” oraz „Myśl Współczesna”. Nie należy również zapominać o czasopiśmie „Życie Gospodarcze” oraz „Gospodarka Planowa”.

Kto śledzi ruch wydawnictw ekonomicznych na przestrzeni ostatnich lat, ten zdaje sobie sprawę, że obecnie ukazuje się mniej prac ogólnych pod tytułami takimi jak: „Zesady Ekonomii Politycznej”, czy „Wstęp do Ekonomii Społecznej” itp. Ukazują się natomiast częściej prace dotyczące zagadnień szczegółowych

Wiele prac ukazało się obecnie (tak to starałem się wykazać powyżej), wiele ukazuje się niebawem. Kto zada sobie trud, aby przestudiować te, które ukazały się dotychczas, ten na pewno nie będzie zbyt narzekał na brak podręczników ekonomicznych, gdyż prace dotyczące zagadnień szczegółowych zaliczyć należy również do tej kategorii, a w żadnym wypadku do „pomniejszych opracowań”.

Nie znaczy to bynajmniej, abym sądził, że obecny ruch wydawnictw ekonomicznych jest zadawalający. Wprost przeciwnie, uważam, że jesteśmy bardzo opóźnieni w porównaniu do krajów produkujących pod względem rozwoju myśli ekonomicznej. Niemniej wydaje mi się, że uznanie tego, co dotychczas okazało się za nieważne zwrócenia nań uwagi, jest nie-słuszne i krzywdzące.

Leszek Sługocki

Łódź, ul. 6 Sierpnia 22.

### Problemy urbanistyczne

W ostatnim numerze (142/47) „Tygodnika Powszechnego” pojawił się artykuł p. J. Oplustila pt. „Ville Radieuse”.

Dodatkim objawem jest ukazanie się artykułu o urbanistyce a także chęć autora spularyzowania zagadnień obcych ogółowi społeczeństwa. Przykrym natomiast objawem jest fakt, że do takiego zadania zabiera się p. J. Oplustil, który nie tylko, że zapoznaje nas z teoriami urbanistycznymi z roku 1925 (do tego okresu odnoszą się bowiem zamieszczone ilustracje „Plan Voisin” i „Diorama”) nadając im tytuł „Ville Radieuse” a więc tytuł odnoszący się do projektu Corbusiera z roku 1935 i zamieszcza fotografie pawilonu wystawowego z „Exposition des Arts Decoratifs” w Paryżu z roku 1925 podpisując go „taras w domu”, ale co najgorsza entuzjastycznie opisuje przebrzmiałe idee i pomysły, sugerując ich aktualność.

Nie chcę się zajmować wykazywaniem niesłuszności apodyktycznie wygłoszonych zdań na temat bezplanowych miast średniowiecznych czy nawet barokowych, tymi bowiem sprawami zajmuje się pierwszy lepszy podrecznik urbanistyki. Tak samo nie mam zamiaru poddawać analizie logicznej zdania w stylu: „Auto postawiło urbanistykę przed nowym problemem — krótko mówiąc stworzyło urbanistykę”.

Cheć tylko wskazać brak aktualności poruszanych przez p. J. Oplustila problemów i zbytecznego entuzjazmu na temat projektu należącego dawno do historii teorii urbanistycznych, który p. J. Oplustil nazywa projektem „noszącym wszelkie znamiona pomysłu zorganizowanej całości”.

Miasto nowoczesne winno niewątpliwie być zorganizowaną całością, którą warunkuje cały szereg czynników. Samochód na pewno nie będzie z tych czynników najważniejszym; tak bowiem wygląda sprawa, gdy dźwigamy cały ruch kołowy na poziom pierwszego piętra. Samochód w mieście nowoczesnym jest przestarzałym wehikułem. Wynika to z nadmiernego zajmowania powierzchni w czasie ruchu oraz kolosalnych trudności parkowania dużej ilości pojazdów.

Tak samo, rozwiązaniem jednego z podstawowych problemów miasta t. j. problemu komunikacji między mieszkaniem a miejscem pracy na pewno nie leży w ogromnym zagęszczeniu ludności, ale w zarzuceniu idei t. zw. miast obrzynów. Miasto nowoczesne musi być dostosowane do skali ludzkiej i ludzkich potrzeb. Nadmierne zagęszczenie ludności przetrasta skalę ludzką i nie pozost-

ph.



stawia miejsca na indywidualność. Idea domu własnego mimo potępienia jej przez p. J. Oplustila (w ślad za Corbusierem) istnieć będzie tak długo jak długo nie ziszczą się fantazje Huxleya.

Nowoczesne miasto nie jest geometrycznym wzorem ustawionych krzyży, ale składa się z szeregu stref liczących po 8 do 10 tysięcy mieszkańców (unité de voisinage, neighbour hood unit). Problem nadmiernego zagęszczenia ludności został częściowo zarzucony przez samego Corbusiera, który w 1922 r. propagował gęstość zaludnienia 3200 mieszkańców na hektar, w 1935 r. 1000 mieszkańców na hektar, a dziś w praktyce zastosował zagęszczenie 600 mieszkańców na hektar. Jakże trudności nasuwa takie zagęszczenie ludności podam fakt, że w projektowanym przez Corbusiera bloku w Marsylii, mieszkanie kawalerskie ma formę korytarza o wymiarach 10,75x2 m.

Inny problem dość ostro postawiony przez p. J. Oplustila to problem usytuowania stacji kolejowej na terenie miasta. Stacja kolejowa nie musi się znajdować w centrum miasta — i ostatnio w urbanistyce pojawia się raczej tendencja odwrotna. Przykładem mogą być odbudowywane obecnie miasta Tours i Orléans.

P. J. Oplustil kończy artykuł wezwaniem do czynu pozostającego w proporcji do naszych możliwości. Czyżby z tego wynikało, że należy burzyć miasta i budować nowe? Nasze działania na pewno nie powinny iść drogą liryki i poezji, ale drogą żmudnej pracy badawczej, nie drogą pełnych uroku sloganów o gigantycznych osiągnięciach przerażających skalę ludzką, ale drogą pracy mającej na celu zapewnienie człowiekowi idealnych warunków mieszkania, pracy i wypoczynku.

Janusz Ballenstedt

Do Redakcji

„KUŹNICY”

Korząc się przed chwalebna a niedomagająca enuncjacja Sp. Wyd. „Wiedza” o zaspokajaniu przez nią „najpilniejszych potrzeb bibliotek powszechnych i wiejskich” i licząc na to, że po „Barbaro kłamiesz” i „Za jeden twój uśmiech, Joanno”, biblioteki powszechne i wiejskie już wkrótce zaspokojone będą nowym utworem Jerzego Seweryna, ośmielam się przy okazji sprzeciwić drobną nieścisłości, jaka wkradła się do zamieszczonego w n-rze 50 „Kuźnicy” listu Sp. Wyd. „Wiedza”.

Sp. Wyd. „Wiedza” stwierdza tam, iż „Obywateł Minkiewicz podjął się wyboru satyr, pracę swą wykonał i otrzymał za nią należne honorarium”.

Otóż wyjaśniam, że od Sp. Wyd. „Wiedza” za przygotowanie do druku satyr Karpińskiego żadnego honorarium nie otrzymałem. Zdając sobie sprawę z nawątu zajęć kierownictwa działu wydawniczego Sp. Wyd. „Wiedza” nie dziwiłem się zbyt, że nie bardzo się tam pamięta, czy coś się komuś wypłaciło, czy nie. Skoro jednak Sp. Wyd. „Wiedza” była łaskawa sprawę tę po półtora roku poruszyć, korzystałem ze sposobności, aby zwrócić się niniejszym do Sp. Wyd. „Wiedza” z prośbą o niezwłoczne uregulowanie należnego mi honorarium, które ustalam na 25.000 złotych.

Aby oszczędzić Sp. Wyd. „Wiedza” i sobie dalszych wzajemnych kontaktów, wzywam Sp. Wyd. „Wiedza” do wypłacenia wspomnianej sumy na fundusz RTPD i to, ze względu na świąteczne potrzeby tej instytucji, możliwie jeszcze przed „gwiazdką”.

Janusz Minkiewicz

KSIAŻKI NADESŁANE

- Sprawozdania z czynności i posiedzeń Polskiej Akademii Umiejętności za kwiecień 1947 r.; nakładem Polskiej Akademii Umiejętności, Kraków 1947, str. 30.
- Sprawozdania z czynności i posiedzeń Polskiej Akademii Umiejętności za maj 1947 r.; nakładem Polskiej Akademii Umiejętności, Kraków 1947, str. 51.
- Thaddaeus Sinko: Symbolae Chronologicae (ad scripta Plutarchi et Luciani), nakładem Polskiej Akademii Umiejętności, Kraków 1947, str. 69.
- Jan Sandecki (Malecki): Ewangeliarz z pocz. XVI w. i dwa późniejsze druki polskie tegoż autora, wydał i wstępem poprzedził Jan Janow, nakład Polskiej Akademii Umiejętności, Kraków 1947, str. 192.
- Ananiasz Zajackowski: Ze studiów nad zagadnieniem chazarskim, nakł. Polskiej Akademii Umiejętności, Kraków 1947, str. 99.
- Somersel Maughan: Ostrze brytywy, nakł. wydawn. Awir, Katowice 1947, str. 335.
- Nathaniel Hawthorne: Szkarłatna litera, nakładem Sp. Wyd. „Syrena” Warszawa 1947, str. 192.
- Janina Porazińska: Borówka, nakł. Sp. Wyd. „Syrena”, Warszawa 1947, str. 189.
- J. I. Kraszewski: Historia prawdziwa o Petruku Właście, Palatynie, którego zwano Duninem, nakł. Sp. Wyd. „Syrena”, Warszawa 1947, str. 255.
- Oliver Goldsmith: Pieban z Wakefieldu, nakł. Sp. Wyd. „Syrena”, Warszawa 1947, str. 224.
- Wojciech Zukrowski: Piórkiem Flaminga, czyli opowiadania przewrotne, nakład. Wyd. „Awir”, Katowice 1948, str. 267.
- Zofia Lorentz: Małi bohaterowie, nakł. Wya „Kultura Polska” Łódź 1947, str. 100.
- f. A. Krylow: Bajki, w przekł. Stefani Bazyńskiej, nakład wyd. F. Arcta Warszawa 1948, str. 64.

Idylla mała taka...

„Jeniec wojenny Gustav Bleck, sierżant, w cywilu redaktor berlińskiego „Havel Zeitung”, obecnie przebywający w obozie Penningellan k. Launceston (Kronwala) wygłosił mowę na zebraniu zorganizowanym przez stowarzyszenie p. n. „Braterstwo w tejże miejscowości. W mowie swej wzywał Wielką Brytanię, by się przygotowała do walki z bolszewizmem i dodał, że Niemcy liczą na pomoc brytyjską. Z upadkiem Niemiec, powiadał, został zlikwidowany ostatni bastion przeciw azjatyckiemu bolszewizmowi w wyniku czego Anglia została zupełnie osamotniona. Co może zrobić naród niemiecki, pytał sierżant Bleck: Stracił on wszystko, ale zachował wiarę w Boga i nadzieję na przyszłość. Obecnie zdecydowane oczekuje pomocy Wielkiej Brytanii, bo Niemcy i Anglia są jedną krwią. Bleck wytłumaczył, że poparcie, jakie Niemcy dali Hitlerowi i wzrost ruchu narodowo-socjalistycznego były właśnie skutkiem wielkiej obawy wobec bolszewizmu.”



Sprawozdanie z tego znamienego przemówienia było podane w całej miejscowej prasie! Wobec sierżanta Gustawa Blecka nie za stosowano żadnych represji.

(wg „Daily Worker”) m. m.

Jeszcze jeden mazur dzisiaj...

„Action” podaje, że 20 000 Niemców z Gdańska osiedlonych w Danii zorganizowało „emigracyjny rząd Gdańska na wygnaniu”. — „Rząd” zdążył już powziąć uchwałę wysłania do ONZ noty protestującej przeciw oddaniu Wolnego Miasta polskiej administracji! Ciekawe czy nawiąże stosunki dyplomatyczne z „rządem polskim” w Londynie.

m. m.

Los

„Los” jest tytułem filmu. Filmu, którego kręcenie miało się rozpocząć w tych dniach w Hollywood. W roli głównej Paulette Goddard. Przed rozpoczęciem zdjęć — cenzura. W cenzurze, wiadomo, ludzie, którzy cenzurują. W filmie, jak na nieszczęście, jedną z postaci jest murzyn. Ze murzyn, to głupstwo, ale ten murzyn był człowiekiem wykształconym, inteligentnym, jednym słowem: intelektualistą. Intelektualista murzyn? W amerykańskim filmie? Poszły w ruch nożyce



cenzorskie i zapadła decyzja: „Los” może być nakręcony, ale bez murzyna. Trzeba zmienić scenariusz. I wtedy Paulette Goddard zerwała kontrakt i odmówiła grania w tym filmie. Nie dziwiłem się więc zbyt, gdy pewnego dnia wyczytałem w gazecie, że komisja dla badań aktywności antyamerykańskiej rozpoczęła śledztwo przeciw tej artystce. Trzeba przecież tęcić czerwona zaręba, szczególnie gdy dotyczy czarnych ludzi!

m. m.

Casus Eisler

Hans Eisler jest kompozytorem, jednym z najlepszych w chwili obecnej na świecie. Hans Eisler jest antyfaszystą. W roku 1936 zmuszony był opuścić Niemcy na skutek swej działalności politycznej i udał się do USA. Dziesięć lat pracował w Hollywood, komponując muzykę do filmów. Potem przyszedł rok 1947. W Stanach Zjednoczonych rozpoczęła działalność komisja dla badania ak-

Koty

tywności antyamerykańskiej. Badała — wiadomo powszechnie — Wallace’a, Eliota Roosevelta, Chaplina i tych wszystkich, którzy mieli odwagę iść z postepem. Ostatnio zabrała się do wytepienia bolszewików w Hollywood. Bolszewikiem był oczywiście każdy, kto w jakikolwiek sposób, w jakimkolwiek czasie okazywał jakikolwiek sym-



patii wobec ZSRR. Bolszewikiem stał się nagle i Hans Eisler. Uciekł przecież z hitlerowskich Niemiec, choć nie był Żydem! Wielcy producenci i wielcy aktorzy wyszli na razie cało — potrafili się snąć wytłumaczyć diaczego podczas wojny kreślił od czasu do czasu film sympatyzujący z sojusznikiem radzieckim. Ale Hans Eisler nie jest bogatym producentem a nadomiar złego zachował niemieckie obywatelstwo. Więc Hans Eisler na wniosek komisji ma zostać wydany ze Stanów Zjednoczonych i osadzony w obozie w amerykańskiej strefie Niemiec. Jakże to obozy istnieją w Niemczech dla Niemców? Obozy, w których osadzeni są hitlerowcy.

Natychmiast uformował się komitet obrony Eislera. Jego członkami są Charlie Chaplin, Tomasz Mann, Igor Strawinski, Albert Einstein. Nie wiele widocznie mogą zdziałać skoro już proszą tylko o jedno — o umożliwienie Eislerowi wykorzystania zaproszenia filmowców francuskich i udania się do Francji, by mógł współpracować w realizacji francuskich filmów. Jednakże siła komisji dla badania aktywności nieamerykańskiej przekracza widocznie wpływy Chaplinów, Einsteinów czy Strawinskiów, bo właśnie komitet obrony Eislera zwrócił się kilka dni temu do intelektualistów Francji z prośbą o poparcie ich akcji. Wiec Picasso, Matisse, Aragon, Eluard, Elza Triolet i jeszcze wielu innych wystosowało list do ambasady USA w Paryżu, w którym proszą, by nie wysyłano do obozu dla hitlerowców człowieka, który dlatego musi opuścić wolną ziemię Stanów Zjednoczonych, że właśnie od Hitlera uciekł. Czy im się uda?

m. m.

Poezja i życie

„Głos Ludu” umieszcza w dziale „Literatura i Sztuka” notę w związku z pobytom Eluarda w Polsce. „Głos Ludu” słusznie podkreśla duże znaczenie poezji Eluarda: „Najwybitniejszy poeta współczesnej Francji, poeta człowieczeństwa i wolności, przedstawiciel Ruchu Oporu, poeta, którego nazwisko jest dziś we Francji standardem”.

Jak wiadomo wiersze Eluarda nie są łatwe, wymagają od czytelnika pewnego trudu i przygotowania. Należy cieszyć się, że przestano u nas upraszczać sprawy poezji i sztuki, że mówiąc o poezji „człowieczeństwa i wolności” wskazuje się na utwory poetów obcych, naprawdę wartościowych. Sądymy, że ta metoda podchodzenia do zjawisk literatury znajdzie szersze zastosowanie również w kraju.

r. k. m.

Zasługi wydawców

Mówi się dużo o błędach polityki wydawniczej. Wszystkie one zostały ściśle sprecyzowane na III Walnym Zjeździe Związku Zawodowego Literatów Polskich, wszystkie one są istotne i z pewnością zostaną naprawione, nie dlatego, że tak sobie życzą literaci, lecz dlatego, że bez wypełnienia tych luk o których mówi oświadczenie związkowe w sprawach wydawniczych, nie będzie można ruszyć z miejsca rzeczywistego upowszechnienia kultury. Musi zostać stworzona wielka i możliwie kompletna biblioteka najlepszych utworów literatury światowej, muszą do niej wejść pozycje zarówno klasyczne, jak i te, które w skali literatury współczesnej wytrzymują próbę artystyczną i ideologiczną. Dotyczy to rzecz prosta wydawnictw masowych, tych, które stwarzają księgozbiór dla oświeconego obywatela naszego kraju. Wobec tego, że ilość tych obywateli w ustroju sprzyjającym pełnemu rozwojowi jednostki będzie wzrastać, musi również wzrastać zasób tego księgozbioru.

Wydawnictwa polskie, należące gospodarczo do odcinka spółdzielczego, wykonały już w pewnej mierze część tej przyszłej pracy. Jest to ich niewątpliwa zasługa, która należy podkreślić, jakkolwiek ta zasługa nie zwałnia w żadnym wypadku wydawnictw, zwłaszcza spółdzielczych od dalszego wypełniania luk w przyszłym księgozbiórze.

Statystyczne dane zawarte w kilku artykułach Bromberga („Kuźnica”) są niezmiernie cenne, ale są to tylko dane statystyczne. Mnie interesuje to, co się mieści w tych procentowych pozycjach. Ograniczę się tym razem do wskazania, co kryje się pod suchymi cyframi, oznaczającymi produkcję w dziedzinie literatury pięknej. Sądząc, że powinno nas interesować głównie to, co uczyniono w zakresie wydawnictw literatury klasycznej, podstawowej, pozwolę sobie wymienić zasługi poszczególnych wydawnictw.

„Czytelnik”, nastawiony głównie na druk dzieł współczesnych, dał w zakresie literatury klasycznej; Zeromskiego „Popioły” oraz tom drobnych utworów, zapożyczony w przypisy, tom opowiadań Daniłowskiego; kilka tomów Kraszewskiego; z przekładów: świetnie wydana antologia poezji rosyjskiej, antologia puszkiniowska, Gorkiego „Dzieciństwo”, Tolstoja „Dzieciństwo”, „Książka” posiada plan wydawniczy najbardziej zdaje się nastawiony na druk pozycji klasycznych: w ciągu kilkunastu miesięcy otrzymaliśmy — Stendhala „Czerwone i czarne”, Balzaca „Dwaj poeci”, „Cierpienia wyznawcy”, „Biaśki i niedze życia kurtyzany”, „Stracone zdzenia”, „Ojciec Goriot”, „Ostatnie wcielenie Vautrina”, „Eugenia Grandet”, Diderota „Kubuś fatalista”, France „Zbrodnia Sylwestra Bonnard”, „Wspomnienia mego przyjaciela”, „Wyspa pingwinów”, Z klasycznej literatury rosyjskiej: Puszkina „Dramaty”, Gogol „Martwe dusze”, Gorki „Matka”. Z literatury innych: Coster „Dwi Sowizdrzał” i Dickens „Dawid Copperfield”.

Wśród przygotowanych przez „Książkę” w najbliższym czasie pozycji na szczególną uwagę zasługuje chwalebny zamiar wydania: Witkiewicza „Na przełęcz”, Zapolskiej — wyboru prozy, Paska „Pamiętników”, Chojeckiego „Alkazaru”, dwóch pozycji Łozińskiego oraz jednej z powieści Thackeraya. Ukazały się również w najbliższym czasie „Kroniki” Prusa oraz wybór nowel Konopnickiej. Poza tym „Książka” przypadła w udziale edycja lektury dla szkół. W bibliotece redagowanej przez dobrych specjalistów ukazały się liczne teksty klasyczne, m. inn. zenienbany dotąd Norwid, Słowacki, Mickiewicz, Kochanowski etc., których wydań pozaskolnych nikt jakoś nie podejmuje.

„Wiedza” ożywiła się nieco ostatnio, dorzucając do przeważnie współczesnych swoich wydawnictw kilka pozycji klasycznych: Dygasińskiego „Zajac”, Orzeszkowej „Nad Niemnem”, Balzaca „Wielkość i upadek Cezara Brotteau”, Woltera „Kandyd”, Zola „Germina”, antologię poezji francuskiej XIX i XX wieku.

Z księgarń prywatnych szczególnie pożyteczną wydaje się w zakresie wydawnictw omawianego przede mną typu działalność księgarń nakładowej Baka, która wydała obszerny wybór Kraszewskiego, Tolstoja „Hadzi Murat”, zapowiada Turgeniewa „Ojcowie i dzieci”.

Pobieżny przegląd pozycji klasycznej literatury w powojennej działalności księgarskiej nasuwa następujące postulaty: zwiększenie zainteresowania dla wydawnictw klasycznych przez te wydawnictwa, które dotąd wykazywały w dziale tym niewielką produkcję; stworzenie centralnego planu wydawniczego w zakresie literatury klasycznej i możliwie jak najszybsze jego opublikowanie; jeśli to niemożliwe, wówczas mogłoby poszczególne wydawnictwa zechcieć opublikować swoje zamiary na najbliższą przyszłość w zakresie literatury klasycznej polskiej i obcej; konieczność zwiększenia ilości pozycji literatury, a zwłaszcza prozy polskiej, szczególnie w zakresie powieści polskiej XIX stulecia; zwiększenia ilości tytułów w zakresie literatury francuskiej (cała biblioteka Boya plus to, czego Boy przelożył nie zdążył; encyklopedyci, moralisci, Stendhal „Armance”, „Lucien Leuven”, Merimee, Vigny, Maupassant, Zola, etc. Wybory Racine’a, Moliere, Corneille’a); zwiększenie ilości pozycji całkowicie zaniedbanej u nas nawet przed wojną klasycznej powieści angielskiej; wreszcie przelamanie dotychczasowego milczenia w zakresie literatury niemieckiej — bez Heinego, Schillera, Goethego, bez prozy Storma, Kellera, bez Tomasa Manna księgozbiór nie będzie pełny; mimo zbliżenia kulturalnego polsko - rosyjskiego brak nam tych książek, które zawsze stanowiły lekturę postępowego inteligenta w Europie; brak powieści Gonczarowa, Turgeniewa, Gogola, Lwa Tolstoja, Dostojewskiego, Leskowa, Saitykowa - Szczedryna. Myślę, że dobry księgozbiór nie obejdzie się bez tych książek.

Wymieniłem zasługi wydawców gwoł sprawiedliwości. Ale spis książek niewydanych nie bardzo się mimo tych zasług skręcił. Przejrzyjcie ankietę „Kuźnicy” sprzed wielu miesięcy i sprawdźcie!

NASTĘPNY 1 (122) NUMER „KUŹNICY” UKAŻE SIĘ W DNIE 5 STYCZNIA W OBJĘTOŚCI 20 STRON

Redaguje: Zespół „Kuźnicy”. Wydawca: Zespół „Kuźnicy”  
 REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ZOŁKIEWSKI.  
 Redaktor naczelny przyjmuje we wtorek, czwartek i soboty od godziny 11 do 13.  
 Adres Redakcji i Administracji: ul. Piotrkowska Nr 99. — Telefon 205-42.  
 CENA OGŁOSZEŃ: Za 1 mm na 1 szpalto, 40 złotych.  
 WARUNKI PRENUMERATY:  
 miesięcznie zł 50,—; kwartalnie zł 240,—; półrocznie zł 450,—; rocznie zł 960,—.  
 Należność za prenumeratę należy wpłacać do P. K. O. konto VII-567 „Prenumerata Kuźnicy”.  
 D-018344 Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik” — Łódź, zwirki. 2.